

Susanna Moore

TATUAŻ

Przełożyli Ewa i Dariusz Wojtczakowie

Tytuł oryginału *In the Cut*



Zwykle nie chodzę do baru ze studentami. Jak dotąd mam w tej materii niemal same złe doświadczenia.

Cornelius miał jednakże problemy z kategorią ironii, podobnie zresztą jak i cała grupa. Moi studenci znacznie lepiej rozumieli „realizm”, chociaż przeważnie kojarzyli go z imitacją stylu Ernesta Hemingwaya. Krótkie, płaskie zdania, przymiotnik przed każdym rzeczownikiem. Nie lubili takiego pisarstwa, nudziło ich. Nie odpowiadał im obraz autora, który wyłaniał się z jego tekstów, nie lubili też jego bohaterów, takich jak biały myśliwy w *Krótkim szczęśliwym życiu Francisa Macombera*. Sądzę, że tak naprawdę fascynowała ich buntownicza postawa pisarza, a także pełen brutalności i tragizmu obraz świata w jego utworach, ale z jakiegoś powodu nie byli w stanie odczuć emocjonalnej więzi z jego prozą. Uznali, że Hemingway po prostu nie jest klawym facetem.

Zastanawiałam się, czy dać im do przeczytania *Zakręt rzeki* albo *Partyzantów* Naipaula. Uznałam jednak, że zapewne oburzyłyby ich sceny bicia, mordowania i maltretowania kobiet i być może w ogóle nie dostrzegliby w tych utworach żadnych wartości. Ciekawe czy polubiliby Grahama Greena. Może *W Brighton*. Ach nie, zapomniałam, że pojawia się tam sen, w którym morderca z brzytwą w ręku wymawia słowa: „Takie cycki”.

Strumień świadomości nie sprawił studentom większych kłopotów, tyle że niektórzy początkowo nazywali tę formę strumieniem samoświadomości. Sądziło, że przypomina ona spisanie własnych snów z pominięciem interpunkcji. Kilku przyznało mi się, że zanim doczytali do końca obowiązkowy tekst Virginii Woolf, Wypalili trochę trawki i dzięki temu lepiej go zrozumieli. Zwierza mi się nieśmiałym, kokieteryjnym tonem, jak gdyby starali się mnie uwieść. W pewnym sensie rzeczywiście próbowali. Może nie do końca erotycznie, ale prawie... Byłoby to erotyczne, gdyby lepiej wiedzieli, co robią. Zresztą, któregoś dnia się tego nauczą. Któregoś dnia będą wiedzieli...

W każdym razie ironia ich przeraża. Przede wszystkim nie rozumieją tego pojęcia. Nie jest łatwo je wyjaśnić. Osobiście uważam, że albo ktoś od razu rozumie, o co chodzi, albo nie. Mogę tylko podawać przykłady, choćby ten, w którym uratowane od śmierci w izbie przyjęć dziecko wpada pod autobus w drodze do domu. Ten przykład pomógł wielu z nich. Cornelius powiedział, że woli realizm niż ironię, ponieważ ironia stawia na głowie wszelkie mądrości. Nie wiem, jakiego rodzaju mądrość miał na myśli, ale jego stwierdzenie tak bardzo mnie oszołomiło (wyobraziłam sobie, jak „bierze” mądrość i stawiają na głowie), że tylko pokiwałam głową i pozwoliłam mu kontynuować wypowiedź. Wtedy Cornelius dodał, że to oni, studenci, znajdują się w ironicznej sytuacji, ponieważ do końca nie będą wiedzieli, czy im zaliczę rok i jakie wystawię stopnie.

Odparłam, że porównanie jest w miarę trafne.

Zaczynam mówić jak jedna z tych starych panien, które przypatrywały mi się, gdy mieszkałam w internacie, tyle że one zwykły się raczej użalać (często używały tego określenia) nad brakiem manier, grzeczności i dobrego wychowania niż nad nieuctwem. Mam nadzieję, że nigdy nie zmienię się w drugą pannę Burgess – samotną kobietę ubraną w niezły tweedowy kostium od Donegala, której stale towarzyszył paskudny rudy terier również w tweedowym płaszczku przetartym w miejscu, gdzie ciągle się obcierał o kraciaste szelki. Co roku lato w Maine z jej koleżanką, panną Gerrold, w pachnącym pleśnią domku... Teraz ta perspektywa nie jest już dla mnie tak straszna jak niegdyś. Hortensje. Borówki. Wysiadywanie na skałach ze szkicownikiem.

Przyznałam się moim studentom, że piszę książkę o regionalizmach i dialektach oraz o odstępstwach w wymowie wyrazów. Chciałam, żeby wiedzieli, iż nie jestem przeciwna używaniu wyrazów slangowych ani potocznych. Lubię je. Podoba mi się, że współczesne dzieciaki uważają „Nike” za wyraz jednosylabowy. Dlaczego nie? Nie chodzi im przecież o boginię, ale o sportowe obuwie. Skrzydlate buty zwycięstwa. Jednak mimo mojego zainteresowania odstępstwami w wymowie, wolę, aby nie pisały w sposób fonetyczny. Nie chcę widzieć *motherfucker* zapisane jako „madafaka”. Jeszcze nie. Powiedziałam studentom: „Najpierw nauczcie się zasad, potem możecie sobie robić, co wam się podoba”. Tak jak z jazzem. Najpierw trzeba się nauczyć dobrze grać na instrumencie, a dopiero potem można zacząć improwizację.

W ubiegły wtorek Cornelius wstał i zapytał, czy się nie obawiam, że moja książka o slangu okaże się bzdurna. „Zależy dla kogo”, odparłam, kładąc nacisk na ostatnie słówko.

Cornelius podszedł do mnie po zajęciach, podczas gdy pozostali powoli zbierali rzeczy. Powiedział głośno, że tacy ludzie jak ja traktują innych jak króliki doświadczalne. „A

my po prostu w taki sposób nawijamy i już”.

Pozostali studenci spojrzeli na mnie, nie ukrywając zainteresowania.

Wyszłam z sali.

Cornelius poszedł za mną.

Bary w mojej dzielnicy przerażają mnie. Francuscy turyści studiujący mapy metra i ponętne nastolatki z Hrabstwa Rockland, które wyglądają i mówią, jak gdyby miały za chwilę eksplodować, może z wściekłości. Rzeczywiście, mają się o co wściekać, nawet jeśli o tym nie wiedzą. Trzynastoletnie dziewczynki o pustych twarzach, z fałszywymi dowodami tożsamości i kolczykami w nosach, wypatrujące mówiących ze śpiewnym akcentem Jamajczyków – ciemnoskórych chłopców w kolorowych wiatrówkach, szortach o szerokich, sięgających za kolana nogawkach i wyszukanych butach sportowych, traperskich lub roboczych, które w zestawieniu z szerokimi spodenkami wyglądają na ogromne i bardzo ciężkie. Ci nerwowi młodzieńcy wystają zwykle na ulicach przed barami; w rękach trzymają butelki słabego piwa ukryte w szarych papierowych torebkach.

Sama myśl o ulicy Bleecker wywołuje we mnie uczucie lekkiej trwogi. Sklepy pełne są tu baseballowych czapek i posrebrzanych egipskich krzyżyków z wierzchołkiem w kształcie pętli. Ta część dzielnicy bynajmniej nie należy do spokojnych.

Cornelius i ja usiedliśmy przy kontuarze baru o nazwie „Czerwony Żółw”. Mój student wyłączył walkmana i zamówił sobie rum z colą. Przywitałam się z barmanem o imieniu Lothar i zamówiłam piwo.

Cornelius wskazał na walkmana.

– Smif and Wesson – powiedział; tak przynajmniej usłyszałam.

– Smith and Wesson? Rewolwer jako nazwa zespołu?

– Nie Smith, ale Smif. To regionalizm. Taki, jak pani lubi.

Uśmiechnęłam się.

– I przykład zastosowania ironii – dodał.

– Zdaje mi się, że to ty jesteś ironiczny.

Podpuściłam go kiedyś, żeby trochę i na wesoło porapował (on nazywa to „szczekaniem”) dla mnie. Zależnie od regionu istnieją różne style rapu. W Chicago na przykład w poświęconym ważnym sprawom tekście wersy muszą się rymować. Niestety, mojemu studentowi nieszczęśliwie się udał występ. Cornelius miał najwyraźniej jakieś zahamowania. Powiedział mi, że nie potrafi „szczekać” na zawołanie.

Teraz miał problemy z pracą semestralną i właśnie dlatego poprosił mnie o spotkanie.

Nie zamierzał rezygnować, po prostu potrzebował trochę czasu i pomocy, by dokończyć to, co zaplanował.

Zadanie, które wyznaczyłam moim studentom, miało polegać na wykorzystaniu prawdziwego zdarzenia opisanego w gazecie lub czasopiśmie i przekształceniu go w fikcję. Staralam się w ten sposób skłonić tych młodych ludzi, by napisali tekst na temat nie związany z nimi samymi. Nazwałam tę pracę – trochę patetycznie – „opowieścią stworzoną na nowo”. Zachęcałam do szukania natchnienia w takich pismach jak „National Enquirer”.

Cornelius znalazł odpowiednią historyjkę i chciał zapytać, czy może ją wykorzystać. Była to informacja o wykonaniu kary śmierci na Johnie Wayne Gacy, przestępcy skazanym za zabicie trzydziestu trzech młodych mężczyzn. Cornelius pragnął nadać swej pracy formę telefonicznej rozmowy, którą rzekomo odbył ze skazańcem. Chciał też napisać o własnym smutku wywołanym tą rozmową.

Przed śmiercią Gacy nagrał pod pewnym numerem telefonicznym krótki tekst, w którym wyjaśniał, że nie zabił tych chłopców. Informacji mógł posłuchać każdy, kto był gotów zapłacić trzy dolary za minutę połączenia. Cornelius zwierzył mi się, że wydał prawie czterdzieści pięć dolarów, słuchając tekstu.

Przyznam, że mnie zaskoczył.

– Nie – powiedziałam. – Twoja praca nie ma dotyczyć twoich uczuć, Corneliusie.

– Powiedziała pani kiedyś na zajęciach, że każde słowo zapisane przez pisarza, nawet spójniki, nawet znaki interpunkcyjne... w jakiś sposób określają autora lub autorkę.

– Nie mam zwyczaju mówić „autor lub autorka”.

Uśmiechnął się.

– Idę do łazienki – powiedziałam.

W ten sposób popełniłam drugi błąd.

Poszłam na tył baru. Pachniało smażonym czosnkiem i rozlanym piwem. Nie dostrzegłam ani toalet, ani kierujących do nich strzałek. Zeszłam po schodach do piwnicy. Było ciemno, więc założyłam okulary. Niestety nigdzie wokół nie znalazłam żadnych informacji.

Otworzyłam drzwi. Pokój wypełniały aluminiowe beczki z piwem. Zatrzymałam się przy następnych drzwiach. Były lekko uchylone. Pchnęłam je. Powoli się otworzyły.

Pomieszczenie było niewielkie. Zauważyłam metalowe biurko. Stały na nim kubek z kawą, nieduża lampa i zegar cyfrowy, który głośno tykał. Lampa miała kształt neonu reklamującego piwo. W rogu pokoju znajdowała się szafa grająca, a na niej leżał plastikowy

worek na śmieci. Obok stała stara sofa.

Na sofie siedział mężczyzna. Głowę opierał o ścianę, toteż jego twarz pozostawała w ciemnościach. Resztę jego ciała widziałam dość wyraźnie – było oświetlone małym kręgiem padającego z lampy różowego światła. Marynarka mężczyzny leżała na oparciu sofy. Krawat miał poluźniony. Był to jeden z tych krawatów, które wyglądają jak ubłocone; można je kupić” na stolikach przed wielobranżowymi sklepikami, gdzie leżą obok starannie ułożonych opasek na głowę i czystych kaset magnetofonowych. Ręce osobnika leżały wzdłuż jego boków; nieładne, zaniedbane, blade dłonie odwrócone ku górze w osobliwie błagalnym geście. Po wewnętrznej stronie lewego nadgarstka widniał tatuaż.

Mężczyzna siedział leniwie rozkraczony. Miał długie nogi. Nosił czarne, sznurowane buty i cienkie, czarne, typowe dla próżnych mężczyzn skarpetki. Buty aż prosiły się o wypastowanie i w zestawieniu ze skarpetkami wyglądały na zaskakująco zaniedbane. Mężczyzna wydał mi się niezwykle bierny – jak gdyby medytował, zastanawiał się nad czymś lub zapadał w niespokojny, lecz nieuchronnie morzący sen.

Na podłodze dostrzegłam kobietę. Jej rozpuszczone włosy opadały na brzuch mężczyzny. Klęczała z rękoma na jego udach i rytmicznie poruszała głową w tył i w przód; członek mężczyzny to nikał w jej ustach, to się z nich wyłaniał. Przyszło mi do głowy, że ja sama nigdy nie uprawiałam seksu w ten sposób – niczym oddany pies szturchający pyskiem rękę swego pana. Z ust kobiety wydobywały się głośnie jęki. Po chwili lekko westchnęła, zmieniła nieco pozycję, po czym zaczęła się poruszać szybciej. Jej partner podniósł powoli głowę i zobaczył mnie – stałam w progu z rękoma skrzyżowanymi na piersi, jak gdybym czekała, aż ktoś złoży mnie w ofierze.

Na mój widok mężczyzna nie odwrócił głowy i nie powstrzymał kobiety, która lekko stęknęła, najwyraźniej pragnąc go poinformować, że już się zmęczyła. Położył ręce na czubku jej poruszającej się głowy, objął rękoma rude włosy i przytrzymał. Sugerował w ten sposób zarówno mnie, jak i swojej partnerce, że właśnie dochodzi i nie chce, żeby dziewczyna pozbawiła go całej przyjemności, decydując się akurat teraz wyjąć członka z ust.

Pragnęłam zobaczyć jego twarz, zwłaszcza że on wyraźnie widział moją.

Nagle podniósł wyżej włosy kobiety, ukazując mi w całej okazałości swój penis wchodzący i wychodzący z jej ust oraz jej dłoń, która wsuwała go i wysuwała. Widziałam wszystko dokładnie.

Uda mężczyzny zeszywniały, kobieta przez krótki czas poruszała się jeszcze szybciej, a później usłyszałam bardzo cichy odgłos wdychanego powietrza, jak gdyby mężczyzna zamierzał jak najmniej powietrza pozostawić swej rudowłosej partnerce. Mocno trzymał jej

głowę. Kobieta zaczęła się poruszać coraz wolniej, widząc, że mężczyzna doszedł. Pomyślałam: „No, no, ta dziewczyna wie, co robi”.

Niczym złodziej zaczęłam się wycofywać z pomieszczenia. Mężczyzna ciągle nie spuszczał ze mnie wzroku, ręce nadal zatapiał we włosach dziewczyny i trzymał jej głowę tak, by nie mogła mnie zobaczyć. Odniosłam wrażenie, że jesteśmy tu tylko my dwoje – on i ja.

Nie szukałam już dłużej toalety. Uciekłam szybko po schodach, spoglądając co chwila przez ramię, nagle wystraszona, że ktoś jeszcze mógł zauważyć, gdy tak stałam w progu piwnicznej sali i przyglądałam się tej parze.

Corneliusa nie było przy barze. Lothar powiedział mi, że mój student przed wyjściem zamówił na wynos smażone paluszki z mozzarellą i wyszedł, tłumacząc się jakąś pilną pracą. Barman mrugnął do mnie, dodając, że młody człowiek wspomniał coś o morderstwie. „Nie widywałam cię tu ostatnio”, dodał.

Płacąc rachunek, zauważyłam, że trzęsą mi się ręce.

Kilka dni później zaczęłam się zastanawiać, dlaczego ciągle zapominam odnieść szarą spódnicę do krawca. Uświadomiłam sobie, że po prostu nie mam ochoty przechodzić obok „Czerwonego Żółwia”. Trzymałam się swojej strony parku, którą nazywamy czasem „stroną Henry’ego Jamesa”, mimo iż niektórzy mieszkańcy w zaufaniu wyznają, że tak naprawdę pisarz nigdy tu nie mieszkał. Podobno przez bardzo krótki czas mieszkał tuż za rogiem, przy placu Waszyngtona, w pobliżu miejsca, gdzie obecnie stoi szereg całkiem ładnych akademików Uniwersytetu Nowojorskiego.

Poszłam do „mojego” budynku na placu Uniwersyteckim. Uczyłam tam grupę dwudziestu uczniów pierwszej klasy college’u przedmiotu, który chyba nieco zbyt optymistycznie nazywano „twórczym pisarstwem”. (Ku mojemu zaskoczeniu Cornelius był nieobecny. Najwyraźniej również wolał nie oddalać się od domu.)

Po zajęciach ruszyłam na rynek po alkohol i sok z żurawin, potem wstąpiłam na pocztę na rogu Trzynastej Ulicy i Szóstej Alei, gdzie radio zawsze jest nastawione na stację nadającą rhythm-and-bluesa, a kolejka milczących, niespokojnych klientów porusza się do przodu w takt muzyki. Musiałam odesłać eks-mężowi książkę, którą kiedyś pożyczyłam, jakiś *oeuvre erotique*. Mój były jest pedantem, jeśli chodzi o sprawy związane z jego osobą, takie jak własne książki lub seks. Przypomniał mi niedawno listownie, że pożyczyłam od niego tę

książkę tylko na dwa tygodnie. Urzędnik pocztowy, poruszając się w rytm starego przeboju Sonny'ego Boya Williamsona, popatrzył na paczkę i spytał głośno: „Santos Thorstin? Ten Santos Thorstin?!”, czym skłonił mnie do zastanowienia, czy może przypadkiem nie zna mojego męża lepiej niż ja sama. Mój Santos Thorstin zajmuje się zawodowo fotografowaniem mody i mieszka w Paryżu, lecz nigdy bym się nie spodziewała, że jego sława sięga aż do urzędu pocztowego na nowojorskiej Trzynastej Ulicy. Może dał się poznać dzięki serii zdjęć zamordowanych bengalskich dziecięcych prostytutek, bowiem fotografie te ukazały się na artystycznych kartkach pocztowych. Często wspominam zdanie, które mi kiedyś powiedział: „Mdło mi się robi na widok piękna”.

Urzędnik spytał jeszcze, czy naprawdę znam Santosa Thorstina. Przytaknęłam, a wówczas poprosił, żebym przyprowadziła go, gdy następnym razem będzie w mieście.

Nadal trzymałam się swojej strony parku.

Zajmuję dwupokojowe mieszkanie na trzecim piętrze dość eleganckiej kamienicy przy parku Waszyngtona. Nie mamy odźwiernego, a w dodatku mój skąpy gospodarz twierdzi, że nie może zamontować domofonów, ponieważ skaziłyby wygląd dziewiętnastowiecznego holu wejściowego. W efekcie nie sposób kontrolować, kto wchodzi i wychodzi z domu. Budynek wyposażono w dwie pary drzwi – jedne wychodzą na frontowy hol, drugie to drzwi wewnętrzne, które prowadzą na schody. Przed wejściem do budynku znajduje się panel z dzwonekami i nazwiskami lokatorów, a w każdym mieszkaniu – przycisk otwierający frontowe drzwi. Nie jest to zbyt bezpieczny system. Słyszac dzwonek, powinnam zejść na dół i sprawdzić, kto stoi za drzwiami, ale jestem zbyt leniwa. Czasem nie mam na sobie odpowiedniego stroju, chcę skończyć czytać gazetę albo oczekuję któregoś z przyjaciół, zwykle wolę więc wcisnąć brzęczyk niż schodzić do holu.

Kiedy byłam żoną Santosa Thorstina i mieszkałam w Londynie (studiowałam wówczas gramatykę średniowieczną języka angielskiego), tamtejszy odźwierny próbował mnie szantażować, mówiąc, że „pan byłby naprawdę nieprzyjemnie zaskoczony, gdyby dowiedział się, że podczas jego nieobecności odwiedził panią jakiś dżentelmen”. Gdy pomyślę, że tutaj zarówno ja, jak i moi goście możemy nie zauważeni wchodzić i wychodzić z budynku, czuję się lepiej. Chociaż... Pauline zwróciła mi uwagę, że gdyby mnie, na przykład, poraził prąd podczas korzystania z sześciokromkowego tosterka, upłynęłyby tygodnie, a przynajmniej dni, zanim ktoś znalazłby mnie z widelcem w ręku i zjezonymi włosami na całym ciele. „Dziękuję ci bardzo”, odpowiedziałam jej z przekąsem.

Innymi słowy, gdybym wiedziała, że na dole stoi Cornelius, zapewne nie

otworzyłabym drzwi. Nie twierdzę, że akurat się kogoś spodziewałam, zwłaszcza że było wpół do trzeciej nad ranem – niezbyt odpowiednia pora na pogaduszki. Zwykle nie otwieram drzwi o trzeciej nad ranem, tym razem jednak odruchowo wcisnęłam brzęczyk.

Cornelius nie chciał zdjąć panterki. Nie chciał też usiąść, mimo iż uważał, że metalowe krzesła ogrodowe mojej matki są „w dechę”. Nie chciał zostać. Pragnął tylko wręczyć mi pieniądze.

Poczułam się zakłopotana.

– Zapłaciła pani w barze – wyjaśnił. – To moja połowa rachunku.

Wyjął z kieszeni sześć dolarów i położył je na biurku, na otwartym notesie.

– Próbowałem panią odszukać tamtego wieczoru – powiedział – gdy poszła pani do toalety. Gdzie pani zniknęła? Czekałem długo.

– Nie mogłam jej znaleźć – bąknęłam.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

– Tyle?

– Co tyle?

– Czy tyle jestem pani dłużny?

Skinęłam głową. Chciałam, żeby już poszedł. Odwróciłam się w stronę drzwi i położyłam rękę na klamce.

Na początku semestru podjęłam pewną decyzję. Nie chciałam pełnić dyżurów po zajęciach, wiedziałam jednak, że powinnam zapewnić moim studentom możliwość spotkania się ze mną, zwłaszcza że w kursie uczestniczyło wielu nastolatków o wprawdzie niewielkim dorobku pisarskim, lecz sporej inteligencji. Niektórzy z nich odprowadzali mnie czasami do domu. Gdy docieraliśmy do schodów, wyjmowałam klucze i mówiłam: „Do zobaczenia w przyszłym tygodniu”. „Sądzi pani, że powinienem zmienić mój główny przedmiot?” pytał któryś. „Na jaki?”, odpowiadałam pytaniem. „Na pisanie. Chciałbym pisać książki”. „No cóż”, stwierdzałam z namysłem, „jeśli jesteś pisarzem, dowiesz się o tym wkrótce. Pisarstwa się nie wybiera. To dar”.

W każdym razie, może postąpiłam głupio, ale dałam studentom swój adres i numer telefonu. Teraz pomyślałam, że byłoby lepiej umawiać się na spotkania w ustalonych godzinach w małej salce, jednej z tych, które przydziela się wykładowcom. Istniałyby wówczas wyraźne granice. Zegar na ścianie. Wtedy może ubrany jak komandos Cornelius nie pojawiłby się w nocy w moim salonie.

– Prawie skończyłem pisać pracę – stwierdził. – Chciałbym ją pani pokazać. To by mi pomogło. Wiem to i już.

Zawahałam się.

– Nad czym pani teraz pracuje? – spytał.

– Piszę o języku.

– O kurde. Lubi pani to paskudztwo?

– Tak. Podoba mi się na przykład, gdy dodajesz „i już” na końcu zdania.

Wyglądał na skrępowanego. Przyszło mi do głowy, że pewnie sądzi, iż sobie z niego kpię.

– Zamierza pani to spisywać? To, co mówię? – zapytał.

– Może. Interesuje mnie to, co mówicie. Wy wszyscy.

– Króliki doświadczalne.

– Nie.

– Powinna mi więc pani zapłacić.

– Tak sądzisz?

– Tak – odparł. – To cenny kit, droga pani. – Westchnął i włożył ręce do kieszeni. – Zrobię wtedy, co pani zechce. Na przykład zwinę trochę szmalu albo kropnę jakiegoś cykora.

– Jestem teraz zajęta – powiedziałam. – Muszę się zabrać za pracę. – Usłyszałam stukanie końskich kopyt. Policja konna patrolowała park.

– Cóż, to pani scenariusz – burknął.

Wychodząc musnął mnie w przelocie. Jego czarne buty w stylu Rangersów załomotały głośno na drewnianej podłodze. Zamknęłam za nim drzwi i przekluczyłam. Przekręcana zasuwka wydaje głośny zgrzyt. Wiedziałam, że Cornelius go słyszy, i cieszyłam się z tego.

Byłam w kinie z moim przyjacielem, Johnem Grahamem. Później w restauracji na ulicy Thomson, której wystrój przywiódł mi na myśl sklep spożywczy w Szanghaju z epoki przed Mao, zjedliśmy tajską potrawę – makaron z krewetkami. Można tu również zakupić na wynos podstawowe produkty wschodniej kuchni – torbę ryżu i wietnamski sos rybny. John odprowadził mnie do domu przez park, gdzie obserwowali nas hałaśliwi, rozbawieni rastafariańscy sprzedawcy narkotyków.

Przed domem jak zwykle wyciągnęłam rękę, a on chwycił ją, potem przyciągnął mnie ku sobie, pocałował w policzek i powiedział: „Dobranoc, Frannie”. Odparłam, że film był dobry, a restauracja w porównaniu z innymi nawet niezła. John przyznał mi rację.

Zamknęłam za sobą ciężkie drzwi frontowe, po czym sprawdziłam, czy się zatrzasnęły. Schyliłam się i podniosłam stosy chińskich jadłospisów, wepchniętych za drzwi. Z rogu mojej skrzynki na listy wystawała mała, biała karteczka.

Napis głosił: detektyw James A. Malloy, Departament Policji Nowego Jorku. W górnym prawym rogu znajdowały się dwa numery telefonów.

Pomyślałam, że i tak pod żaden z nich nie zadzwonię.

Tego typu korespondencję – śmieci, które znajdowałam na progu albo w skrzynce – trzymałam zazwyczaj w cienkiej reklamówce. Upychałam tak wiele, aż torba w końcu rozdzierała się na bokach. Była w niej między innymi demonstracyjna kaseta podstarzałego walijskiego poety recytującego cockneyem osiemnastowieczne rymowanki, związana i zakneblowana naga lalka Barbie – przyniósł mi ją mój gospodarz, pytając ostrożnie, czy należy do mnie (podobno leżała całe popołudnie na progu) – oraz pudełko prezerwatyw; na każdej z nich wygrawerowano albo, dokładniej mówiąc, wytłoczono moje imię z kropką nad „i” w kształcie serca, stąd wiedziałam, że ten podarunek jest z pewnością przeznaczony dla mnie, czego nie mogłam z absolutną pewnością powiedzieć o pozostałych. Przypuszczałam, że prezerwatywy podrzucił mi ktoś, z kim się kiedyś spotykałam.

Do tej samej torby wrzuciłam wizytówkę detektywa Malloya.

Gdy w dwa dni później mężczyzna zapukał do moich drzwi, zdążyłam już o niej zapomnieć. Dopiero gdy wręczył mi kolejny kartonik, uprzytomniłam sobie, że poprzedni zostawił specjalnie dla mnie.

– Mogę wejść na minutę? – spytał niskim, przyjemnym głosem. – Wolałbym nie rozmawiać na korytarzu. – Spojrzał przez ramię, jak gdyby obawiał się, że ktoś stoi za nim i podsłuchuje. Zdjętą marynarkę trzymał przewieszoną przez ramię. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokcia, pod pachami – mokre półksiężycy. Zastanawiałam się, w jaki sposób wszedł do budynku.

Pracowałam nad swoją monografią. Zajmowałam się akurat portugalskimi słowami w slangu Rhode Island, czułam jednak, że nie mogę użyć pracy jako wymówki. Zdecydowałam, że jeśli zauważy moje notesy, powiem, że piszę pamiętnik. Bezpieczne, babskie zajęcie. Nie zamierzałam niczego przed nim ukrywać, wiem po prostu z doświadczenia, że gdy próbuję wyjaśnić, o czym piszę i co mnie interesuje, jestem odbierana trochę jak nawiedzona fiksotka, a trochę jak ofiara losu.

Mężczyzna trzymał wizytówkę w wyciągniętej ręce, czekając, aż ją wezmę. Zdaje mi się, że miała mnie upewnić, że Malloy naprawdę jest policjantem, a nie na przykład maklerem w wełnianym krawacie, który podczas przerwy na lunch ma zwyczaj niepokoić mieszkające w pobliżu kobiety. Jako mieszkanka Nowego Jorku przemknęło mi przez głowę, żeby poprosić go o pokazanie odznaki, sam pomysł jednak mnie zakłopotał i nie zrobiłam tego.

Zaprosiłam Malloya do środka.

– Ładne mieszkanie – powiedział, rozglądając się pobieżnie. – Od dawna tu pani mieszka?

– Niezbyt – odparłam. Mężczyzna był postawny. Wysoki. Podobał mi się zapach jego wody kolońskiej, silny i słodki; wyczułam w nim trochę piżma, aromat, która zwykle przyprawia mnie o ból głowy. – Od sześciu miesięcy – dodałam. – Przedtem mieszkałam na Siedemdziesiątej Pierwszej. Wie pan, że ludzie mawiali kiedyś, że mieszkają przy ulicy, a nie na ulicy? Mieszkałam przy ulicy Siedemdziesiątej Pierwszej.

Malloy uśmiechnął się i wtedy uświadomiłam sobie, że jestem zdenerwowana i że on o tym wie.

Mój gość przerzucił marynarkę przez oparcie sofy i usiadł na jednym z metalowych krzeseł ogrodowych. Pod wpływem ciężaru siedzenie krzesła nieco się zapadło i mężczyzna wbijał przez chwilę zaniepokojone spojrzenie w zbliżającą się podłogę. Skojarzył mi się ze starym piłkarzem, który nie porusza się już tak szybko jak przed laty. Nie mogłam sobie wyobrazić, Malloya goniącego na ulicy jakiegoś zbiega. Ale może pościgi nie należą do obowiązków policyjnych detektywów.

– Prowadzę dochodzenie w okolicy – wyjaśnił. Popatrzył na jadeitowe spinki do włosów leżące na stole.

– Szesnastego zamordowano kobietę – ciągnął. – We wtorek, szesnastego, między północą a drugą nad ranem. Ja i mój partner przepytujemy ludzi w dzielnicy. Jej ciało... – Przerwał. – Ściśle rzecz ujmując, część jej ciała znaleziono w parku po przeciwnej stronie ulicy. Chciałem panią zapytać, czy widziała pani albo słyszała coś dziwnego. Może zauważyła pani kogoś niezwykłego. – Mówił z nieznacznym akcentem, przeciągając samogłoski. Przedłużał zwłaszcza drugą sylabę, mówił „wi-dziaaa-ła” i „uj-muuu-jąc”.

– Nocą ulicami chodzą setki ludzi – zauważyłam. – Całymi nocami.

Pokiwał głową.

– Zaszliśmy do pani któregoś dnia – stwierdził. – Ja i mój partner. Chyba nie było pani w domu.

Znowu spojrział na dwie jadeitowe szpilki do włosów. Każda z nich miała inny kształt. Należały niegdyś do Chinki, która służyła w domu mojej babci w San Francisco, jedynej osoby, o której myślałam czule, ponieważ, z tego co wiem, ze wszystkich ludzi na świecie tylko ją jedną kochała moja matka. Gdy byłam dzieckiem, uważałam, że szpilki z pewnością należały kiedyś do królowej. Dużo później oglądałam używane przez bogate Chinki wykwintne szpile pokryte wypukłościami z koralu o wyglądzie surowego mięsa oraz

rzeźbionymi napisami – prośbami o męskie potomstwo i długie życie – ale bladojadeitowe szpilki służącej mojej babci nadal uważałam za najpiękniejsze.

– Co to jest? – spytał Malloy, podnosząc szpilki i trzymając je w wyciągniętej ręce.

– Proszę zgadnąć. Nikt jeszcze nie odgadł.

– Nikt?

Byłam pewna, że moje słowa go zainteresowały.

– Przybory – stwierdził. – Jakieś, hm, przybory.

– W pewnym sensie.

Zastanawiałam się, czy mężczyzna ma broń.

– Są stare – zauważył. – Jadeitowe. Czy należały do kobiety?

– Żadnych pytań – burknęłam.

Nagle Malloy znudził się.

– Proszę mi powiedzieć – rzucił.

Potrząsnęłam głową i zdałam sobie sprawę z faktu, że policjant próbuje ze mną flirtować. Jego oczy miały tego rodzaju odcień błękitu, który wyglądał różnie w różnych oświetleniach bądź lekko się zmieniał w zależności od koloru koszuli. W chwili obecnej oczy były dziwnie mętnej barwy.

– Nie – powiedziałam.

Westchnął, poddając się, po czym wstał. Uwolnione od ciężaru krzesło wygięło się.

– Moja była żona zbiera lalki – zauważył.

Odłożył szpilki na stolik, mimowolnie układając jedną obok drugiej, a ja pomyślałam, że mężczyzna zapewne jest pedantem. Wyobraziłam sobie, że on również posiada kolekcję lalek, starannie ustawionych w rzędzie.

– Wracając do sprawy, widziała pani wtedy coś albo słyszała? – spytał. – W nocy z szesnastego na siedemnastego? A może rano? Nie odpowiedziała mi pani.

Wziął marynarkę z sofy i z wewnętrznej kieszeni wyjął długopis i mały notes. Jedną ręką otworzył notes. Zobaczył, że patrzę na długopis. Był to kasztanowy mont blanc. Wyciągnął go w moim kierunku.

– Podróża – mruknął. – Jak to u policjantów. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Niestety, nie widziałam ani nie słyszałam niczego niezwykłego – odparłam. – A śpię przy otwartych oknach.

– Naprawdę? – spytał, podnosząc oczy znad notesu. – Na oścież?

– Kogo zabito? – spytałam. – O ile wiem, nie mojego gospodarza. – Byłam zaskoczona własnym swobodnym zachowaniem. Nadal byłam zdenerwowana, teraz jednak już

wiedziałam dlaczego.

– Pewną aktorkę. Dwadzieścia sześć lat. Pracowała na pół etatu w nocnym klubie hazardowym. Ostatnio widziano ją w pewnym barze za rogiem. Dokładnie mówiąc, w barze dla gliniarzy.

– Dla gliniarzy?

– Tak – odrzekł. – W szóstym okręgu. Bywa tam wielu detektywów.

– Przykro mi – powiedziałam. – Przykro mi, że dziewczyna nie żyje.

Skinął głową.

– Jak ją zabito?

– Poderżnięto jej gardło. – Chwilę milczał, po czym dodał: – A później ją rozczłonkowano. – Pomyślałam, że „rozcłonkowanie” to bardzo interesujące słowo.

Malloy wsunął notes z powrotem do kieszeni, po czym z drugiej wyjął dwie spinki do mankietów. Odwinął rękawy koszuli, a wtedy uprzytomniłam sobie, że tego typu męskie gesty bardzo mnie podniecają.

Policjant patrzył na mnie, wsuwając jedną spinkę w dziurkę.

– Przypomina mi pani kogoś – stwierdził.

Byłam rozczarowana.

– Nie zaskakuje mnie to. Mam dość typową twarz – powiedziałam, ale pomyślałam: „A raczej dość typowy tyłek”.

– Proszę mnie zawiadomić, jeśli pani sobie coś przypomni. Mój numer służbowy jest na wizytówce. Proszę dzwonić o każdej porze.

Podszedł do drzwi. Otworzyłam je.

Miał trochę zbyt obcisłe spodnie. Cienkie, czarne skarpetki. Czarne, sznurowane buty. Potrzebowały nabłyszczenia. Miał też mały tatuaż na wewnętrznej stronie nadgarstka. Trzy piki. Tyle że między jego nogami nie było rudej, kobiecej główki.

Śniłam o nim tej nocy.

Dokładnie mówiąc, nad ranem. Przez drewniane żaluzje wpadało słabe światło. Była to ta pora nocy, kiedy – w końcu – śpię snem najłodszym i najgłębszym. Moja skóra w zetknięciu z pościelą wydaje mi się wówczas niezwykle gładka i zastanawiam się, dlaczego muszę czekać aż do świtu, żeby czuć się tak przyjemnie. Nic się przecież nie zmienia – to samo ciało i ta sama pościel co osiem godzin wcześniej.

Odrzuciłam poduszki i położyłam się na brzuchu. Moje stopy wystawały poza koniec łóżka, palce u nóg zwisały poza krawędź. Zwykle śpię w takiej pozycji. Przez bawełnianą

nocną koszulę położyłam sobie dwa palce prawej ręki na łechtaczce i pomyślałam o Malloyu. Stoi w pokoju, podchodzi do mnie, obserwuje, jak się rozbieram...

Nie potrafię się pieścić inaczej – zawsze przez koszulę albo przez majtki. Nie wiem, czy chodzi mi o intensywniejsze odczucia. Z pewnością to jeden z powodów, jest w tym wszystkim jednak coś więcej... Może czuję dreszczyk na wspomnienie siebie jako małej dziewczynki, która wstydy się swoich czynów. Tak czy owak, lubię mieć skrawek ubrania między palcami a pochwą. Stanowi on barierę między wstydem i przyjemnością. Może kiedyś bałam się, że umrę, jeśli jakiś kawałek materiału nie odgrodzi mnie od rozkoszy, albo że nieodwracalnie i całkowicie popadnę w samozadowolenie.

Pewnego niedzielnego poranka podczas pobytu w internacie znalazłam koleżankę z pokoju na kafelkach kabiny prysznicowej. Leżała na plecach. Nogi, pokryte fioletowymi i czarnymi sińcami od gry w hokeja, rozłożyła szeroko na kurkach. Woda spadała kaskadą między luźno ułożonymi muskularnymi udami. Nie byłam nawet w stanie sobie wyobrazić, co ta dziewczyna robi. Pomyślałam, że się poślizgnęła na mokrych kafelkach. Do dziś pozostaje jedyną znaną mi przedstawicielką mojej płci, która potrafiła swobodnie mówić o swojej masturbacji. Namówiła mnie, żebym spróbowała, a ja nie miałam odwagi zwierzyć się jej, że odkryłam już własny sposób. Kobiety umieją rozmawiać niemal o wszystkim – o zazdrości seksualnej, o poniżeniu, o rozkoszy, którą odczuwają, gdy mężczyzna penetruje im pochwę językiem, o ssaniu jego członka – ale nigdy nie opowiadają, jak pieprzą same siebie.

A mnie śnił się detektyw Malloy, obserwujący, jak zdejmuję z siebie ubranie.

Łechtaczka nabrzmiała mi pod palcami. Mój oddech stał się przyspieszony. Nogi zeszywniały. Pracowałam wytrwale, czasami przerywałam na krótko – ale nie bez przyjemności – by przedłużyć akt. Nie było mi tak samo, jak wówczas, gdy czuję w sobie palce mężczyzny. Wtedy nigdy nie wiem, czy starczy mu talentu, cierpliwości lub zainteresowania, aby doprowadzić stosunek do samego końca, i nie wiem, czy moje ciało podda mu się czy też odmówi posłuszeństwa. Własnej ręki jestem natomiast zawsze pewna. Czasami bywam tak spragniona wszelkich doznań, że aż chwytam mnie straszliwy skurcz w łydce. Wtedy muszę wyskakiwać z łóżka i kuśtykać po pokoju, aż ból przejdzie.

Malloy byłby ze mnie na pewno zadowolony.

Rano wyszłam z domu i ruszyłam na stację metra przy placu Astor. Zauważyłam dwóch mężczyzn siedzących w matowoszarym samochodzie. Dostrzegłam auto, ponieważ jego karoseria była tak wyraźnie pozbawiona połysku, jak gdyby ktoś posypał ją piaskiem.

Zauważyłam je także z tego względu, że przy całym parku Waszyngtona nie wolno parkować w dzień, a pojazd stał przed moim domem.

Zanim zdążyłam się nad całą kwestią zastanowić, zanim nawet zdałam sobie sprawę z wszystkich faktów, rozległ się szorstki, zgrzytliwy dźwięk – dolna krawędź otwieranych drzwiczek samochodu otarła się o krawężnik. Usłyszałam również męski głos.

– Halo, proszę pani.

Malloy stał jednym czarnym butem na krawężniku, ramię spoczywało na szczycie otwartych drzwiczek. Drugi mężczyzna zajmował siedzenie kierowcy.

– Witam, jak się pani miewa? Możemy chwilę porozmawiać? Pochylił się do przodu i otworzył przede mną tylne drzwiczki.

– Mam wsiąść? – spytałam.

– Nie zaszkodzi – odparł niskim głosem. – Chyba że woli pani rozmawiać na ulicy. Nigdy nie lubiłem załatwiać spraw na ulicy. Wie pani, o czym mówię? Ale cóż, decyzja należy do pani. – Puścił klamkę. Miałam wrażenie, że moje wahanie go denerwuje.

Zastanowiłam się, jakich to spraw nie chce ze mną załatwiać na ulicy.

Wsiadłam do samochodu.

– Nie mam zbyt dobrego wzroku – odezwałam się do niego, gdy obiema rękoma zatrzasnął drzwiczki, a później usiadł na przednim siedzeniu. – Któregoś dnia wsiądę do niewłaściwego samochodu – burknęłam.

– To nie byłoby zbyt mądre – mruknął, obserwując białego chłopaka, który kupował narkotyki od jednego z Jamajczyków. – To mój partner, detektyw Rodriguez – dodał.

Jego towarzysz odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Dzień dobry.

Kolejny duży, przystojny mężczyzna. Czarne włosy, czarne oczy. Duża głowa. Biała koszula. Srebrny krawat. Czarna marynarka na wieszaku z tyłu obok mnie. Pomyślałam, że ktoś taki bywa zapewne od czasu do czasu późnym wieczorem w „Klubie Broadway”.

– Witam, detektywie.

Zainteresował mnie fakt, że w samochodzie było włączone zwykłe, a nie policyjne radio. Cicho śpiewał Marvin Gaye, nie było słyhać żadnych policyjnych rozmów. Czytałam, że detektywi czasami jedzą surowy czosnek, a później chuchają przesłuchiwanemu świadkowi w twarz, więc – w porównaniu – rozmowa, jaka mnie czekała w tej chwili, nie wydawała się przykra. Usiadłam i skrzyżowałam ramiona na oparciu przedniego siedzenia, między dwoma policjantami. Malloy patrzył na mnie przez moment, kiedy nagle moja twarz pojawiła się przy jego ramieniu, potem odwrócił się i otworzył okno po swojej stronie.

– Chcemy pani zadać kilka pytań – powiedział Rodriguez. – Jeden z pani sąsiadów słyszał krzyki w alei MacDougala tej nocy, o którą pytamy. – Mężczyzna pochylił się, aby przetrzeć od wewnątrz przednią szybę.

– Tej nocy, o którą pytacie? – powtórzyłam. – Z tamtej alei prawie każdej nocy dochodzą wrzaski.

Detektyw Rodriguez popatrzył na moje odbicie w lusterku..

– Jest pani nauczycielką?

Pokiwałam głową.

– Poszedłeś tym śladem? – spytał nagle Malloy Rodrigueza.

– Co to jest międzymorze? – zapytał mnie Rodriguez, ciągle patrząc na mnie w lusterku.

– Przesmyk. Poszedł pan tym śladem. No i?

– I nic.

– Jezu – mruknął pod nosem Malloy.

– Chcieliśmy po prostu sprawdzić – wyjaśnił Rodriguez, odwracając się tak, żebym mogła widzieć jego twarz. – Na wypadek, gdyby pani o czymś zapomniała. Wie pani, niektórzy ludzie po pewnym czasie wiele sobie przypominają.

Udawałam, że się zastanawiam, ot tak, z uprzejmości, nawet spuściłam oczy, żeby wyglądać na bardziej skoncentrowaną. Wówczas zauważyłam, że detektyw Rodriguez ma przy pasie kaburę. Była z brązowej skóry, na której wymalowano wyspę Puerto Rico w kolorach zielonym i czerwonym. Sam ten fakt wystarczył, by przyciągnąć moją uwagę i wzbudzić zachwyt, naprawdę jednak zainteresowało mnie coś innego – w kaburze tkwił złoty plastikowy pistolecik na wodę.

– Prawdę mówiąc – przerwał milczenie Rodriguez – detektyw Malloy i ja pomyśleliśmy, że może będzie pani w stanie pomóc, ponieważ pan... – spojrzał na kawałek papieru leżący na siedzeniu między nimi – Lothar Wilker, pracownik baru o nazwie „Czerwony...

– ...Żółt” – podsunął Malloy.

– ...Żółt”. Ten człowiek twierdzi, że była pani tam wieczorem szesnastego. Tej nocy, o którą pytamy.

Malloy odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Tak – przyznałam. – Byłam tam z jednym z moich studentów. Spotkanie trwało bardzo krótko, a następnie wróciłam do domu.

– Jak się nazywa? – spytał Malloy.

– Kto? Mój student?

– Tak.

– Cornelius Webb.

– Opuściła pani bar sama? – zapytał Rodriguez. – Chodzi mi o to, czy wracała pani samotnie do domu.

Zawahałam się. Miałam ochotę odpowiedzieć, że to nie jego sprawa.

– Tak.

– Nie zauważyła pani przypadkiem młodej kobiety? – spytał Malloy. – Dwadzieścia sześć lat, niezbyt wysoka. Rude włosy. Ładna. – Odwrócił się do Rodrigueza. – Czy nie tak mówiłeś?

– O czym?

– Że była ładna.

– Niezła – odparł Rodriguez. – Przez cały czas była pani w głównej sali? – spytał. Patrzył przez okno, dłubiąc w zębach zapałką.

– Głównej sali?

– W części barowej.

– No, tak.

Popatrzył na mnie w lusterku.

– Jest pani pewna?

– Próbowалаm znaleźć toaletę – odparłam – ale mi się nie udało.

– Toaletę? – spytał Malloy.

– Początkowo pani mówiła, że nie ruszała się z baru – mruknął Rodriguez. – Zapomniała – powiedział do Malloya. – Nie mówiła tak? – Odwrócił się ponownie w moją stronę. – Ofiarę również widziano tamtej nocy w „Czerwonym Żółwiu”. Dlatego właśnie po raz drugi z panią rozmawiamy. Więc była tam pani... Mogłaby pani obejrzeć kilka fotografii? Może sobie pani coś przypomni.

– Ona podobno nie widzi za dobrze – odezwał się do niego Malloy.

Zastanawiałam się, skąd o tym wie, potem jednak przypomniałam sobie, że sama mu o tym powiedziałam, wsiadając do samochodu.

Rodriguez odwrócił się do Malloya z uśmiechem i oświadczył:

– Dzień bez trupa jest jak dzień bez słońca. – Wyjął z kieszeni kolorowe zdjęcie i przytrzymał mi przed oczyma. – Czy wygląda znajomo?

Z pewnością widziałam tę dziewczynę przedtem.

– Nie – odparłam. – Przykro mi.

– Mnie również jest przykro – bąknął Malloy.

Rodriguez odłożył zdjęcie. Najwyraźniej stracił zainteresowanie moją osobą.

Malloy uderzył dłonią w bok drzwiczek, które otworzyły się szeroko.

Wysiadł za mną i przeszedł obok mnie kilka kroków. Ręce trzymał w kieszeniach, dlatego spodnie podniosły mu się wokół kostek.

– Zastanawiam się, czy dałaby się pani zaprosić na przykład na piwo – szepnął w pewnym momencie. – Na Placu Sheridan jest bar. Barman to mój kuzyn. Może była już tam pani wcześniej... Kuzyn mówi, że bywa tam wielu pisarzy.

– Teraz? – Byłam szczerze zaskoczona. Spojrzałam w tył, na samochód. Miłośnik Puerto Rico czyścił sobie paznokcie małym nożykiem.

Malloy roześmiał się.

– Nie, nie teraz.

Prawdopodobnie moje zmieszanie błędnie zrozumiał jako zgodę na spotkanie.

– Skąd pan wie, że piszę? – spytałam.

– Widzę – odparł. – Przez cały czas snuje pani w głowie jakieś głupie opowieści.

Tego popołudnia na zajęciach zmagaliśmy się ze stylem polemicznym. Sądziłam, że studentom nie spodobają się wybrane przeze mnie teksty, lecz ku mojemu zaskoczeniu najwyraźniej cenili ten styl pisarski bardziej niż inne. Rzecz jasna, młodym ludziom polemika nie jest obca. Są czasem nieprzytomni ze strachu, ale udają hałaśliwy, melodramatyczny pesymizm. Dałam im do przeczytania teksty Orwella, Tołstoja i Breta Eastona Ellisa.

Cornelius czekał na mnie na ulicy.

– Dokąd pani idzie? – spytał.

– Na Plac Astor – odrzekłam. – Do metra.

Towarzyszył mi, idąc spacerowym krokiem.

– Jak się posuwa praca nad słownikiem?

– Dlaczego nie byłeś w zeszłym tygodniu na zajęciach?

– Głowa, proszę pani. Cierpię na migrenę.

Uniosłam brwi.

Klepnął mocno dłonią w mijany parkometr.

– Sądzi pani, że kłamię? Nie wierzy mi pani?

– Nie – odparłam.

– Rany – mruknął, potrząsając głową. – Chcę pani pomóc, a pani nazywa mnie kłamcą?

– Jak możesz mi pomóc?

– Mówiąc. Tajemne słowa i takie tam.

Zawahałam się; nie byłam pewna, czy to dobry pomysł, żeby Cornelius przemawiał do mnie slangiem.

– Nie musi mi pani nic płacić – dodał.

Dotarliśmy do schodów prowadzących na stację metra.

– Może – stwierdziłam. – Zobaczymy. Skończ najpierw pracę semestralną.

– Moją opowieść o zbrodni.

– Właśnie.

Zeszłam po schodach, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam go. Stał w miejscu i obserwował mnie.

Dwie pasażerki siedzące obok mnie w metrze rozmawiały o jakimś mężczyźnie. Jedna z kobiet powiedziała: „Zachciwa mu się rozmowy, gdy właśnie przelatuję czasopismo. Mogłabym go zabić”.

Dla mnie język i namiętność to niebezpieczna kombinacja.

Często zauważam, że niektóre niewłaściwie użyte słowa zyskują swego rodzaju onomatopeiczną logikę oraz pewnego typu poetyckość. To niesamowite, ale czasem wyrażają jakiś stan lepiej niż wyrazy użyte w sposób właściwy. Mylnie użyte wyrazy lub potoczne określenia są niekiedy tak bliskie właściwemu znaczeniu, że brzmią jak kalambury. Wiele z nich ma związek z ciałem ludzkim albo z jego dolegliwościami. Na przykład: „choroba ludzi starych” zamiast Alzheimer. Ból brzucha brzmi lepiej niż dolegliwości żołądkowe. Atak padaczki brzmi lepiej niż epilepsja. Ospa wietrzna, zwapnienie żył, prostata...

Sporo myślałam o ciekawych słowach i frazach: „dzień za dniem”, „tłumienie bezsilnego gniewu” „jesienna chandra”, „rwące wody”. A cóż mogło brzmieć piękniej niż „sutki kobiecych piersi”?

Kobiety wysiadły. Spojrzałam w górę i zauważyłam, że zmienił się plakat „kolejowej poezji”. Nowy wiersz był po hiszpańsku, obok widniało angielskie tłumaczenie. Napisał go Garca Lorca. Wiersz był pełen takich słów jak *remanso*, czyli „woda stojąca”, i *fronda de luceros*, czyli „liście gwiazd”. Jednak najbardziej rozculiło mnie słowo *espesura*. Wyszptałam je wiele razy, dzieląc na sylaby, wymawiając na różne sposoby: szybciej, wolniej, aż dostrzegłam jakiegoś chłopca, który patrzył na mnie ze znużeniem. *Espesura*, czyli „gąszcz”. „Gąszcz” to także ładne słowo, jednak po hiszpańsku brzmi naprawdę wyjątkowo. Jak w *bajo espesura de besos* – „w gąszczu pocałunków”.

Poszłam na kolację z Pauline, która mieszka w dolnej części miasta. Jej budynek posiada na parterze dodatkową atrakcję w postaci klubu topless. Chociaż zużłowane ściany klubu są dźwiękoszczelne i pomalowane czymś, co wygląda jak dwadzieścia warstw smoły, Pauline nie sypia całe noce z powodu muzyki. Barbra Streisand, Barry Manilow, Gloria Gaynor. Co jakiś czas Pauline nie potrafi się powstrzymać, wstaje i tańczy do tych piosenek w ciemnościach.

Kiedy ją poznałam piętnaście lat temu w Londynie, zarabiała na życie, wyszukując na zamówienie obrazy. Czasami otrzymywała zlecenie znalezienia jakiegoś mebla. Z każdym rokiem jej praca stawała się trudniejsza, ponieważ – jak twierdziła – niewiele pozostało na świecie wartościowych i łatwych do zdobycia dzieł sztuki. „Same gówna”, mawiała. Twierdziła, że nie jest łatwo konkurować z nowymi kupcami. Podziwiałam trafność jej sądów i niezmiennosc poglądów – uparcie uważała, że nie można określić mianem sztuki niemal niczego, co stworzono po roku 1939. Pauline była wówczas estetycznym snobem.

Tu, w Nowym Jorku, zamontowała w drzwiach siedem skomplikowanych zamków. Potrzeba kilku minut, by je otworzyć. Gdy weszłam, wręczyła mi kieliszek szampana, rekompensatę za to, że musiałam tak długo czekać na półpiętrze, słuchając *Wiatraków, w mojej głowie*. To moja ulubiona piosenka z szafy grającej na dole. W końcu, w „Koteczku” trwała właśnie „Szczęśliwa godzinka” (Pauline z przekąsem nazywała ją „nieszczęśliwą”). Wczesnym wieczorem z szafy wybierano zwykle płacziwe piosenki, co zawsze mnie zaskakuje, bowiem sentymentalizm pasuje mi raczej do późnej pory nocnej.

– Siadaj – powiedziała, podnosząc z pokrytej kapą sofy stos gazet. Moja przyjaciółka czyta wszystkie czasopisma, jakie wychodzą na świecie.

Była ubrana w czerwono-białe, pasiaste, szerokie spodnie i moherowy gorsecik. Pauline ma miękkie, wydatne usta. Mawia, że to jeden z jej najbardziej zwodniczych atrybutów. Większość mężczyzn myśli i mówi jej, że te usta mają w sobie obietnicę biegiłości w pewnej dziedzinie (tyle że nie ubierają tego stwierdzenia w tak subtelne słówka). Pauline twierdzi, że wie z własnych obserwacji, iż rozmiar, budowa czy dwuznaczny wygląd ust niewiele ma niestety wspólnego z ich miłosną sprawnością. Dodaje szybko, często przeproszającym tonem, że podczas aktu miłosnego usta należą do jej najmniej „skutecznych” części ciała. Nikt jednak nie wierzy w te zapewnienia i, w konsekwencji, te niezwykle wargi sprawiają mojej przyjaciółce więcej kłopotów niż są tego warte.

Pauline jest pesymistką, a przy tym zwykle wszystko wyolbrzymia, toteż często nazywa siebie (z czym na pewno zgodziłaby się panna Burgess) dziwką. Z rezygnacją w głosie zwierza mi się, że nie potrafi znaleźć prawdziwej miłości, co w jej ustach brzmi niczym

drobna słabostka albo też przyjmowana z pokorą kara za pierwsze feministyczne przykazanie, którego moja przyjaciółka nierozsądnie i przez pomyłkę została zwolenniczką pod koniec okresu dojrzewania, a od którego obecnie – jak sądzę głównie z powodów honorowych – nie ma zamiaru odstąpić.

– Wiesz – powiedziała skromnie i takim tonem, jak byśmy kończyły rozmowę, a nie ją zaczynały – mój akcent w Ameryce nikogo nie razi, w Londynie jednakże rozgryzali mnie w ciągu dziesięciu minut. Wiedzieli dokładnie kim i czym jestem. Mała, irlandzka, protestancka suczka, mówili. A tutaj... No cóż. Muszę przyznać, że dzięki akcentowi zaszłam dość daleko. Ludzie traktują mnie jak bóg wie kogo.

– Przynajmniej mówisz z jakimś akcentem. Ja nie mam żadnego. Dorastałam w kuchniach ambasad i kompletnie nic nie przygotowało mnie na Nowy Jork. Nikt mnie nie ostrzegł, że to miasto przypomina proszony obiad, na którym zasiadasz w towarzystwie stada drapieżników. Trzeba bardzo uważać na to, co się mówi i robi, ponieważ nigdy nie wiadomo, czyje stopy dotykają cię pod stołem. Już na samym początku popadłam w kłopoty.

– No tak – mruknęła. – Chcesz znać moje zdanie? Zawsze sądziłam, że o wiele częściej niż trzeba mówisz ludziom prawdę w oczy. – Uśmiechnęła się niczym osóbką, która zazwyczaj przestrzega etykiety i teraz nagle speszyła ją własna odwaga, z jaką przedstawiła mi swoje rewelacje. Coś przeszkadzało jej powiedzieć więcej.

Tak, „speszona” to dobre słowo.

– Dziś wieczorem na ulicy – powiedziałam – słyszałam, jak pewien facet krzyknął: „Tylko ty”.

– Do ciebie?

– Nie. Przykro mi to przyznać, ale obawiam się, że zwracał się do pewnego ładnego chłopca.

– Mam coś dla ciebie – stwierdziła nagle. – Prezent. Mnie przynosiła pecha. Czas, żebyś ty ją nosiła.

Pauline wyszła z pokoju, a kiedy wróciła, trzymała w rękach brokatową torebkę. Ujęła moją otwartą dłoń, podniosła torebkę i potrząsnęła nią, a wtedy na moją dłoń wypadła ciężka, złota bransoletka. Zwiślało z niej pięć złotych miniaterek.

– Jest od Cartiera – oświadczyła moja przyjaciółka, siadając. Starannie zamknęła torebkę i wsunęła ją za winylowe siedzenie krzesła.

Wyjęłam okulary, aby przyrzeć się bransolecie. Dostrzegłam szereg wisiorów – między innymi maleńki dziecinny wózek, koktajlowy shaker i telegram.

– Należała do mojej ciotki, jedynej interesującej osoby w rodzinie.

Zauważyłam też złoty sedesik oraz maleńki wihajster, którego przeznaczenia nie potrafiłam odgadnąć, ale skojarzył mi się z tłuczkiem do mięsa.

– Co to jest? – spytałam, pokazując Pauline ten fragment bransolety. Moja przyjaciółka również go nie rozpoznała.

Zauważyłam, że spłuczkę toalety ozdobiono małym szafirem.

– Mojej ciotce – stwierdziła Pauline – dał ją jakiś mężczyzna. Nie mam pojęcia kto. Nigdy mi nie powiedziała.

Pauline popatrzyła w pewny siebie i spokojny sposób. Niemal zbyt spokojny. Posłała mi przy tym nieco złowieszczy uśmiech.

– Otwórz shaker.

Otworzyłam. Wewnątrz znajdowało się małe złote dziecko. Wytrząsnęłam je na dłoń.

Patrzyłam na Pauline, nie rozumiejąc. W końcu zaczęłam rozumieć. Poczułam wstrząs.

– Kochanek jej to dał?

Pokiwała głową. Moje zaskoczenie śmieszyło ją.

– I ona ją nosiła? – spytałam.

– Ależ tak. Pamiętam bransoletę na jej ręce, kiedy grała w karty. Strasznie mi się podobało dziecko i wózek. Może dlatego zostawiła to cacko mnie.

Wyprostowałam się na krześle. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Kiedy zdołałam się odezwać, zdanie, które z siebie wydusiłam, zdziwiło nawet mnie samą.

– Zaczynam wierzyć, że większość przedmiotów trafia do nas nieprzypadkowo.

Przyjaciółka posłała mi lekko rozczarowane spojrzenie.

– Możesz sobie wyobrazić tego mężczyznę, jak wchodzi do Cartiera i zamawia ją? Nie sądzę, żeby w gablocie leżały złote wisiorki związane z porodem. No, teraz może tak, z pewnością jednak nie robili ich w 1956 roku. Zapewne przygotowali je specjalnie dla niego. Możesz to sobie wyobrazić?! Kim był ten mężczyzna? Och, mogłabym się z kimś takim umówić.

Patrząc na Pauline, zastanawiałam się, czy jej uśmiech można nazwać upiornym (uważam, że tak) i czy moją przyjaciółkę naprawdę rozbawiła własna opowieść.

– Będę ją nosić – oznajmiłam uroczyście i dziwnie Dorywczym tonem. Zupełnie niepotrzebnie uniosłam się kobiecym honorem. Wygłosiłam to wyzywające stwierdzenie w imieniu ciotki Pauline, jedynej interesującej osoby w jej rodzinie.

– Wiedziałam – stwierdziła. – Na kolację mamy kapary i ser. Może być?

– Jasne, że tak – odparłam.

Wysłałam na dwór. Owionął mnie jeden z tych ciepłych, gwałtownych wiatrów wiejących znad rzeki. Migający neon w postaci kota gryzącego czubek własnego ogona nadawał chromowanym karoseriom samochodów odcień różu. Ciężkie, obite mosiądzem drzwi „Koteczka” otworzyły się na chwilę, gdy dwaj mężczyźni w baseballowych czapczkach wchodzili do klubu. Usłyszałam starą piosenkę Whitney Houston.

Cornelius stał po drugiej stronie ulicy. Rozmawiał z odźwiernym.

Gdy mnie zobaczyli, umilkli na chwilę, jak gdyby porozumiewali się w języku, którego z pewnością nie potrafiłabym zrozumieć. Zresztą, może rzeczywiście mówili w obcym dla mnie języku.

Odźwierny uchylił w moją stronę kapelusza. Przyszło mi do głowy, by wskazać Corneliusowi to spotkanie jako przykład ironii, ale ugryzłam się w język.

Nic nie mówiąc, odwróciłam się od nich. Szłam, przyjemność sprawiał mi gorący wiatr wiejący w twarz i ciężar nowej bransolety na nadgarstku. Usłyszałam, jak Cornelius przechodzi ulicę. Po chwili mnie dogonił.

– Tylko przechodziłeś? – spytałam, nie obracając się w jego stronę.

– Rozmawialiśmy.

– O czym?

– O babkach.

Skinęłam głową i skręciłam za róg.

– Uważa pani, że to prawda? – spytał. – Że babki postępują w taki sposób, no wie pani, niczym branki... ponieważ boją się męskiej przemocy?

Odwróciłam się wreszcie i spojrzałam na niego.

– O tym właśnie rozmawialiście?

Roześmiał się.

– Pieprzyć to. Rozmawialiśmy o laskach, ogólnie. – Przez chwilę mi towarzyszył. – Dokąd pani idzie? – Nie zareagował, gdy plecak zsunął mu się z ramienia na łokieć. Po chwili włożył do środka walkmana. Udawał, że jest zajęty, i najwyraźniej nie dostrzegął niczego zdrotnego w tej sytuacji. A przecież spotkałam go – mojego studenta – kiedy czekał na mnie o jedenastej w nocy na rogu ulic White i Chapel! Cornelius zapiął sprzączkę plecaka.

– Więc dokąd pani idzie? – spytał jeszcze raz.

– Co tu robisz, Corneliusie?

– Czekałem na panią.

– Chcesz powiedzieć, że za mną szedłeś – mruknęłam.

Obrócił czapkę daszkiem do przodu. Przybrał odpowiednią postawę, czyli, używając

jego słów: „upozował się”.

– Jechałem tym samym pociągiem, co pani. Byłem w następnym wagoniku. Zamierzałem odwiedzić moją babcię w Brooklynie, kiedy jednak wagonik zatrzymał się przy ulicy Canal, zobaczyłem, że pani wysiada i też wysiadłem. – Przerwał. – Nie ma w tym nic złego – dodał.

– No cóż – odezwałam się powoli – wydaje mi się, że wręcz przeciwnie. Twoje zachowanie z pewnością jest niewłaściwe.

– Mam dla pani kilka ciekawych słów i już.

Udałam, że mu uwierzyłam, nadal jednak uważałam, że nie powinien był mnie śledzić. A zwłaszcza nie powinien na mnie czekać – trzy godziny! – aby mi przekazać jakąś informację.

– Może pani nie zechce ich zapisać, ponieważ to słowa, które określają... no, wie pani – stwierdził chytrze.

– Co takiego? – spytałam.

– Pani wie.

– Nie. O czym mówisz?

– O słowach, które określają to, co pani nazywa seksem.

Chciałam zapytać, jakim słowem on określa seks. Byliśmy na rogu Broadwayu i ulicy Franklina.

– Słuchaj, Corneliusie – powiedziałam. – Sądzę, że powinieneś pójść do swojej babci, czy gdziekolwiek... Nie potrzebuję twojej pomocy w pracy nad moim słownikiem.

– Nie chcę iść do domu – powiedział takim tonem, jak gdyby wreszcie mówił mi prawdę. Zastanowiłam się, czy w końcu dowiem się, czego ode mnie chce.

– Dlaczego? – spytałam.

– Przyszedł tam ten człowiek i przeraził moją babcię, wypytując ją o jakąś martwą dziwkę. Powiedział też, że doszło do kolejnego morderstwa. Powiedział wręcz, że idzie na morderstwo.

– A co to ma niby znaczyć, że „idzie na morderstwo”? – spytałam.

– Nie ma prawa zadawać mi pytań i już – ciągnął rozdrażniony.

– Ach, bo widzisz... chodzi o morderstwo. Zamordowano dziewczynę, która była wtedy w barze. Dlatego policja chce z tobą rozmawiać.

– W jakim barze? Nie chodzę do barów.

– Byliśmy tam po zajęciach – wyjaśniłam spokojnie, zapytując siebie, dlaczego właściwie traktuję go tak cierpliwie.

– Co z tego, kurde?

– Barman mnie zna – odparłam. – Podał policji moje nazwisko.

– Ale skąd znał moje? Po co mi, kurwa mać, to gówno?

– Nie wiem, Corneliusie. Nie obchodzi mnie to. Powiedziałam detektywowi, że byłam w barze z moim studentem.

Dotarliśmy do schodów prowadzących na stację metra.

– Pojadę z panią do Greenwich – oznajmił. – Nie powinna pani o tej porze chodzić sama po Szóstej Alei.

Zszedł za mną po schodach. Pociąg akurat wjeżdżał na peron. Szybko wsunęłam żeton, a Cornelius przeskoczył barierkę i w ostatniej chwili znaleźliśmy się w wagonie. Ogarnęło nas poczucie triumfu, z pewnością nieco na wyrost w odniesieniu do złapania metra. Drzwi zamknęły się za nami. W wagoniku znajdowało się sześć osób, wśród nich trzy zmęczone kobiety, które wyglądały jakby wracały do domu po wysprzątaniu całego biurowca na Wall Street. Zauważyłam nowy afisz „kolejowej poezji”. Był to wyjątek z *The Passionate Man's Pilgrimage* sir Waltera Raleigha. „Obdarz mnie konchą ukojenia”.

Cornelius uśmiechnął się do mnie, a ja zastanowiłam się, czy przypadkiem nie uważa mnie za bezradną, słabą kobietkę, i po sekundzie uświadomiłam sobie, że rzeczywiście taka jestem. Mogłam oczywiście wyskoczyć z pociągu na następnym przystanku, znaleźć jakiegoś gliniarza i poskarżyć się, że pewien młody człowiek upiera się, by dla mojego bezpieczeństwa towarzyszyć mi w drodze do domu. Doświadczenie mogłoby się okazać interesujące.

Nie rozmawialiśmy. Staliśmy, ponieważ sądziłam, że taki układ zapewnia nam obojgu wygodę, a nawet pewną zażyłość; kołysaliśmy się wraz z pociągiem, odchylając lekko kolana jak wszyscy pasażerowie metra. Pociąg zatrzymał się przy placu Astor. Wysiedliśmy.

– Dlaczego na tamtym murze umieszczono wizerunek dupy? – spytał. Był tuż za mną.
– Wiem, że pani wie – dodał.

Wiedziałam.

– Ale mi pani nie powie – dodał – ponieważ panią irytuję.

Użył słowa, które bardziej by pasowało do jego pochodzącej z zachodniej części Indii babci. Dziwne słowo, takie jak „karabela”. Wiele hinduskich wyrazów sprowadził zapewne na Karaiby Walter Raleigh, którego wierszyk widziałam przed chwilą w metrze.

– Jestem już bezpieczna, Corneliusie – rzuciłam przez ramię, szybko wchodząc po schodkach.

Szłam Ósmą Ulicą ku Piątej Alei. Wcześniej zamierzałam zatrzymać się przy delikatesach, żeby kupić mleko na śniadanie, teraz jednakże szłam prosto przed siebie.

– Doprowadziłem panią tak daleko... – powiedział dwuznacznie.

Kiedy dotarłam do końca kwateru, zauważyłam stojący przed moim budynkiem samochód. Był szary, pordzewiały w okolicach zderzaków. O maskę opierał się mężczyzna.

Nagle stwierdziłam, że nie słyszę już za sobą odgłosu kroków Corneliusa. Odwróciłam się. Mój student zniknął.

Udałam, że nie widzę Malloya. Weszłam po schodach.

Zawołał mnie po nazwisku.

Odwróciłam się.

Stał przede mną na chodniku i podrzucał w dłoni kluczyki.

– Miałem nadzieję, że zastanę panią w domu – oświadczył.

– Nie było mnie.

– Doprawdy?

Uśmiechnęłam się.

– Chciałem tylko uzgodnić z panią kilka dodatkowych szczegółów – wyjaśnił.

– Szczegółów?

– Tak. Kilka kwestii.

– Chce pan wejść? – Własne pytanie zaskoczyło mnie.

– Nie – odparł.

Uprzytomniłam sobie, że pragnę, by mężczyzna wszedł do mojego mieszkania i fakt ten zdziwił mnie jeszcze bardziej. Decyzja, każda decyzja kończy flirt... Małżeństwo, najbardziej radykalna z takich decyzji, stanowi tu dobry przykład.

– To nie zajmie nawet minuty – stwierdził. Odwrócił się i otworzył drzwiczki samochodu przy krawężniku.

Zeszłam powoli po schodach. Wiedziałam, że Malloy mnie obserwuje, i poruszałam się powściągliwie, powoli kołysząc biodrami; jedną rękę trzymałam w kieszeni, drugą odgarniałam włosy z twarzy. Zdjęłam okulary.

Wsiadłam.

– Nadal wsiada pani do samochodów nieznajomych facetów – powiedział.

Radio było nastawione na stację nadającą stare przeboje. Mężczyzna obszedł samochód i wsiadł. Chodził dziwnie, jak gdyby bolały go mięśnie.

– Przez cały dzień byłem w pieprzonym tunelu – wytłumaczył się.

– W pieprzonym tunelu? – Czasami rozumiem słowa w sposób bardziej dosłowny, niż zamierzył to sobie mój rozmówca.

Mężczyzna popatrzył na mnie.

– Dostaliśmy telefon. Znalezione martwe ciało w tunelu, który biegnie wzdłuż autostrady West Side. Gdy byłem dzieciakiem, często obserwowałem tam wozy cyrkowe. Teraz to miejsce zaludniają bezdomni. Przeważnie węgierscy Cyganie. Nawet nie wiedziałem, że Cyganie jeszcze istnieją, a pani?

Skinęłam głową.

– Znaleźliśmy wysuszone ciało. Facet przypominał mumię. Miał na całym ciele liczne rany klute.

Nic nie odpowiedziałam, przerażona faktem, że detektyw przerwał. Medytacja, czyli porządkowanie myśli...

– Zabito go w innym miejscu – podjął z osobliwym uśmiechem. – Podejrzewamy, że faceci z Dwójki odkryli u siebie ciało, po czym przepchnęli je do naszego okręgu. Wszyscy tak robimy, przez cały czas. Znajdujemy w rzece topielca i zamiast zgłosić ten fakt centrali, spychamy go, by odpłynął na obszar sąsiedniego okręgu. W ten sposób oszczędzamy sobie pracy. Tak czy owak, poszedłem poszukać starego przyjaciela, Vladimira Kostova. Trudno się dostać do jego małej posiadłości. Kostov czerpie wodę z parku Riverside. Mawia, że skały ją filtrują. Dziwny gość. Ma zwyczaj obsikiwać swoje włosy, twierdzi bowiem, że szczury nie przekroczą tej linii. Kiedy go spotkałem po raz pierwszy, o mało go nie zabiłem. Zasunął mi nożem. Nienawidzi wszystkich ludzi na świecie, do mnie jednak poczuł sympatię. Właśnie on opowiedział mi o tym ciele. Ofiara nazywa się Farrington. Musieliśmy facetowi odciąć palce, by się tego dowiedzieć.

– Przykro mi – bąknęłam.

– Zwykle robi to koroner. Odcina palce i moczy je, aby uzyskać odciski. Wysuszone ciało traci cały płyn, a skóra na palcach kurczy się, wyobraża to pani sobie? Nie sposób zdobyć dobrych odcisków. Podobnie się dzieje z ofiarami pożarów. Trzeba obdrzeć palec ze skóry, potem odwrócić ją, owinać nią własny palec i dopiero wtedy można uzyskać odcisk. A ten Farrington nie grzeszył świętością. Siedział kiedyś za zabójstwo. Był też alfonsem męskiej prostytutki, transwestyty nazwiskiem Michael Tilly, znanego też jako panna Theresa, zależnie od płci, którą przybierał danego dnia. – Malloy westchnął i przesunął palcami po włosach. – Znalazłem tę pannę Theresę wczoraj po południu w przytułku przy ulicy Wschodniej Sto Dwudziestej Szóstej. Facet umierał na AIDS. Dostał straszliwej biegunki i wyrzucono go ze schroniska w momencie, gdy przechodził przemianę z Michaela Tilly w pannę Theresę, a może w trzecią kurewkę o imieniu panna Słodka. Tak czy owak, wychrzanił go. Podczas rozmowy zacząłem powoli kojarzyć fakty i w końcu odkryłem prawdę. To panna

Słodka zabiła Farringtona. Ze strachu. Zabierał jej pieniądze, walił po pysku, kazał jej dmuchać facetów i laski. Kutas.

Byłam zmieszana jego szczerością.

– W każdym razie – dodał – zostawiłem go tam, gdzie go znalazłem i zacząłem starania, by pomoc społeczna zabrała go do szpitala. Kiedy wróciłem, nie żył. Nie żyła! Nie żyli.

– Cornelius twierdzi, że gdzieś w okolicy popełniono kolejne morderstwo – zauważyłam.

– Kto tak twierdzi?

– Cornelius Webb. Mój student.

– Dlaczego pani o tym powiedział?

– Nie wiem – odrzekłam. Sama się nad tym zastanawiałam.

– Co jeszcze mówił? – odezwał się detektyw zupełnie innym tonem. Był czujny. Już nie marzycielski ani skory do sypania anegdotami.

– Że zabito kolejną kobietę.

– Kiedy to powiedział?

– Twierdził, że taką informację przekazał pan jego babci. Podobno pan jej powiedział, że jedzie na następne morderstwo.

Popatrzył na mnie.

– Może powiedziałem: „kolejny pogrzeb” – zauważył. – Ale na pewno nie użyłem słowa „morderstwo”. W ciągu ostatnich siedemnastu dni zamordowano na południowym Manhattanie dwie kobiety. Mówi to pani coś?

Wydawało mi się, że nie powinnam się zachowywać nonszalancko. Że nie powinnam się lekceważąco wypowiadać o sprawach damsko-męskich. W każdym razie, w ogóle mu nie odpowiadałam.

– Więc coś pani powiem. Nie popełnił ich ten sam zabójca.

Malloy najwyraźniej lubił mówić eufemizmami, choć równocześnie wyglądał na przyzwoitego gliniarza. Zasadniczo w sprawach służbowych był dość powściągliwy, ale tym razem nie zamierzał mi poskąpić sugestywnego opisu.

– Wielokrotni zabójcy mają, hm, pewien sposób, by zabijać skutecznie. Wykorzystują go stale, wciąż działają tak samo. Sposób jest dla nich najważniejszy. Zresztą, wszyscy tak postępujemy. Wszyscy powielamy coś, co nam się udało. Nabieramy przez to wprawy. Również zabójca uczy się podczas każdej kolejnej zbrodni. Udoskonala metodę. Zachowuje się identycznie za każdym razem. Natomiast te dwa zabójstwa były zupełnie odmienne.

Reprezentowały inny styl.

Spojrzałam przez okienko na dwie młode dziewczyny. Szły brzegiem parku. Wręcz prosiły się o kłopoty.

– Dlaczego został pan policjantem? Popatrzył na mnie z zaskoczeniem.

– Nie wiem. Po prostu tak wybrałem i już. Proszę się skupić: kiedy dokładnie pani student mówił, że jadę na kolejne morderstwo?

Nie byłam pewna, o co detektyw pyta – czy o to, kiedy Cornelius mi to powiedział, czy o to, kiedy on, Malloy miał jechać na miejsce zbrodni.

– Jakies dziesięć minut temu – odparłam.

Policjant pokiwał głową.

– Jestem przekonany – powiedział z naciskiem – iż wobec pani Webb użyłem określenia „kolejny pogrzeb”.

Spojrzałam na niego.

– Pogrzeb – powtórzył. – To nie to samo. Wie pani, o czym mówię?

Poczułam zapach jego wody kolońskiej albo płynu po goleniu i nagle przypomniałam sobie, co mawiał mój ojciec: „Dżentelmeni nie używają perfum”. Tego, co czułam, z pewnością nie można było nazwać perfumami. Klimatyzacja działała, w samochodzie było zimno, dzięki czemu zapach wydawał się jeszcze silniejszy. Odkręciłam okienko, a wtedy Malloy pochylał się do przodu i przykręcił klimatyzację.

Później sięgnął pod marynarkę, jak gdyby cierpiał na świerzb, po czym wyjął małe czarne telefon i próbował wystukać na nim numer, przesuwając się do przodu, by złowić trochę światła padającego z lampy ulicznej. Westchnął, wyłączył telefon i z wysiłkiem powiesił go sobie z tyłu na pasku.

– Chodzi o tego dzieciaka, który szedł za panią przed chwilą? – spytał. – Tego czarnego dzieciaka? To Cornelius?

– Pan również mnie śledził – mruknęłam.

– Śledziłem? – Roześmiał się.

Nastawił głośniej radio. Betty Everett śpiewała *W jego pocałunku*. Spojrzałam na ręce detektywa. Na trzecim palcu lewej dłoni nosił duży złoty sygnet, który wyglądał jak symbol jakiegoś college'u. Na małym palcu prawej dłoni Malloy miał mały złoty pierścionek – dwie ręce trzymały serce. Irlandzkie paskudztwo. Zastanawiałam się, czy na tyłku ma wytatuowaną irlandzką koniczynkę.

– Skąd pani jest? – spytał nagle. Zanim zdołałam odpowiedzieć, oświadczył: – Ja pochodzę z Washington Heights. – Przerwał, aby posłuchać muzyki. – Wiem, nie ma to jak

czasy, gdy się było dzieckiem. Można było sobie zmyślać i takie tam.

Milczałam. Nie zamierzałam dać się wciągnąć w jego grę.

– Pochodzi pani z Nowego Jorku? – naciskał.

– Z Filipin – odparłam.

Popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

– Kurde, niech pani da spokój!

– Tak – burknęłam. – To straszny kraj.

– Niech pani będzie poważna!

– Mój ojciec pracował w Departmencie Stanu.

– Pieprzenie.

– Na czyj pogrzeb się pan wybiera?

Znowu się roześmiał.

– Na żaden. W każdym razie, nie dziś wieczorem. Byłem na wielu pogrzebach, dziś w nocy jednak uczestniczyłem tylko w sekcji zwłok. Czy to się liczy?

– Może i tak.

– Ta dziewczyna, którą zamordowano w ubiegłym tygodniu... – Malloy zniżył głos i przybrał serdeczny ton. – Wie pani, jeśli ktoś zostanie uduszony rękoma albo ktoś go walnie i wgniecie mu żołądek, na pierwszy rzut oka trudno odgadnąć przyczynę śmierci. Badam ciało na miejscu zbrodni i nie wiem niczego na pewno. Stwierdzam, że wygląda mi to na zabójstwo, że pachnie zabójstwem, że to jest zabójstwo... nie znaczy to jednak, że znam przyczynę śmierci. A wie pani, że każdy, kto się pojawia na miejscu zbrodni zmienia je w jakiś sposób, dodaje coś lub coś zabiera. Zwykle dodaje. Rozumie pani? Tyle że do mnie przemawiają ciała. Zwłoki mogą mi powiedzieć wiele rzeczy. Czasami nawet wszystko, czego potrzebuję.

Ściszył radio.

– Proszę posłuchać – podjął. – Wróćmy do tej zamordowanej dziewczyny. Rudowłosej. Po to przyszedłem. Czegoś brakuje, hm, pewnego elementu jej ciała. Nie mogę jeszcze pani powiedzieć, o jaką część chodzi.

– Rozczłonkowanie – powiedziałam.

– Skąd pani o tym wie? – spytał, patrząc na mnie z ciekawością.

– Sam mi pan powiedział. Sprawdziłam to słowo w słowniku.

– Wprawia mnie pani w zakłopotanie – zauważył.

– Ja?

– Sądzę, że chciałbym postawić pani piwo.

Stanął przy barze i przysunął dla mnie stółek. Usiadłam, a wtedy zapytał, czego się napiję. Odparłam, że piwa, a on zapytał, jaki gatunek, szybko dodając, że mogę wybrać każdy. Zamówił dwa guinnessy i położył na barze banknot dwudziestodolarowy. Kobieta z pewnością nie położyłaby w taki sposób pieniędzy. Chętnie zapamiętuję takie różnice w zachowaniu mężczyzn i kobiet. Interesują mnie.

– Ciągłe mieszkasz w Washington Heights? – spytałam poufale.

– Właściwie nigdy się stamtąd nie wyniosłem. Nigdy. Próbowałem, Bóg mi świadkiem, że próbowałem, ale nie dotarłem zbyt daleko. Dwa razy dziennie przejeżdżam przez most Jerzego Waszyngtona. Kiedy idę do pracy i w drodze powrotnej do domu. Ilekroć schodzę z mostu na Manhattan i czuję, że żołądek podjeżdża mi do gardła, uświadamiam sobie, że już zbyt długo jestem nowojorskim policjantem. Zresztą, naprawdę mam kłopoty z żołądkiem. Mój stary partner mawiał: „Malloy, gdy przestaje być zabawnie, trzeba się wynosić. Ostatni dzień frajdy oznacza koniec”. Rozumiesz mnie?

– Tak – odparłam.

Detektyw rozejrzał się po barze i wybrał stolik w odległym kącie. Przez chwilę stał i patrzył na frontowe drzwi. Zauważyłam jego krawat, który wyglądał jak od Hermsa, w typie, jaki noszą bogaci chłopcy. Na krawacie dostrzegłam sylwetki zwierząt – żyraf lub mrówkojadów. Malloy zobaczył, że na niego patrzę.

– Prezent – wyjaśnił. – Prezent od pewnej ofiary z East Side. Podoba ci się? – Podniósł koniec i przyjrzał mu się. Jemu na pewno się podobał.

– Prezent od ofiary? – Nie rozumiałam.

– Widzisz – wyjaśnił, śmiejąc się – przez całe moje życie żyłem o dwa kroki od więzienia.

– Ciągłe mi nie powiedziałaś, gdzie mieszkasz.

– Hrabstwo Rockland. Wiesz, gdzie to jest? Północ stanu, po drugiej stronie rzeki Hudson. – Musnął dłonią moje kolano, po czym przeprosił.

Sięgnął po duży kufel guinnessa. Ponownie zauważyłam, jak piękne Malloy ma ręce. I nadgarstki. Czyste, równo przycięte paznokcie. I tatuaż.

Dostrzegł, że obserwuję jego dłonie.

– Trafiły mi się strasznie pedalskie łapska – rzucił.

Zastanawiałam się, jaki jest jego stosunek do własnych oczu. Pedalskie oczka. Odniosłam jednak wrażenie, że je lubi.

– A co to za tatuaż?

– Należę do klubu. Tajnego.

– Macie wielu członków?

– Zaledwie kilku.

Pokiwałam głową. Spodziewałam się takiej odpowiedzi.

– Mieszkam z moją byłą... Odpowiadam na jedno z wielu twoich pytań. – Wziął łyk, a następnie wytarł z ust jasną pianę.

Z jakiegoś powodu nie byłam zaskoczona.

– Wróciłem pięć lat temu. Prawdę mówiąc, byłem wykończony. Po rozwodzie zamieszkałem z matką w duchowo-dominikańskiej Washington Heights. To trochę krępujące być rozwiedzionym mężczyzną i mieszkać z matką, wiesz, co mam na myśli? Nie bardzo wiedziałem, jak powiedzieć dziewczynie po kolacji: „Musimy pójść do ciebie, ponieważ moja matka może jeszcze nie spać i odmawiać różańce. Obiecuję, że wyjdę przed rankiem”.

– Niezły pomysł.

Zdziwił się.

– Wyjść przed świtem – podpowiedziałam.

– Kobiety nie chcą, żeby spędzać u nich noce, zgadzasz się ze mną? Nie chcą się budzić obok faceta. W niektóre dni chodzę do pracy na szesnastą, a kobiety nie chcą, żeby im się kręcić po mieszkaniu przez cały pieprzony dzień. Wiele z tych, które znam, zabiera faceta do domu, kocha się z nim i na tym koniec. Gdy wstaję, widzę wyraźną ulgę na ich twarzach. Wydaje mi się, że myślą: „Nie tylko był dobry, ale w dodatku się wynosi, kiedy trzeba”. Zresztą, nie każdy mężczyzna ma ochotę obudzić się rano obok kobiety, z którą spędził noc. Zobaczyć ją, rozmawiać z nią. Po co? A tak, wszyscy są szczęśliwi.

Posłał mi duży uśmiech i podniósł kufel. Wzięłam swój i rozległ się brzęk, gdy bransoletka z wisiorami dotknęła blatu baru.

– Ładna rzecz – ocenił Malloy, odstawiając kufel. – Posłuchaj. Mogę być dla ciebie wszystkim, co zechcesz. Tak, jestem naprawdę dobry w te klocki. Po prostu zapamiętaj to sobie. Chcesz, żebym był twoim najlepszym przyjacielem i cię przeleciał? Nie ma problemu. Pragniesz romansu, chcesz ze mną chodzić na kolacje i tak dalej? W porządku. – Wziął łyk. I dodał bardzo poważnie: – Jednego nie zrobię. Nigdy nie będę się za tobą uganiał.

Wiem z doświadczenia (mam w końcu prawie trzydzieści pięć lat i znam się co nieco na tego typu sprawach), że kiedy dwoje ludzi rozmawia o seksie, seksie w sensie teoretycznym, jeśli w ogóle istnieje coś takiego... to tylko rodzaj gry wstępnej, próba generalna, werbalne sprawdzenie, czy pieprzenie się uda. Zdawało mi się, że właśnie tak postępuje ze mną detektyw Malloy, gdy tak siedział przede mną z tym swoim uśmiechem, pedalskimi rękoma i oczyma. Proponował mi grę. Jak dla mnie, działał trochę zbyt szybko.

Wwiercał mi się w głowę. A może raczej w łono. Zresztą, myślałam już o nim przedtem.

– Chyba nie jest łatwo mieszkać z eks-żoną? – zapytałam nagle.

– Co masz na myśli? – Był szczerze zdziwiony.

– Randki. Nieuganianie się za dziewczynami.

– Najwyraźniej nie znasz gliniarzy. Mam przyjaciół, którzy nie nocowali w domu od wieków. – Popatrzył na mnie. – Wiesz, że gliniarze są najgorszymi mężami? Wiesz o tym?

– Najwyraźniej nie są też zbyt wiernymi kochankami.

– Zmieniają dziewczyny jak rękawiczki.

Zdałam sobie sprawę z faktu, że ni stąd, ni zowąd i pozornie bez powodu zaciekawiła mnie pewna kwestia – czy Malloy należy do mężczyzn, którzy lubią sobie również porozmawiać o stosunku już po nim, na przykład telefonicznie w dwa dni później. Uprzejmie pytanko: „Czy nie boli cię pochwa? Czy zmieniła kształt? Może przypadkiem rozciągnęła się do rozmiarów stadionu Shea?”

Nagle straciłam ochotę na rozmowy o sprawach męsko-damskich. Albo o rękawiczkach.

– Dlaczego twój partner nosi w kaburze pistolet na wodę?

– Odebrano mu broń. Nadal pracuje, ale nie wolno mu nosić broni. Akurat dziś wieczorem nie pracuje ze mną.

– Jesteś teraz w pracy?

– Tak, cholera, niestety. Jak sądzisz, co tu robimy? To się nazywa przesłuchanie. Przesłuchuję cię w tym momencie. Nie ma znaczenia, że nasza rozmowa odbywa się w barze. Widzisz – dodał ze znużonym westchnieniem – wiele się u nas zmieniło od czasów, gdy podjąłem pracę. W Wydziale Zabójstw najważniejsze są teraz zwłoki.

– Dlaczego twój partner ma wolne?

– To nie jest urlop, ale częściowe zawieszenie w obowiązkach. – Wypił łyk. – Żona przyłapała go z inną kobietą. Dużą, tłuścą dziewczuchą. Richie lubi takie.

– Od kiedy za niewierność odbiera się policjantowi broń?

– Cóż, jego stara wybiegła na zewnątrz i kluczykami zaczęła wydrapywać swoje imię na masce nowego samochodu Richiego. Do czasu, aż za nią wybiegł, była już przy drugim „n”. Na imię ma Lonnie. El-o-en-en-i-e. Straszliwie się wściekł i ruszył na nią. Lonnie wbiegła do mieszkania i wyrzuciła przez okno jakieś jego trofeum... Wiesz, jacy Latynosi są czuli na punkcie męskiej dumy. – Zmarszczył brwi. – No, i hmm... wtedy próbował ją zabić.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Richie żałuje, że nie jest lesbą. Wtedy mógłby się kochać z kobietą i zapomnieć o

całej reszcie. Wiesz, o czym mówię? Małżeństwo, dzieciaki i tego typu pierdoły. Hipoteka. Tłumaczyłem mu, że nie nadaje się na lesbiję...

– Dlaczego?

– Chodzi o seks oralny. Latynosi i czarni nie lubią się tak pieprzyć. Richie mawia, że nie polize niczego, co wstaje i odchodzi.

– Cieszę się, że mi o tym powiedziałeś – mruknęłam.

– Wiesz, Richie kochał to trofeum. Dostał je jako Obywatel Roku San Juan czy coś takiego. Mój partner bierze takie rzeczy poważnie. Wiele dla niego znaczą.

Historia mnie naprawdę rozbawiła i zastanawiałam się, czy mimowolnie się nie uśmiechnęłam. Chciałam, żeby Malloy mnie polubił. A właściwie... chodziło o coś więcej. Zaniepokoiłam się, gdy zdałam sobie z tego sprawę, dotarło do mnie bowiem, że tak naprawdę zapragnęłam być do niego podobna.

– Tak – przyznałam. – Dobry powód, żeby zabić żonę. Najlepszy ze wszystkich, jakie mi przychodzą do głowy.

Sama nie wiedziałam, co chcę przez to powiedzieć.

Niepokoilo mnie własne zachowanie.

– Odebrali mu broń, odznakę i częściowo go zawiesili. Jest teraz gryziopiórkiem, szarą myszą. Wypełnia papiery. Kiedy po raz pierwszy go przesłuchiwali, spytał, czy chcą zobaczyć jego oficjalnie wystawione przez policyjnego psychiatrę papiery. Dostał je dwa lata temu, kiedy jego stara zadzwoniła do szefa Wydziału i zagroziła, że się zabije, jeśli Rodriguez nie pojawi się w domu. A jakże, chcieli je obejrzyć. Tyle że kiedy Richie im je pokazał, pieprzone, tłuste gnoje je skonfiskowały.

Malloy zaczął się śmiać. Postawił stopę na szczeblu mojego stołka; nad kostką dostrzegłam czarną kaburę.

– Powiedzieli, że oddadzą mu papiery wraz z bronią i odznaką. Tak czy owak, teraz nie ma nic. Ani żony, ani broni, ani odznaki, ani pisma, w którym lekarz stwierdza, że Richie nie jest wariatem. To pismo było dla niego najważniejsze. Kurczę, codziennie je sobie odczytywał.

– Kogo nazywacie szarymi myszkami? Co to znaczy?

– Szarymi myszkami.

– No właśnie.

– To faceci, którzy chowają jaja do szuflady. Tacy, którzy przeprowadzają egzamin na oficera. I tacy, którzy nie chcą pracować na ulicy, bo są na to zbyt leniwi albo za bardzo się boją.

Malloy zamówił następną kolejkę, mimo iż nie skończyłam jeszcze poprzedniego kufła. Barman wybrał dziesięciodolarowy banknot z reszty na barze. Jak większość gadatliwych osób, detektyw nie opowiedział mi niczego o sobie. Mówił dużo, lecz dowiadywałam się tylko tego, co chciał mi powiedzieć. Nie wystarczało mi to.

– Jesteś pewna, że nie spotkaliśmy się wcześniej? – spytał nagle. – Przysięgam na Boga, że gdzieś cię już widziałem. Byłaś kiedyś na plaży, na brzegu? Może tam cię widziałem. Nosisz wzorzyste bikini?

Spojrzałam w te zimnobłękitne oczy. Postanowiłam zatrzymać dla siebie swoje podejrzenia i skłamać. To była moja stara, konformistyczna taktyka.

– Cóż, ja cię nie znam. – To był mój trzeci, szósty, a może nawet dziesiąty błąd. Przystałam już liczyć. – Po prostu kogoś ci przypominam – dodałam.

– Tak – odparł, rozglądając się. – Pewnie tak.

Przy barze, obok drzwi siedziała ładna czarna dziewczyna. Kiedy podniosłam na nią oczy, spostrzegłam, że patrzy na Malloya. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, czy to zauważył. Powinnam była wiedzieć.

– Odpowiadamy im spojrzeniem – odezwał się, pochylając się bliżej ku mnie. – Tak się flirtuje z czarnymi dziewczynami. Na biały towar sam się lubię pogapić. Przyłapie mnie taka, wtedy odwracam wzrok. Zrobię tak z pięć albo sześć razy i babka myśli, że jestem już jej.

Spojrzał ponownie na Murzynkę.

– Chcesz ją poderwać – stwierdził nagle.

Wpatrzyłam się w niego z uwagą, zaskoczona, że w ogóle rozważam jego sugestię. Nigdy dotąd nie brałam udziału w żadnym trójkącie z mężczyzną, i drugą kobietą. Jeszcze bardziej zdziwiła mnie kolejna myśl – Malloy interesował mnie tak bardzo, że nie życzyłam sobie obecności innej przedstawicielki mojej płci. Byłam zazdrosna o każdą. Z nikim nie chciałam się nim dzielić.

– Nie – powiedziałam krótko.

– Słuchaj – szepnął. – Chcę żebyś wiedziała, że niewiele spraw jest mi obcych.

Z moim ciałem działo się coś dziwnego. Odniosłam wrażenie, że zaczyna żyć własnym życiem. Zawołowane przechwałki Malloya zadziały na mnie jak spowiedź, która – tak mi się przynajmniej wydawało – maskowała jakąś pogrózkę.

– A pieprzyłś kiedykolwiek trupa? – spytałam. Próbowałam bawić się z nim dalej w tę narzuconą mi grę, chociaż wiedziałam, że nie jestem w stanie mu dorównać.

– Kogoś umarłego? – Roześmiał się. – Nie. Z pewnością nie. Na pewno nie pieprzyłem

nikogo, o kim wiedziałbym, że nie żyje.

– Ten chłopak, który był ze mną dziś wieczorem... Ten, z którym chciałeś porozmawiać... – Znowu zmieniałam temat.

Wytarł usta.

– Nie muszę z nikim rozmawiać.

Zaskoczył mnie tym stwierdzeniem.

– Już nie. Osobnik, który zabił tę laskę, wie wszystko o ludzkim ciele. Niełatwo jest podciąć komuś w taki sposób gardło. Twój przyjaciel Cornelius chyba nie potrafi wykręcić człowiekowi ramienia w stawie i oderwać go od reszty ciała, prawda?

– Nie... o ile wiem.

– Technika przypomina dzielenie kurczaka, rozumiesz? Umiesz ukręcać udka upieczonemu kurczakowi? Odrywać je?

Malloy wziął moją rękę i położył mi ją między pierś i drugie ramię. Poczułam się jak napiętnowana.

– Kość barkowa – oświadczył. – Tu jest staw ramienia. Bardzo trudne. Trzeba dokładnie wiedzieć, jak to zrobić.

„Ty wiesz”, pomyślałam.

Nagle się uśmiechnął i puścił moją rękę.

Spojrzałam przez ramię, zastanawiając się, co przyciągnęło jego uwagę.

Zobaczyłam postawnego, przystojnego detektywa Rodrigueza, który nie liże niczego, co wstaje i odchodzi.

– Cześć – rzuciłam wesoło.

– Cześć. Co u was? – Rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Jak ci się udało urwać z roboty, stary? – spytał Malloy. Jego ton zmienił się z „mówiącego do babki” na „mówiący do kumpla”. – Wypuścili cię?

Rodriguez wyszczerzył zęby.

– Kurwa mać, nie zamierzam nic robić. Co twoim zdaniem miałbym zrobić?

Sięgnął pod marynarkę. Ze zdobionej mapy Puerto Rico kabury wyjął plastikowy pistolet i wystrzelił w twarz Malloya cienki strumyczek wody.

Wręczyłam mojemu detektywowi serwetkę, którą wytarł sobie twarz. Natychmiast pozałowałam tego gestu, uświadomiłam sobie bowiem, że zachowuję się jak typowa baba.

– Och, chciałbym się mylić – mruknął Rodriguez do Malloya – ale zdaje mi się, że w tobie lepiej się nie zakochiwać.

– Daj spokój – odparł Malloy.

– Musiałem zaparkować na ulicy Christophera. Chyba ze stu pieprzonych naganiaczy proponowało mi wszelkie możliwe usługi seksualne. – Potrząsnął głową z oburzeniem.

– Ale nie miałbyś nic przeciwko temu, gdyby kilku facetów próbowało wypieprzyć sto kobiet jednej nocy – z zaskoczeniem usłyszałam własne słowa.

– Skąd to możesz wiedzieć? – odburknął. Zamówił wódkę i sok z żurawin. Wyjaśnił, że pomaga mu na zapalenie pęcherza, którego się nabawił od siedzenia na dupie. Poczułam do niego nagłą niechęć i fakt ten mnie zdziwił, zwłaszcza wobec jego ogromnego osobistego czy też – ściślej rzecz ujmując – bezosobowego piękna, typowo męskiego czaru, który zwykle wysoce sobie ceniłam. W dodatku Rodriguez zachowywał się w sposób bardzo chłodny i spokojny, wręcz obojętny, a taką postawę ceniłam sobie jeszcze bardziej.

– Wiesz? – zwrócił się do Malloya. – Jedna z cywilnych sekretarek, znasz ją, Dewanne, ta chuda laska, spytała mnie dzisiaj, jaka jest różnica między sześćdziesiąt dziewięć i departamentem policji. – Spojrzał na mnie. – Znasz ten dowcip?

Potrząsnęłam głową.

– Chyba nie.

Odwrócił się z powrotem do Malloya.

– Przy sześćdziesiąt dziewięć musisz się gapić tylko na jednego kutasa.

Malloy uśmiechnął się.

– Ta mała to dobre dziecko. Ze trzy razy przepisała moje raporty.

– Ma ochotę possać ci fiuta – rzucił Rodriguez. Ponownie rozejrzał się po sali i również dostrzegł siedzącą przy barze czarną dziewczynę. Uśmiechnął się do niej. Malloy zauważył, że obserwuję jego partnera i mrugnął do mnie.

– Sądziłem, że lubisz ciemne mięsko jedynie na Święto Dziękczynienia – powiedział do Rodrigueza. Zamówił następną kolejkę. – Znamy się ze dwadzieścia lat – wyjaśnił mi.

– Dłużej – poprawił tamten, nie odrywając oczu od dziewczyny.

– Gdzie jest Marty? – spytał go Malloy.

– Dzwonił na Dwudziesty Ósmy. Mówił, że ma chorą matkę.

– Popełniono zabójstwo w Trzy-Cztery – powiedział Malloy. – Łatwa sprawa. Jakiś meksyk zabił żonę. Kapitan pojechał na miejsce.

Rodriguez pokiwał głową.

– Najwyraźniej nie wiedziała, kiedy się zamknąć.

Zadałam sobie pytanie, czy Rodriguez nazwałby samego siebie „meksykiem”.

Odwrócił wzrok od dziewczyny i powiedział:

– Wiesz, wszystko, czego naprawdę potrzeba, to dwa cycki, dziura i żeby ci serce

szybciej zabiło.

– W gruncie rzeczy, nie potrzebujesz cycków – powiedział spokojnie Malloy.

– Nie musisz się też nawet wzruszać – dodał Rodriguez.

Przypomniałam sobie, co mówi Pauline – że mężczyźni gardzą nami, kobietami, po to, żeby się do nas zbliżyć, i żeby pokonać swój ogromny strach, który w nich wywołujemy. Moja przyjaciółka podchodzi chyba czasem do rzeczy w sposób zbyt romantyczny. Bardzo się starałam panować nad emocjami, ale prawdopodobnie mimowolnie się skrzywiłam, w każdym razie Rodriguez przyjrzał mi się i spytał:

– Jesteś pewno jedną z tych lasek, co? No, wiesz, tych... no, feministek. – Włożył wiele rozmaitych uczuć w to jedno zdanie.

– Sądziłam, że taka postawa jest ci bliska – odrzekłam. – Malloy powiedział mi, że lubisz tłuste kobiety, pomyślałam więc sobie, że jesteś tolerancyjny wobec nas, a może nawet bardzo nam życzliwy.

Ku mojemu zaskoczeniu, Rodriguez uśmiechnął się i irytacja zniknęła z jego dużej, ładnej twarzy. Przyszło mi do głowy, że wcale nie jest tak bardzo przystojny.

– Czy Malloy powiedział ci, dlaczego je lubię? – spytał.

– Nigdy nie posuwam się tak daleko – stwierdził Malloy. Wyglądał na trochę zakłopotanego.

– Ach, te tłuste laseczki – rozmarzył się Rodriguez. – Kiedy dzwonię, zawsze są w dobrym nastroju, nawet jeśli pora jest późna. Zawsze mówią: „Och, nie ma sprawy, i tak nie spałam”. Gotują dla mnie. Nawet jeśli jest piąta nad ranem. Są w dechę. – Pokiwał głową, zadowolony z siebie.

Patrzyłam na niego, zastanawiając się, czy żadna ze szczupłych dziewczyn nie chce gotować dla gliniarzy. Może na taką nie trafił.

– Ty pewnie nigdy w życiu nie byłaś gruba – powiedział do mnie.

Chociaż nie podoba mi się, gdy ktoś występuje w moim imieniu, zwłaszcza mężczyzna, w tym momencie byłabym naprawdę bardzo szczęśliwa, gdyby Malloy kazał się Rodriguezowi ode mnie odpieprzyć. Rozejrzałam się po barze. Prawie wszyscy byli ubrani w stroje, które przywodziły na myśl podróże. Szorty. Podkoszulki. Wiatrówki z marszczonego, sztucznego jedwabiu. Wiedziałam, że Pauline ma najlepsze wyczucie jeśli chodzi o ciuchy, a także niezłe doświadczenia – spędziła kiedyś lot z Miami do Nowego Jorku, siedząc obok faceta w mokrych kąpielówkach. Malloy i Rodriguez byli tu jedynymi mężczyznami w garniturach. Białe koszule, krawaty. Mieli na sobie nawet marynarki.

Rodriguez popatrzył na zegarek.

– Muszę wracać. Wybieram się jutro na ryby.

– Naprawdę jesz te stwory, które złapiesz? – spytał Malloy. – Stary, mówisz przecież o Hudson!

– A co złego jest w naszej rzeczce? Znajdziesz w niej wszystko, czego pragniesz.

Malloy roześmiał się.

– No cóż, byle nie topielców – odpowiedział dziwnym tonem.

– Mam się za ciebie podpisać? – spytał go Rodriguez. Zastanowiłam się, czy regularnie robił Malloyowi tę przysługę. Przykrywka. Łamanie przepisów. Rodriguez miał najwyraźniej świadomość, że Malloy mnie podrywa, i zupełnie jawnie dawał nam obojgu do zrozumienia, że o tym wie.

– Nie – powiedział Malloy. – Ja też wracam.

Poczułam, że się czerwienię z rozczarowania Odwróciłam wzrok, obawiając się, że dostrzegą mój rumieniec.

– To na razie, stary – rzucił Rodriguez. – Do zobaczenia później. – Odwrócił się do mnie z nieznacznym, triumfalnym uśmiechem. – Często tu przychodzisz? To twoja dzielnica, prawda? Masz tu blisko.

– Ona bywa raczej w lokalach dolnej części miasta – oświadczył Malloy.

Czyżby miał na myśli „Klub Koteczek”?

– Podrzucę cię do domu – powiedział do mnie.

– Zobaczymy się jeszcze – powiedział Rodriguez. Już przeciskał się przez tłum.

– Naprawdę łowi w rzece?

Malloy obserwował wychodzącego partnera.

– Jeździ w pewne miejsce blisko mostu Jerzego Waszyngtona. Jest tam mała latarnia, wprawdzie zamknięta dla zwiedzających, ale Richie ma do niej dostęp.

– W jaki sposób wchodzi do środka?

Malloy uśmiechnął się.

– Jesteśmy policjantami. – Podniósł z baru pieniądze, przeliczył je i odłożył pięć dolarów. – Możemy robić, co chcemy.

Po drodze do domu zauważyłam, że Malloy nie prowadzi w sposób typowy dla większości nowojorczyków płci męskiej. Jechał powoli, z rozmysłem, pewnie. Jedna stopa na gazie, druga na hamulcu. Nie używał klaksonu, nie nazywał nikogo dupkiem. Zastanawiałam się, czy w ten sam sposób się pieprzy.

Niestety, nie dowiedziałam się tego tej nocy. Śniłam o nim, samotna, w nocnej koszuli.

Zacząłam tworzyć słownik do książki na temat nowojorskiego slangu ulicznego. Lista słów jest niezwykle płynna, ponieważ niektóre z nich pozostają w użyciu zaledwie przez miesiąc lub dwa, a czasem znaczenie danego wyrazu różni się w zależności od dzielnicy i znaczy jedno w Brooklynie, a coś zupełnie innego w Bronksie. Same wyrazy – zawarty w nich humor, semantyczna inwencja wynikająca z kontrastu z językowym uzusem oraz emocjonalne nacechowanie – przerażają mnie.

Virginia – [rzeczownik] pochwa, wagina (np. penetrował penisem jej -);
belows – [rzeczownik w l.mn.] wnętrzności, jelita;
wig hat – [rzeczownik] peruka;
freezerator – [rzeczownik] lodówka;
yams – [rzeczownik, l.mn.] nogi;
gangster lean – [frazologizm] luzacki sposób siedzenia za kierownicą, z łokciem wysuniętym przez okno;
snapper – [rzeczownik] pochwa;
gash-hound – [rzeczownik] nożownik;
brasole – [rzeczownik] pochwa (czyżby z Sycylii?; *bresaola* to suszone mięso);
to skeeve – [czasownik] budzić odrazę, obrzydzenie;
skeeve – [rzeczownik] ktoś odrażający (czyżby od włoskiego *schifoso*?);
to pinch – [czasownik] dostać, mieć, odbyć („- rozmowę”);
tenderhooks – [rzeczownik; błędna pisownia *tenterhooks*] gwoździe, szpilki;
besides himself – [zwrot; błędna pisownia *beside himself*] obok niego;
dishonorable recharge – [frazologizm] ucieczka z więzienia.

No cóż. Nie wiem, od czego zacząć. Co powiedzieć. Co mam myśleć.

Nie wierzę w wykresy astrologiczne, telepatię, poszukiwanie drugiej połówki jabłka. Nie wierzę, że piramidy zbudowali obcy i nie wierzę w reinkarnację. Przynajmniej nie w moją własną. Mike Tyson może sobie wracać pod postacią irbisa, chociaż, szczerze mówiąc, irbis wydaje mi się dla Tysona zwierzęciem zbyt inteligentnym, za bardzo kobiecym i tajemniczym. (Próbując moich studentów zainteresować antropomorfizmem, a jednocześnie nauczyć ich pojęcia „porównanie”, prosiłam, aby sporządzili listę zwierząt i ich atrybutów. Mądry jak sowa, silny jak wół i tak dalej. Potem ich poprosiłam, aby wyjaśnili różnicę między rzeczownikami i określającymi je przymiotnikami. Studenci powiedzieli mi, że nie

ma różnicy. Sowy naprawdę są mądre.)

Nie wierzę też w przeznaczenie, chociaż czasami kusi mnie swoiste poczucie wolności, jaką niesie ze sobą wiara w nieuchronność, przynajmniej taka jak w *Spotkaniu w Samarze*. Sądzę jednak, że to nie śmierć czekana rogu ulicy Houston i Broadwayu, by zabrać moją duszę, lecz na przykład miejski autobus, którego po prostu nie zauważę.

Ta myśl naprowadziła mnie na kwestię zbiegu okoliczności. Nie wierzę w zbiegi okoliczności, które ujawniają się w zachowaniu człowieka. Istnieją oczywiście wyjątki, skłaniam się jednak ku opinii, że przeważnie zachowanie ludzkie nie jest sprawą przypadku. Na przykład, jeśli mojemu staremu przyjacielowi, Curtisowi, zdarzy się wpaść do mnie późną nocą, gdy mój nowy przyjaciel Teddy będzie akurat wypróbowywał zmodyfikowany węzeł żeglarski na rajstopach owiniętych wokół moich nadgarstków, nie określe tej sytuacji mianem przypadkowej.

Podsumowując, uważam po prostu, że nic z tego, co mi się przydarzyło w ostatnich dwóch tygodniach nie jest rezultatem przypadku. Trudności Corneliusa z – jak ją nazywa – opowieścią o zbrodni. Detektyw Malloy, który przychodzi się ze mną spotkać. Nawet prezent w postaci bransolety ze złotym dzieckiem.

Dziś rano w holu wejściowym pod moją skrzynką na listy znalazłam kauczukową rękę z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Tego rodzaju rekwizyt można kupić przed świętem Halloween, a może nawet przez cały rok.

Czy możliwe, że pozostawiono ją dla starszego mężczyzny z ostatniego piętra, który nie opuścił mieszkania od siedmiu miesięcy, czyli odkąd tu mieszkam? Wiele razy otwierałam frontowe drzwi niespokojnemu haitańskiemu dostawcy od „Gristede’a” i stąd wiem, – mimo iż go nigdy nie widziałam – że pan Seidman żyje i lubi naleśniki „Ciotki Jemimy” oraz koszerną kielbasę myśliwską.

Czy możliwe, żeby rękę pozostawiono dla mieszkającej nade mną młodej pary, właścicieli włoskiej restauracji w SoHo, którzy wychodzą i wracają regularnie jak w zegarku, toteż gdy w nocy słyszę odgłos ich kroków w korytarzu, wiem, że jest w pół do drugiej? Są zakochani. W ciągu sześciu miesięcy tylko raz się kłócili; słyszałam przez otwór wentylacyjny w łazience. Ona pracuje w restauracji jako hostessa. On się gniewał, że trochę zbyt długo zamarudziła przy stoliku reżysera filmowego, którego nazwisko do mnie nie dotarło.

Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby ktoś podrzucił rękę dla pana Seidmana, choćby po to, by go pognać w odwecie za kiepskie napiwki. (Nieźle słowo: „pognać”.) Nie uważam również, by gumowy rekwizyt miał stanowić ostrzeżenie dla miłej dziewczyny z góry, by

trzymała ręce przy sobie.

Myślę, że przedmiot jest przeznaczony dla mnie.

Podaję, że jednym z powodów, dla których John Graham się ze mną przyjaźni, jest moja słabość do obscenicznego opowiadania i czarnego humoru, choć tak naprawdę bardziej od samej fabuły cenię sobie oksymoroniczność na poziomie językowym – na przykład: „łagodna, swawolna, niezdarna koronczarka”.

John przez jakiś czas był aktorem, potem ponownie podjął studia na medycynie (osobiście nie widzę żadnego zgrzytu w tak radykalnej zmianie zainteresowań). Jest laryngologiem. Ucho stanowi jego większe – może powinnam powiedzieć mniejsze – pole działania.

Mój przyjaciel często mi zarzuca, że jestem werbalną kazuistką. Można by to stwierdzenie uznać za komplement, gdyby pojmować kazuistykę (chętnie tak robię) jako drobne i szczegółowe rozstrzygnięcie pewnych problemów. Wiem jednak, jak John postrzega znaczenie tego terminu, ponieważ sama mu je wyjaśniłam. Rzeczywiście jestem nieustępliwa i pruderyjna. Nienawidzę tych cech w sobie, ale prawdą jest, że nawet słowa dzielę na dobre i złe.

John jest dumny z własnej otwartości, tyle że wiecznie opowiada o sobie, a zwłaszcza o swoich sprawach intymnych. Za ledwie po kilku minutach pierwszego spotkania z Pauline zwierzył się jej ze swych podejrzeń, jakoby w wieku lat czternastu był molestowany seksualnie. Nadal nie rozumie, dlaczego sprzeciwiam się, by o tym mówił. Dodaje, że przydarzyło mu się to tylko raz i oczywiście ma tu ma myśli ów hipotetyczny incydent, a nie – z pewnością nie! – częstotliwość, z jaką wraca do tego tematu.

Ubiegłej nocy obudziły mnie krzyki Johna pod moim oknem. Błagał, żebym go wpuściła.

Wcisnęłam brzączyk otwierający frontowe drzwi.

Zamiast powitania oświadczył, że nie wyglądam zbyt dobrze.

Podziękowałam mu sarkastycznie.

– Mówię szczerze – dodał.

Powiedziałam, że naprawdę nie musi mnie co do tego przekonywać.

– Wyglądasz na strasznie spiętą i zmęczoną. Tak jak podczas tych okresów, gdy coś piszesz. Nie pracujesz chyba nad kolejną książką, co?

– Nic mi nie jest. Czuję się dobrze. Chociaż przykro mi cię rozczarować.

– Ktoś powinien ci wymasować plecy – stwierdził. – Właśnie tego ci potrzeba. –

Stanął za mną i położył mi obie ręce na ramionach. – Równocześnie mógłbym ci służyć lekcją anatomii.

– Tylko wtedy, jeśli obiecasz, że pominiesz uszy.

– Mówisz serio? – Pochylił się i spojrzał na mnie z niezdecydowanym uśmiechem na opalonej twarzy.

Odsunęłam się od niego.

– Czy lekarzom wolno się opalać?

– Spacerowałem ze Skipem po parku ostatniego wieczoru. – Zmienił temat. – Późno jak na mnie – dodał szybko – ponieważ wstaję wcześniej, by oglądać poranne wiadomości, z których dowiem się o wszystkim, co się zdarzyło podczas mojego snu. Widziałem, jak wchodzisz do domu, i nawet zamierzałem cię odwiedzić, ale znam twoje uczucia wobec Skipa.

– Sądziłam, że bywasz w parku popołudniami – mruknęłam, zamykając notesy i przesuwając je, aby ukryć na wpół zjedzone jajko na twardo. Wyglądało na przekąskę nadto typową dla starych panien oraz osób samotnych, a nie miałam ochoty wysłuchiwać wykładu na temat mojego sposobu odżywiania się. Albo trybu życia samotnej rozwódki.

Nie lubię, gdy ktoś przegląda teksty, nad którymi pracuję, albo czyta prace moich studentów. Przez jakiś czas byłam przekonana, że John ma apetyt na moją studentkę Andreę – wcześniej przeczytał cykl jej wierszy, które napisała na temat swojego pierwszego doświadczenia erotycznego ze swoim chłopakiem Mannym. Niepoprawnie nazwała je sonetami „jing-jang”, a ja, mając trudności z wystawieniem jej stopnia, głupio zostawiłam je na biurku. Czasem trudno mi oceniać pisarstwo moich studentów, nie mam dla ich pracy odpowiednich punktów odniesienia. Gdyby Faulknerowi postawić piątkę, Andrei musiałabym dać pałę. Nie mogę użyć jako miernika ich własnych prac, ponieważ nie zadaję im wiele. Tłumaczyłam kiedyś panu Reilly, który naucza literatury angielskiej, że moje zajęcia stanowią wzorcowy przykład wystawiania stopni na siłę. Dlatego też na początku każdego semestru oznajmiam moim studentom, że jeśli nie wypadną naprawdę kiepsko („Co to znaczy: naprawdę kiepsko?»?”, przerwał mi Cornelius, rozbawiając tym pytaniem całą grupę), dam każdemu z nich piątkę.

Reilly niestety nie popiera moich metod. Nie jest zresztą szczególnie zainteresowany tym, co nazywa procesem nauczania. Uważa, że uczenie to praca jak każda inna, a nie powołanie czy kwestia osobistego poświęcenia. Zgadzam się z nim w tym względzie. Tyle że Reilly nie stara się nawet ukryć swego znudzenia przedmiotem, ilekroć trzeba porozmawiać o programie. W gruncie rzeczy Reilly interesuje się tylko jedzeniem. Opowiada mi często o

tym, co właśnie zjadł i co sobie zamówi przy najbliższej okazji. Kiedy opisuje idealny boczek, sałatę albo kanapkę z pomidorem, z jego ospowatej twarzy bije zachwyty. Pewnego dnia zbiegł za mną do holu, aby mi pokazać fragment korespondencji Jane Austen, w którym pisarka przyznaje, że dobry jabłecznik jest nieodłączną częścią jej domowego szczęścia. Pewnie bym się sprzeciwiła, gdyby z konwencjonalną pretensjonalnością mówił przez dwadzieścia minut o wspaniałych porach w sosie *remoulade*, ponieważ jednak jego gusta kierują się ku naleśnikom z krakersami od Ritza i galaretkę z kandyzowanymi owocami sprzedawanej w aluminiowych tackach – więc ku potrawom, które posiadają w sobie wręcz coś w rodzaju opartego na cukrze postmodernizmu – znacznie mniej przeszkadzają mi jego opowieści.

Reilly uważa, że jestem zbyt pobłażliwa w stosunku do studentów. Tak mi powiedziała jego żona, która wykłada dramat w szkole dla dziewcząt. Spotkałam ją podczas inscenizacji *Chaty wuja Toma*, w której role niewolników grali biali studenci i Azjaci, natomiast role ich panów powierzono czarnym studentom. Na prośbę Reilly'ego jego żona poddała ekipie scenograficznej kilka ciekawych pomysłów dekoracji, tyle że w pewnym momencie próby generalnej płótna uniosły się, po czym spadły na aktorów i unieruchomiły ich w pajęczynie zakurzonej gazy. Żona Reilly'ego była nieco skonfundowana tym faktem, ale nie poczuwała się do winy. Wyznała mi, że jej mąż traktuje wszystkich swoich uczniów niczym „nazwiska w szeregu”. Odparłam, że ja mam diametralnie inne poglądy, ponieważ lubię moich studentów i doceniam ich indywidualne predyspozycje.

Po przedstawieniu żona Reilly'ego stanęła obok niego na tyłach widowni, trzymając mocno jego ramię. Zauważyłam, że mężczyzna pogardza nią i nie spieszy się, by ją przedstawić swoim kolegom (tak ich nazywała). Kiedy oddalił się, by poszukać panny Wein, trochę pomyłonej nauczycielki biologii, powiedziała mi, iż jej mąż martwi się moim niewłaściwym podejściem do studentów.

„Podejściem?”, spytałam i w sekundę później również zaczęłam nią gardzić. „Podobno jest pani za bardzo wyrozumiała – szepnęła biedna kobieta. – Pozwala im pani przychodzić do swojego mieszkania. No i zbyt łatwo zdobywają piątki”. Mąż powiedział jej, że kiepsko sobie radzę z moimi uczniami i że wpakuję się przez to w kłopoty.

Nie zamierzałam się przed nią tłumaczyć. Zabrałoby mi to miesiące. A może i lata.

Pan Reilly wrócił z dwiema serwetkami. Były na nich maleńkie pastelowe ciasteczka z kremem. Jedno była dla niego, drugie dla mnie. Pauline mawia, że istnieje pewien typ ludzi (zazwyczaj są to kobiety), z którymi można się pieprzyć tylko wówczas, gdy równocześnie uzyska się „licencję” na zabicie ich natychmiast po stosunku. Pan Reilly jak ulał pasował do

tego określenia. Pani Reilly w ogóle nie sposób byłoby pieprzyć.

– Wiesz, pies znowu jest dzisiaj przygnębiony – oświadczył mi John. – Gorąco było dzisiaj, prawda? – Rozejrzył się po moim mieszkaniu. – Zastanawiałem się, czyj samochód stał tu ostatniej nocy. – On również podniósł jedną z jadeitowych szpilek mojej matki i zważył ją w dłoni. Jego wypukła poduszczyca w miejscu, gdzie kciuk łączy się z resztą dłoni, tworząc wzgórek Wenery, wygląda na dobrze wytrenowaną. John regularnie ćwiczy ręce przy pomocy hantli. Jest człowiekiem dokładnym, na przykład szczotkuje zęby swojemu psu, a przed wyrzuceniem czasopism usuwa z nich metalowe zszywacze.

– Czyj to był wóz?

– Chyba wiesz. Wysiadałaś z niego.

Nie odpowiedziałam.

– Wysiadałaś z szarego samochodu – powtórzył – który wyglądał, jakby właśnie przyjechał z Bejrutu. Nie rozumiem, jak ktoś może jeździć tak brudnym autem.

– Och – mruknęłam. – O ten samochód ci chodzi. Należy do jednego z moich studentów.

Zauważyłam, że ostatnio często kłamie. Kiedy rozmawiałam z Pauline, spytała, co porabiam, czy się z kimś spotykam i czy w ogóle coś się w moim życiu dzieje, odparłam, że nic. Zachowałam istnienie Malloya w tajemnicy.

– Do jednego z twoich studentów? A może do ojca jakiegoś twojego studenta?

Zastanowiłam się, dlaczego ten fakt ma dla Johna znaczenie.

– No cóż – stwierdził z nagłym ożywieniem. – Właściwie, to wpadłem, żeby spytać, czy zechcesz pójść ze mną jutro do kina. Grają film o kanadyjskich sierotach i zakonnikach.

– Może – odparłam. Poczułam się dziwnie wyczerpana. Było to osobliwe uczucie, prawdziwe fizyczne zmęczenie, jak gdybym spędziła cały dzień piorąc nad rzeką koszule mojego mężczyzny metodą prymitywnych plemion: uderzając białizną w przybrzeżne kamienie. Albo jakbym miała mąkę na tortille dla niego. – Zadzwoń do ciebie – oświadczyłam.

– Zawsze tak mówisz, a później nigdy nie dzwonisz.

– Tym razem zadzwonię. – Obiecałam sobie, że jeśli ktoś mi przyrzeknie, że zadzwoni, i nie dotrzyma słowa, nie będę się skarżyć.

John skinął głową i ruszył do drzwi. Otworzyłam je, a wtedy powiedział:

– Pozdrowienia od Skipa.

Uśmiechnęłam się. Chciałam go jak najszybciej wypchnąć do holu wyklejonego czerwoną, wiktoriańską tapetą. Nie byłam w stanie pocieszać Johna i nie miałam na to ochoty.

– No to *ciao* – rzucił.

– Dobranoc – odparłam. Zamknęłam drzwi, zakluczyłam je, po czym usiadłam przed pustym kominkiem i długo zastanawiałam się, czy John także mnie śledzi.

Zdobyłam sporo nowych słów do słownika; większość z nich to wyrazy używane przez policjantów. (Złapałam się na tym, że patrzę na nich na ulicy, zaglądam do ich samochodów, obserwuję konne patrole w parku. Przechodziłam obok dwóch młodych funkcjonariuszy na rogu Waverly i MacDougal, gdzie grają w szachy sami mężczyźni – nigdy nie widziałam grającej kobiety – i usłyszałam, jak jeden policjant pyta drugiego: „Używasz masła czy margaryny?”) Nigdy przedtem nie zwracałam na nich zbytnej uwagi, a jeśli tak, uważałam ich raczej za wrogów. Zdaje mi się, że w podobny sposób detektyw Malloy postrzega kobiety.

Gdy jechałam dziś po południu metrem, siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna ssał kciuk; palec wskazujący zgiął z wdziękiem ponad grzbietem nosa. Uśmiechnął się i podniósłszy znad nosa jeden palec, wskazał nim na mnie. „Masz jeszcze za mało ciała na kościach”, powiedział, a następnie wysiadł z pociągu przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

Mam teraz na liście więcej potocznych określeń broni niż pochwy. Dla odmiany.

bis, biscuit – [rzeczownik] broń ręczna;

jammie – [rzeczownik] broń;

Kron – [rzeczownik] broń (od nazwiska wytwórcy);

oo-wop – [rzeczownik] broń;

to trap off – [czasownik] załatwić klientowi niższy wyrok (określenie prawnicze);

mongo – [rzeczownik] śmieciarz, który zbiera złom (słowo z Brooklynu);

to cap – [czasownik] strzelać (np. „- w jego czarny tyłek”);

bomb – [rzeczownik] melina narkotykowa;

fugazi – [przymiotnik] fałszywy (czyżby z włoskiego?);

props – [rzeczownik] szacunek;

heave – [rzeczownik] kryjówka; miejsce, w którym się śpi;

coop – [rzeczownik] kryjówka;

hummer – [rzeczownik] akt seksualny, w trakcie którego kobieta trzyma męskie jądra w ustach i pieści je; także: *hum-job* (słowo z Bronksu);

skins – [rzeczownik] stosunek z kobietą (np. „mieć – ze ślicznotką”);

t'ain't – [rzeczownik] część ciała między pochwą i odbytem;

meow – [rzeczownik] szybko wykonany napad lub kradzież w sklepie (słowo z Brooklynu);

toasted – [przymiotnik] wypalony (np. „zbyt długo był detektywem, jest już -”).

Przeszłam przez park późno w nocy. Co roku przez ten krótki okres kwitną lipy i dzięki nim miasto pachnie zupełnie inaczej. Wyobrażam sobie, że taki właśnie zapach unosi się nad Baden-Baden.

Pauline i ja zjadłyśmy *sushi* i wypiliśmy zimną *sake* w „Sushi Girl”, a potem poszliśmy do „Koteczka”, gdzie usiadliśmy przy naszym ulubionym stoliku z tyłu klubu – małym, okrągłym, czarnym, metalowym stoliku, którego blat jest tak lepki, że łokcie przywierają mi do niego natychmiast, gdy je położę. Z okazji kolacji Pauline miała na sobie japońskie sari narzucone na elastyczny strój kąpielowy z lat pięćdziesiątych, a na nogach pleksiglasowe pantofle na wysokim obcasie.

Był wtorkowy wieczór, który tradycyjnie spędziłyśmy w „Koteczku”. Bywa tu wielu śródmiejskich artystów uważających, że „klawo” jest siedzieć w barze zapełnionym kierowcami ciężarówek, którzy wracają z trasy do New Jersey i wyglądają prawie dokładnie tak, jak ludzie sobie ich wyobrażają (zresztą, wyglądają całkiem nieźle). Dwie kobiety siedzące samotnie przy stoliku to niezwykły widok w „Koteczku”, gdzie kelnerki w toplessie od czasu do czasu odkładają tace i tańczą dla gości. Pewnie większość facetów w barze przypuszcza, że Pauline i ja jesteśmy lesbijkami. Nie zaczepiają nas, co nam odpowiada. Poniżej Czternastej Ulicy wszelkie szepty i spojrzenia mężczyzn przyjmują zupełnie inny ton. Na tym polega jedna z korzyści mieszkania w centrum miasta. W naszej dzielnicy słyszysz po prostu bezpośrednią prośbę o spotkanie, na którą można odpowiedzieć z równą bezpośredniością (zgadzając się lub nie) – na przykład na „pieprzonko od tyłca” albo „wiązanie szarfą” – nie urażając niczyich uczuć i nie narażając się na obraźliwe komentarze ani na temat wyglądu, ani na temat zainteresowań.

We wtorkowe noce pracuje tu Tabu. Pochodzi z Rumunii. Mimo iż przebywa w „Koteczku” zaledwie od pięciu miesięcy, opanowała już sztukę podnoszenia z blatu baru banknotów – najchętniej dwudziestodolarówek – wargami sromowymi. Za sprawą moich komplementów pod jej adresem, pewnej nocy (Tabu zarobiła do tego czasu już około stu dolarów, o ile zdołałam zauważyć), zaprzyjaźniłyśmy się z dziewczyną; ona chyba również uważa mnie i Pauline za lesby. Zaproponowała, że nauczy mnie swojej sztuczki, ale wyjaśniłam jej, że nawet mostku nie potrafiłam nigdy wykonać poprawnie. Tabu pochwaliła

za to moje okulary, mówiąc, że nadają mi wygląd seksownej nauczycielki. „Ależ to prawda!”, wykrzyknęła na to Pauline.

Moja przyjaciółka to mała obłudniczka, która z pozorną szczerością powtarza, że pieprzy się tylko z żonatymi mężczyznami, ponieważ woli samotnie spędzać święta. Tego wieczoru zaczęła się nade mną werbalnie znęcać już od chwili, gdy przyniesiono nam drinki. Niepokoją ją moje zbyt luźne ubrania, w których jej zdaniem przypominam klauna, denerwuje ją także fakt, że nie mam żadnego faceta. To, że sama nie ma nikogo, uważa za rzecz normalną, ja natomiast podobno zachowuję się w sposób niedorzeczny. Twierdzi, że zarówno moje ubrania, jak i samotne życie świadczą o mojej niechęci do wikłania się w romanse. Pauline bardzo się martwi, że skończę jako panna Burgess, tyle że bez panny Gerrold.

– Nie chcę mieć faceta – bąknęłam. – Nie chcę nawet mieć więcej przyjaciół.

– A co z seksem?

– Byłoby dobrze...

– Czyżbyś miała chrapkę na któregoś ze swoich studentów?

– Są trochę za młodzi. Poza tym, próbuję przekonać ich, że nie wszystko sprowadza się do autoekspresji. Hm, może seks, ale na pewno nie sztuka.

– Nie? – W głosie mojej przyjaciółki zabrzmiało rozczarowanie. – Sądziłam, że to jedyny powód jej istnienia.

– Nie – odparłam.

– Przestałam się spotykać z Kapłanem – oświadczyła, rozglądając się po barze. – No, szczerze mówiąc, to on przestał się spotykać ze mną. – Podniosła do ust kieliszek z tequila. Odchyliła głowę, wypijając całość w dwóch haustach. W oczach Pauline pojawiły się nagle łzy. Pochyliłam się i spojrzałam na nią z ukosa. – Nie, nie – stwierdziła szybko. – To tylko tequila.

Pauline jest osobą zorganizowaną. Solidnie zorganizowaną, jak mawia sama o sobie. Posiada sporo pieniędzy dzięki umiejętności przewidywania, o czym ludzie przekonują się po niedługim czasie i uznają za rzecz niezbędną. To Pauline wyśniła bary kawowe; wierzę, gdy mi o tym mówi. W przeciwieństwie do mnie, moja przyjaciółka kieruje się zwykle wyczuciem i intuicją. Nikt w Nowym Jorku nie otwiera restauracji, póki nie spotka się z nią i – płacąc sporą kwotę – nie uzyska informacji, jak rozmieścić stoliki. Seksualny libertynizm Pauline to tylko pozór; moja przyjaciółka ma po prostu niewielką nadzieję na znalezienie szczęścia u boku mężczyzny, więc – trochę na zasadzie wentyla bezpieczeństwa – wmówiła sobie, że jest zadowolona z samotnego życia.

– Czy zauważyłaś – spytałam – że dorośli mężczyźni i kobiety nazywają obecnie swoich ojców „mój tato”?

– Cieszę się, że nosisz tę bransoletę z wisiorkami, nawet jeśli nic się u ciebie nie zmieniło.

– Skąd wiesz, że nic się nie zmieniło?

– Po twoich rzeczach. Masz fałdy na spodniach.

– A cóż jest złego w fałdach?

Machnęła ręką.

– Zbyt trudno to wyjaśnić.

– Drogi pan Kaplan nie zasłużył na ciebie. Nie pożyczyłaś mu chyba pieniędzy, co?

– Nie – odparła. – I to był mój błąd.

Czekałam, co powie dalej.

– Seksualnie – odezwała się – ...byłam zbyt agresywna.

Natychmiast wściekłam się, gotowa stanąć w jej obronie.

– Za często miałaś ochotę? – spytałam.

– Nie, nie o to chodzi. Oględnie mówiąc, poprosiłam o coś, a on mi odmówił.

Zauważyłam, że jeśli kobieta odważy się wyjawić mężczyźnie swoje preferencje seksualne, jej partner często się obraża – im jest starszy i bardziej doświadczony (we własnym mniemaniu), tym trudniej go namówić do jakichkolwiek nowości. Dlatego właśnie tak przyjemne są łóżkowe randki z młodymi mężczyznami. Możesz takiemu powiedzieć: „Zrób to, kochany, teraz to zrób”, a młodzieniec się nie zniecierpliwi, nie zgorszy ani nie wystraszy. Wręcz przeciwnie. Jest wdzięczny. I posłuszny. Najlepszymi kochankami – Pauline i ja zgadzamy się w tej kwestii – są mężczyźni, których uwiodły starsze kobiety, gdy byli chłopcami.

– Czego właściwie chciałaś od tego Kapłana? – spytałam.

– Chodziło chyba o to, żeby mnie pieprzył od tyłu.

– Och, cóż za wygórowana prośba.

– Wiesz – powiedziała zamyślonym tonem – wydaje mi się, że wszyscy moi faceci zawsze kochają się tak, jak sami lubią, a nie w sposób, który lubię ja.

– Pewnie – powiedziałam z głośnym, współczującym westchnieniem, które skłoniło mnie do podejrzenia, że prawdopodobnie jestem już na lekkim rauszu. Rozejrzałam się po sali. Jakiś siedzący przy stoliku obok drzwi mężczyzna w garniturze i krawacie patrzył na nas z nieco większą uwagą, niż ta, do której przyzwyczaili mnie klienci „Koteczka” – zwłaszcza, że mieli tu do dyspozycji inne rozrywki. Zastanawiałam się, czy nie należy on przypadkiem

do tych mężczyzn (Pauline twierdzi, że jest ich mnóstwo), którzy lubią obserwować, jak kochają się dwie kobiety.

– Może to moja wina – zamyśliła się moja przyjaciółka. – Czy inne kobiety umieją na przykład powiedzieć: „Odwróć się na sofie, ssij moje przyrodzenie i szczyt sutki”.

– Prawdopodobnie żadna nie użyje słowa „przyrodzenie”.

Pauline podniosła rękę, aby zamówić kolejne drinki.

– Płacę dzisiaj – powiedziała.

– Nie, nie, płaciłaś ostatnim razem.

– Mam więcej pieniędzy niż ty.

– Kiepska sprawa.

– Czy podczas okresu londyńskiego pieprzyłaś się z Markiem Hadlishem? – spytała.

– Myślisz chyba o Gavinie Bromellym. Obie z nim spałyśmy. I z Thimble'em. Chociaż nie równocześnie. – Poczułam nagle przygnębienie.

– Miałam go po tobie – dodała. – Prawdopodobnie to ty go nauczyłaś tej sztuczki z wyjętymi z martini oliwkami. A może to ja? Nie pamiętam. Gdy dochodził, mogłam to po nim poznać tylko dlatego, że patrzył wtedy na zegarek. – Wzięła łyk tequili. – Któregoś wieczoru siedziałam w restauracji z tuzinem innych osób przy stoliku i coś mi nie grało. Wiedziałam, że jest w tej sytuacji coś osobliwego, niesamowitego, a zarazem swojskiego, tylko nie wiedziałam co. Tuż przed deserem w końcu się domyśliłam – spałam z trzema mężczyznami spośród tej jedenastki. Wytrąciła mnie z równowagi myśl, że fakt ten znaczył tak niewiele. W ogóle się nie liczył. Mówię ci: nic – ani dla mnie, ani dla nich. Straszne, prawda?

– A pamiętasz Tony'ego Garra? Studiował w Cambridge, razem z Antonem. Tony za każdym razem nalegał, żebym szła do łóżka w pełni ubrana. Przyznaję, że byłam wówczas niedoświadczona, jemu jednak wolno się było rozebrać. Czułam się nieprzyjemnie.

– Nie wspominając o rachunku z pralni.

– Ciągle się zastanawiałam, jak Tony by się zachował, gdybym kazała jemu pozostać w rzeczach. Chcę powiedzieć... obciążanie druta to jedna rzecz, ale w łóżku... I w tych dużych męskich ciuchach. I buciorach.

– Sądysz, że Gavin Bromelly naprawdę uważał pieprzenie się na zlewie za przyjemną pozycję?

– Gavin pieprzył cię na zlewie? – spytałam; poczułam się trochę zraniona.

– Raz – odparła szybko. – Tylko raz. Kiedy jego żona była w Marbella.

– Och – powiedziałam uspokojona.

– Może jeszcze z raz.

– Hej, mała – mruknęłam. – Kto kocha, ten cierpi.

– Nie – stwierdziła. – Przemyślałam to sobie. Chyba chodziło mu o lustro. Lubił obserwować siebie w lustrze, kiedy dochodził. – Zapaliła papierosa. – Jak to się dzieje, że nie wpadłaś w żaden nałóg?

– Trzeba trenować silną wolę.

– Od czasu do czasu wypijasz trochę za dużo, ale to się nie liczy.

– Być może wynika to z faktu, że prawie całe życie spędziłam ze starszymi ludźmi.

Najpierw z rodzicami, potem z mężem.

– A prochy? Starzy ludzie biorą tony różnych tabletek.

– Zepsuto mnie w inny sposób. Uwierzyłam, że inteligencja wiele zmienia.

– Witam, drogie panie – odezwała się nasza kelnerka, stawiając na stoliku cztery kieliszki z tequilą.

– Cześć, Janey – powiedziałyśmy równocześnie.

– Co się dzieje? – spytała.

– Rozmawiamy o męskich erekcjach – poinformowała ją Pauline.

– Ach tak – bąknęła rozczarowana kelnerka. Miała na sobie spódniczkę z rzemyków i białe, ozdobione paciorkami indiańskie mokasyny, jakie można kupić na lotniskach.

– Nie zamawiałyśmy tylu... – powiedziała Pauline. – Chociaż mogłybyśmy...

– Tamten facet kazał wam podać podwójne drinki – wyjaśniła Janey, wskazując podbródkiem.

Popatrzyłyśmy za nią. Nikogo nie było.

– Jaki facet? – spytałam.

Wzruszyła ramionami, już zajęta obsługą innego stolika – nie wiedziałam, czy próbuje umieścić rękę mężczyzny między swoimi piersiami, czy też ją z nich zdjąć. Obserwowałam, jak porusza się z gracją wokół stolika i żartuje z klientami.

– Idę do domu – oświadczyłam Pauline.

– Tak – odrzekła – ja też.

Pozwoliła mi zapłacić połowę rachunku, potem pocałowałyśmy się na dobranoc i moja przyjaciółka weszła po schodach do swojego mieszkania.

Stałam na ulicy cuchnącej ropą ciężarówek z autostrady West Side i słoną wodą rzeki Hudson (zapach był ledwie wyczuwalny) oraz tym specyficznym, typowo nowojorskim – przynajmniej latem – odorem moczu.

Do Parku Waszyngtona nie było daleko, czekał mnie zaledwie kilkunastominutowy spacer, ponieważ jednak była godzina pierwsza w nocy, zdecydowałam się ominąć Broadway i pójść ulicą West Broadway. Broadway, chociaż dobrze oświetlony, byłby o tej porze pusty. Na ulicy West natomiast, oprócz paskudnego zakrętu prowadzącego w okolice Lispenard i trzech dotkniętych plagą szczurów kwartałów znajduje się kilka restauracji, które na pewno będą otwarte i ułatwią mi drogę.

Szłam na północ. Co jakiś czas niczym hałaśliwe komety migają obok mnie samochody. Uświadomiłam sobie, że nie mam nic przeciwko szczurom (Pauline widziała pewnego razu setki tych gryzoni wybiegających spod kratki ściekowej przy Con Edison na narożniku Desbrpses i Hudson; przebiegły brukowaną ulicę, potem zawróciły i ponownie skoczyły do dziury, jak gdyby wezwał je sam Szczurołap z Hameln). Nie miałam zbytniej ochoty usłyszeć ich pisków. Tego typu dźwięk napełnia mnie okropnym przerażeniem. Jest to wysoki, błagalny krzyk, przypominający płacz dopiero co wyklutych piskląt. Gdy go słyszę, włosy stają mi dęba. Sądzę, że podobnie reaguje większość ludzi. Chyba już wolałabym, żeby szczur przebiegł mi po stopach. Coś takiego przydarzyło się pewnej mojej przyjaciółce, która wjeżdżała z dzieckiem w wózku do Central Parku (następnego ranka odlatywała do Los Angeles). Tyle że w chwilę później usłyszała pisk szczura!

Miałam się więc na baczności, a dokładnie mówiąc, uważnie się wsłuchiwałam... Potrząsałam kluczami, poruszałam ręką, żeby bransoleta z wisiorcami brzęczała metalicznie, dając wszystkim zbyt odważnym gryzoniom czas na zastanowienie się nad wyskokiem w puste miejsce na końcu kwartału. Andrea, jedna z bardziej upartych i dzięki temu bardziej interesujących studentek w grupie, spytała mnie kiedyś, dlaczego poprawiłam zdanie „wysłuchiwała kącikiem ucha” w jednej z jej opowieści. Przez kilka minut wyteżałam siły, cytując zasady metafor mieszanych i inne rygory stylistyki, lecz przez cały czas myślałam, że dziewczyna miała rzeczywiście prawo zaprotestować. Tak już jest z literaturą. „No cóż – powiedziałam, drażniąc się trochę z moją studentką – jeśli potrafisz je uczynić uchem magicznym, Borgesowskim uchem, może wówczas dam się przekonać”.

Szłam dalej i rozważałam moją obecną sytuację, chociażby fakt, że zaledwie kilka dni temu ktoś pozostawił we frontowym holu gumową rękę. Nie wspomniałam o niej detektywowi Malloyowi, gdy rozmawiałam z nim przez telefon, zresztą nie tylko to zdarzenie przed nim ukryłam. Nie zadałam mu również paru pytań, chociaż miałam je na końcu języka. Zastanawiam się, czy Malloy wie, że to mnie widział wtedy w ciemnej piwnicy. Ciekawe, czy w jakiś niezauważalny dla mnie dotąd sposób wykorzystuje tę wiedzę, by sugerować, że łączą nas poufale stosunki, jak byśmy dzielili emocjonujący – ponieważ dla obojga niebezpieczny –

sekret: wspomnienie klęczącej rudowłosej kobiety z jego czerwonym członkiem w jej czerwonych ustach na kilka godzin przed chwilą, kiedy ktoś podciął jej gardło, a ręce i nogi powyrywał ze stawów.

Szłam na północ ulicą West Broadway, trochę pijana, uważnie nasłuchując i zastanawiając się, czy mojemu detektywowi sprawiła przyjemność tamta mineta, gdy nagle z szumu odległych dźwięków pędzących ciężarówek moje ucho wychwyciło odgłos męskich kroków. Ktoś za mną szedł. Obejrzałam się przez ramię, ale nikogo nie dostrzegłam. Przeraziłam się, ponieważ wyraźnie słyszałam kroki.

Byłam niedaleko ulicy Canal. Tuż za rogiem znajdowała się kafeteria, która powinna być o tej porze jeszcze otwarta. Zamierzałam wejść do środka. Pieniądzy wystarczy mi na *espresso*. Nowojorskich kelnerek nie zdziwi widok pachnącej meskalem kobiety, która wbiega z ulicy i krzyczy, że ktoś za nią idzie. Uśmiechnęłam się do siebie. Przez chwilę nawet wyobraziłam sobie, że słyszę czyjś oddech.

Nagle gdzieś włączył się samochodowy alarm. Aż podskoczyłam, gdy go usłyszałam. Znowu spojrzałam za siebie.

W pierwszej chwili wydało mi się, że osobnik ma na sobie czarny strój właściciela zakładu pogrzebowego, potem, że jest czarnoskóry, w końcu jednak zauważyłam na jego twarzy i ciele czarny i lśniący materiał przypominający plastik albo – co przeraziło mnie jeszcze bardziej – gumę. Jakby od niechcienia, łatwo otoczył ramieniem mój kark, pociągnął mi głowę w tył, szarpnął szyję i zasłonił dużą dłonią moje otwarte usta.

Miał na twarzy maskę z czarnej pończochy z wyciętymi otworami na oczy. Jego rękawice wydzielały dziwną woń – klej albo aceton. Albo formaldehyd.

Pociągnął mnie do przodu; moje stopy szurały po ziemi. W pustym miejscu przed nami stał zaparkowany samochód. Uprzytomniłam sobie, że mężczyzna nie zamierza mnie zabić. A raczej, że nie zamorduje mnie tu, na West Broadway. Chciał mnie gdzieś zabrać. I tam zabić.

Zapałam się, wbijając stopy w chodnik, odrzuciłam w tył głowę i zaczęłam ciągnąć jego maskę. Byłam przekonana, że jeśli zdołam zobaczyć jego twarz, będę przynajmniej wiedziała, że naprawdę istnieje, że nie jest zmorą, demonem, którego przysłano z głębin albo nawet z Samary, aby mnie stąd zabrał.

Z kluczami w podniesionej ręce złapałam za dolną część maski. Mężczyzna wcisnął policzek w zagłębienie mojego ramienia. Ciachnęłam go kluczami po szyi, kalecząc ją. Przestraszył się, odskoczył i na sekundę mnie puścił. Upadłam na chodnik na skrzyżowaniu z ulicą Walker. Skręcająca akurat taksówka z piskiem opon zatrzymała się częściowo na

krawężniku. Poczulałam smród rozlanej benzyny.

Obejrzałam się za siebie.

Napastnik zniknął.

Kierowca, nerwowy młody Pakistańczyk, który twierdził, że chce mu nabruździć i skłócić go z pracodawcą, żoną, konsulem generalnym... pozwolił mi wreszcie wsiąść na tylne siedzenie taksówki i zawiózł do domu, obiecując przez całą drogę, że nie będę musiała płacić, ponieważ wyłączył licznik. Specjalnie dla mnie. Żadnej opłaty.

Wykręciłam numer pagera i detektyw Malloy oddzwonił w pięć minut później. „Będę tam”, oświadczył, kiedy mu o wszystkim opowiedziałam. „W porządku?”, zapytał. „Jadę”, dodał.

Założyłam okulary, zesłam na dół i usiadłam na szczycie schodów prowadzących na ganek. Opierając się o wejściowe drzwi, czekałam na niego. Co chwila podskakiwałam, po czym ponownie siadałam. Obserwowałam, jak ostatni handlarze narkotyków skręcają za róg parku i ponownie wracają; pracowali do późna. Pomyślałam, że być może jestem świadkiem zmiany ekip dilerskich.

Malloy pojawił się po dziesięciu minutach.

– Byłem blisko – wyjaśnił, wchodząc pospiesznie po schodach.

Wziął mnie pod ramię, pomógł mi wstać i wejść do środka.

– W pobliżu? – spytałam.

– W tym hazardowym klubie nad „Czerwonym Żółciem”. Należy do jednego z moich przyjaciół – stwierdził. – Byłego gliniarza. Wspomniałem ci o tym wcześniej.

Potrząsnęłam głową.

– Nie pamiętam.

Weszliśmy do kuchni i spytałam go, czego się napije.

– Bourbona – odparł.

Nalałam drinka, Malloy usiadł w salonie. Ręce mi drżały.

– Niezły – ocenił, smakując. Patrzył na mnie.

Chodziłam w tę i z powrotem po pokoju.

– Opowiedz mi, co się zdarzyło – ponaglił mnie cicho.

Opowiedziałam, wdzięczna, że na mnie nie krzyczy. Starałam się trzymać tematu i nie ulec pokusie (którą ludzie odczuwają często w kontakcie ze swoim lekarzem, farmaceutą czy

policjantem) opowiedzenia detektywowi wszystkiego, co sprawiło mi przykrość w okresie ostatnich co najmniej dwóch lat. Malloy słuchał, przerywając mi tylko po to, by spytać, czy widziałam twarz napastnika. Czy potrafiłabym go zidentyfikować? Zapytał mnie o to dwukrotnie.

Kiedy skończyłam mówić, odstawił drinka i stwierdził:

– Mam wrażenie, że ktoś chciał cię po prostu obrabować. Zabrać ci portfel. Tak to wygląda. Co z twoją przyjaciółką... jak jej na imię, Pauline? Nie widziała nikogo?

– Nie było jej ze mną. Mieszka nad barem na ulicy Chapel.

– Mieszka sama?

Skinęłam głową.

– Na drugim piętrze?

– Na trzecim.

– Czy jest ostrożna?

– Ostrożna?

– Ostrożniejsza od ciebie? Dziwi mnie, że tylko jeden facet próbował cię napaść, skoro spacerujesz sama nocami po West Broadway.

– Często tamtędy chodzę.

– Więc przestań.

– Gdzie ją zamordowano?

– Kogo?

– Tę rudowłosą. Dziewczynę z „Czerwonego Żółwia”.

– Kto ci powiedział, że miała rude włosy?

– Twój przyjaciel.

– Przyjaciel?

– Mężczyzna z pistoletem na wodę.

– Ach, mój partner. Masz na myśli mojego partnera.

– Pokazał mi fotografię. W samochodzie, tej nocy, kiedy mnie przesłuchiwaście.

Nagle poczułam, że trudno mi jest oddychać. Zamknęłam okna i włączyłam klimatyzację.

– Nie zginęła w barze – odparł powoli. – Wydajesz się zmieszana.

Przez okno dostrzegłam jednego z narkotykowych handlarzy. Stał pod wielkim wiałem i patrzył w górę, na mnie.

– Co dokładnie oznacza termin „rozcłonkowanie”?

– Mówiłem ci.

– Powiedz mi jeszcze raz.

– To znaczy, że rękę albo nogę wyrywa się ze stawu. Nie odcina się jej, nie odpiłowuje, ale właśnie odrywa. Prawdopodobnie trzeba postawić stopę na ramieniu albo na biodrze. Jako dźwignię. Słysząc wówczas zabawny dźwięk...

– W ten sposób zabił tę dziewczynę?

– Nie.

Czekałam, żeby kontynuował, ale milczał.

– A jak ją zabito? – spytałam.

– Brzytwą. – Przerwał. – Sądzę, że próbował odciąć jej głowę, coś mu jednak przeszkodziło. A może nie był zbyt dobry w odcinaniu części ciała. Próbował wpasować ją w coś. W torbę albo w pudło.

– Tę odciętą część?

– Ciał gdzieś między piątym a szóstym kręgiem szyjnym.

– I?

– Co i?

– Czy to wszystko?

Malloy nie odpowiedział.

– Co jeszcze? – Odwróciłam się i spojrzałam na niego. – Mówiłeś, że jest dwóch morderców.

– Naprawdę? – Przeczesał ręką włosy. – Rozczłonkowane ciało z podciętą w ten sam sposób szyją znaleziono sześć miesięcy temu. Hm, raczej części tego ciała. Nie wiemy jeszcze, czy tamta zbrodnia ma związek z dziewczyną zabitą w ubiegłym tygodniu. Oficjalna wersja głosi, że nie ma. Richie też tak uważa. Ale ja mam wątpliwości. – Wstał. – Może przyjdiesz tu i usiądziesz?

Potrząsnęłam głową.

– Jak się nazywała?

– Kto?

– Ta dziewczyna z „Czerwonego Żółwia”. Jak ją nazywasz... ofiara. Rudowłosa.

Milczał. Czekał. W końcu odpowiedział:

– Angela Sands.

– I sądzisz, że zabił ją ten sam morderca?

– Trudno powiedzieć na pewno. – Mówił powoli, z rozmysłem. – Osobiście uważam, że tak. Zaczynam się skłaniać ku tej myśli... Nie mogę jednak tego udowodnić. Jeszcze nie. Nie mogę nawet wyjaśnić, skąd to przekonanie. Richie uważa mnie za wariata. Tamto

rozcłódkowane ciało kobiece znaleziono w styczniu nad rzeką. Było owinięte w strony niedzielного wydania „Daily News”. – Chwilę milczał. – To się często zdarza – dodał. – Wiesz, o czym mówię?

– Co się zdarza?

– Morderstwa.

Nie odpowiedziałam.

– W tym rzecz. To się nigdy nie skończy. Nigdy.

– Dlaczego sądzisz, że to ten sam zabójca?

– Ponieważ z obu ciał zabrano pewną część. Coś zniknęło. – W jego głosie słyszałam niechęć. – Pamiątka. Nazywamy coś takiego pamiątką. Odcięta od ciała. Zabójca odciął tę samą część w identyczny sposób.

Uświadomiłam sobie, że chyba rozumiem. Chodzi zapewne o różnicę między męską i kobiecą perwersją. Męczyzna działa niejako symbolicznie, swoją energię kieruje bardziej ku zewnątrz, natomiast kobieta skupia się raczej na sobie samej i często postępuje autodestrukcyjnie.

– Pamiątka? Masz na myśli coś, co będzie mu przypominać o jego czynie?

– Zabójca będzie mógł ponownie przeżywać swój czyn. Kiedykolwiek chce. Rozumiesz? Będzie fantazjować. Sam. Powtarzać w myślach akt odcinania.

– Odcinania?

– Tak.

Skinełam głową. Nagle przyszło mi do głowy, że jeśli wydam się Malloyowi zbyt zdenerwowana, przestraszona lub rozgniewana, przestanie mówić.

– Co odciął?

– Naprawdę chcesz słuchać o tym głównie? – spytał, marszcząc brwi.

– Ktoś – powiedziałam – zostawił gumową rękę pod moją skrzynką na listy.

– Kiedy to było?

– W zeszłym tygodniu. W poniedziałek albo we wtorek.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Czy ten zabójca odcina swoim ofiarom dłonie?

Malloy wstał; sprężynujące krzesło znowu go zaskoczyło, mimo iż wstawał z niego już nie pierwszy raz.

– Opowiedz mi wszystko od początku – polecił. – Co ci się przydarzyło dziś w nocy. Przejdź przez to ponownie. Chodź tutaj. Opowiedz mi.

Staął za mną i pociągnął mnie ku sobie; moja głowa znalazła się przy jego ramieniu.

Wzięłam jego prawą rękę, zgięłam w łokciu i położyłam ją sobie przy szyi. Na policzku poczułam jego oddech.

– Tak – powiedziałam. – Tak.

Jego ręka zsunęła się z mojej szyi na pierś. Palce znalazły sutek. Nadal stojąc za moimi plecami, Malloy przytulił mnie. Miał erekcję. Czułam ją.

– Dobrze – mruknęłam. – Dobrze.

Poszedł za mną do sypialni, zdejmując ubranie; przez chwilę miał kłopoty z odpięciem kabury przy kostce. Rewolwer położył na obramowaniu kominka.

Popatrzyłam na mojego detektywa. Miał długą bliznę na prawym boku brzucha. Był mocno zbudowany. Silny. Miał czarne włosy na ramionach. Więcej i gęstsze niż lubię. Na pośladku nie miał irlandzkiego tatuażu w kształcie koniczynki, a dokładnie mówiąc, nie miał tam żadnego tatuażu.

Dotarliśmy do łóżka. Położył się na plecach, rękę założył za głowę i patrzył na mnie, jakby z przyzwyczajenia albo z obowiązku.

Odłożyłam okulary. Zdjęłam sukienkę w niebieskie i białe pasy. Obserwował spokojnym i przenikliwym wzrokiem, gdy stanęłam przy łóżku w samej bieliźnie.

– Zdejmij to – powiedział.

Potrząsnęłam głową.

Błyskawicznie usiadł, zsunął mi majtki, po czym chwycił mnie jedną ręką w pasie i pchnął na łóżko, na brzuch. Później włożył mi drugą rękę między uda i rozsunął mi nogi, otwierając mnie dla swoich ust.

Wsunął mi język najpierw w pochwę, potem w odbył, po czym uniósł moje biodra i odwrócił mnie na plecy. Moje zgięte w kolanach nogi zwisały poza krawędzią łóżka, Malloy klęknął na podłodze, wsunął palce we mnie, wsunął je mocno, zaczepił głęboko w moim wnętrzu, w sposób, w jaki mężczyźni zawieszają coś na palcu, gdy zamierzają przerzucić to sobie przez ramię.

Malloy zaczął ssać ustami moją łechtaczkę. Nie dotykało jej nic innego, ani moja nocna koszula, ani jego penis.

– Możesz zrobić ze mną wszystko, co tylko chcesz – mruknął.

Długo nie mogłam zasnąć, ponieważ ciągle rozpamiętywałam nocny atak na ulicy West Broadway. Z każdą minutą wspomnienie słabło, wszystko odbywało się coraz wolniej, a równocześnie upływ czasu wyolbrzymiał grozę zdarzenia.

– Nie ma się czego bać – mówił Malloy.

– Rozmyślałam o tobie – odparłam.

– Przestań – obruszył się.

– Nie chcesz nawet wiedzieć – spytałam – o czym konkretnie rozmyślałam w związku z tobą?

Westchnął w sposób typowy dla mężczyzn, którzy chcą już spać; nie rozgniewał się, był tylko rozdrażniony, choć starał się mi okazać wyrozumiałość, a nawet czułość. Miałam wrażenie, że pobjażanie mi sprawia mu lekką przyjemność.

– Więc nad czym?

– Nad tym, co mi zrobiłeś – wyjaśniłam.

– A co ci zrobiłem?

– Chcę wiedzieć, jak mi to zrobiłeś? – spytałam. – Tak na wszelki wypadek, gdybym cię już nigdy nie zobaczyła. Żebym pamiętała, jak to było i mogła to powtórzyć sama.

– Zobaczysz mnie jeszcze.

– Ktoś cię tego nauczył. Jakaś starsza kobieta.

– Daj spokój – odrzekł, śmiejąc się. Po raz pierwszy w jego głosie wyczułam nieśmiałość.

– Opowiedz – poprosiłam. – Jeśli się skupię na czymś, nie będę myśleć o tym paskudnym wieczorze.

Milczał. Czekałam, nie wiedząc, czy przypadkiem nie zasnął, zdaję sobie bowiem sprawę z tego, że mężczyźni posiadają umiejętność natychmiastowego zasypiania, nawet kiedy się mówi o nich. Odezwał się jednak:

– Pierwszą minetę zrobiłem Królowej Kurczaków.

– Tak sądziłam.

– No coś ty. Czyżbyś ją znała?

Zastygłam z rozłożonymi na boki ramionami i bałam się, że jeśli się poruszę lub odezwę, Malloy przerwie opowieść.

– Miałem piętnaście lat. Pracowałem w sklepie rzeźnika Billa przy alei Świętego Mikołaja. Dostarczałem kurczaki. Mąż Królowej uczył w sobotnie popołudnia w szkole hebrajskiej. To się stało latem. Zaprosiła mnie do środka i poczęstowała szklanką wody. Rozmawialiśmy trochę. Stałem przy zlewku i piłem wodę, a ona podeszła, stanęła przede mną i chwyciła mnie za przyrodzenie. Znieruchomiałem. Byłem przerażony. I zdenerwowany. Spytała mnie, czy sprawia mi to przyjemność i czy byłem już z kobietą. Przez cały czas nie zdejmowała mi ręki z ptaka. Potem zaciągnęła mnie do sypialni i zaczęła rozbierać, całując moją pierś. Ciągle pytałem, czy jest pewna, że jej mąż nie nadejdzie. Całując, zsuwała się

coraz niżej, aż w końcu zaczęła mi obciągać. Nagle wstała i zdjęła ubranie, a ja pomyślałem, że jest duża. Miała wielki tyłek. Była bardzo kobieca.

– Podobało ci się to? – spytałam, właściwie wyszeptałam.

– Co?

– Że była kobieca.

– Z czasem polubiłem, ale na początku niezbyt mi się to podobało. Była matką. To znaczy... Miała prawdopodobnie zaledwie dwadzieścia siedem czy sześć lat, ale ja byłem zupełnie nieświadomiony. Wlazłem na nią i przeleciałem. Jestem pewny, że poszło strasznie szybko. Nieźle ją wypieprzyłem, czułem jednak, że nie powinienem jej walić jak byle dziewczynę. Kiedy chłopak wali dziewczynę, nie ma w tym żadnego romantyzmu. Oboje są zbyt niedoświadczeni, nie zdejmują ubrań, są skrępowani. Miałem świadomość, że Królowej chodzi o coś więcej. Wiedziałem, że niewiele potrafię, a kiedy skończyłem, czułem się wypalony. Ten pierwszy raz właściwie nie byłem w pełni sobą. Natychmiast uświadomiłem sobie, że można to zrobić lepiej. Królowa nic nie powiedziała. Nawet się nie podniosła. Ubrałem się, a ona leżała naga. Bez ruchu. Wiedziała, że ma piękne ciało. Szerokie biodra, ładne, małe piersi. Sterczące sutki. Biała, delikatna skóra. Była naprawdę niezła. Ciemne, niemal czarne włosy. Sztywne, twarde włosy łonowe od biodra do biodra. Gęste i mocne jak u Hiszpanki. Wreszcie skinęła na mnie, a gdy podszedłem, pocałowała mnie. Spytała: „Chcesz, żebym ci pokazała, co lubią kobiety?”, a ja odparłem, że chcę. Długo się opierałem, zanim wsunąłem rękę do jej pochwy. Miała mięsistą, miękką cipkę. Wsadziłem cały palec i poczułem się dziwnie, jakbym go pchał w ocean. Kiedy Królowa siadała na mnie, obawiałem się, że na mnie nasika. Wręcz czułem na jądrach gorący płyn. Teraz przysięgłbym, że to się faktycznie zdarzyło. Powiedziała mi, że trzeba dotykać kobiety, gdy ta dochodzi, że trzeba ją trzymać w ramionach. Nauczyła mnie odpinać jedną ręką biustonosz. Powiedziała, że ta umiejętność przyda mi się pewnego dnia. Spytała, czy kiedykolwiek całowałem kobietę poniżej pasa. Odparłem, że nie, ale może ją okłamałem... Być może robiłem to z Margaret White w Rockaway. Nie pamiętam. Spytałem Królową, czy kobiety lubią, by lizać im odby, a ona potwierdziła. Zapytała, czy moim zdaniem mężczyźni lubią, gdy kobiety ich tam całują. Zaprzeczyłem, więc delikatnie mnie liznęła i spodobało mi się. Przez całe nasze spotkanie nie założyła ubrania. Wydało mi się to cudowne. Odprowadzając mnie do drzwi, włożyła szlafrok i wręczyła mi dwa dolary. Nie wierzyłem własnym oczom. Sześciopak kosztował wówczas około dolara trzydzieści. Powiedziała, że mam sobie kupić parę piw, a resztę zatrzymać. Moja Królowa dostawała najlepsze pieprzone kurczaki w całym Nowym Jorku. Ależ byłem wtedy dupkiem. A podczas drugiego spotkania strasznie się chełpiłem, byłem po prostu bardziej

zdenerwowany. Myślałem o niej przez cały tydzień. Przechodziłem obok jej domu. Szukałem jej na ulicy. Gdy wszedłem, rzuciła się na mnie, pocałowała i powiedziała, że za mną strasznie tęskniła. Stwierdziła, że całuję w sposób niezwykle naturalny. Położyła się nago na łóżku. Długo się całowaliśmy. Mieliśmy tylko czterdzieści pięć minut. Królowa wstała, spytała, czy napiję się wody sodowej, po czym stanęła przede mną z rękoma na biodrach. Nigdy nie widziałam, by była rozczochrana albo rozzłoszczona. Ponieważ nigdy nie mieliśmy dość czasu, nie zdołała mnie nauczyć jednej jedynej rzeczy – że po stosunku nie należy odchodzić. Zawsze musiałem być gotów do wyjścia. Później, gdy już zostałem gliniarzem, także stale się spieszyłem. W końcu zawsze mogli mnie wezwać... Ale wróćmy do królowej Kurczaków. Opowiedziałem o niej mojemu przyjacielowi Bozo, ale mi nie uwierzył, więc go zabrałem na aleję Fort Washington i czekaliśmy, aż Królowa wyjdzie. Wyszła z dziecinnym wózkiem. Och, Boże. Przywitała się ze mną bardzo przyjaźnie, a ja przedstawiłem jej Bozo. I tak mi nie uwierzył, że ją pieprzyłem. A to trwało przez półtora roku, każdej soboty. Wiele lat później, a ściśle rzecz biorąc, parę lat temu, spytałem dwóch innych facetów, którzy byli wówczas nastoletnimi doręczycielami kurczaków Billa – mojego poprzednika i następcę – czy Królowa kiedykolwiek się do nich przystawiała. Zaprzeczyli. W dodatku była podobno cholernie skąpa i dawała marne napiwki. Gdy to usłyszałem, zrobiło mi się przyjemnie na sercu. Przyszedłem pewnej soboty i powiedziała mi, że się wyprowadzają. Była niespokojna, ale nie byłem wystarczająco inteligentny, aby się tego domyślić. Dała mi trzydzieści dolarów i powiedziała, żebym był dobrym człowiekiem. „Teraz już idź”, dodała. Często powtarzała: „Idź już, idź”, a kiedy znajdowałem się w połowie korytarza, przywoływała mnie z powrotem, krzycząc: „Jimmy, Jimmy, wróć” i szaleńczo mnie całowała. Podczas naszego ostatniego spotkania już mnie nie zawołała.

Milczeliśmy, oboje zamyśleni.

– Cóż, teraz miałaby pod sześćdziesiątkę. Jezu! Kurwa mać. Jej syn ma już trzydzieści dwa lata. Niech mnie! Nieźle co? Trzydzieści dwa lata.

– Jak miała na imię?

– Chyba Annette. Nie jestem pewien. Tak, chyba Annette.

– Jestem jej dłużniczką.

Roześmiał się.

– Tak. No cóż, zobaczymy.

Przeciągnął się na siedząco i blizna na brzuchu ujawniła się w całej okazałości.

– Przypominasz mi ją trochę – zauważył. – Naprawdę. Masz podobne plecy. Ładne biodra. Tylko piersi miała znacznie mniejsze. Wspaniałe. Kiedyś, gdy była w ciąży,

pieprzyłem ją od tyłu na łóżku. Na czworakach. Zobaczyłem nasze odbicie w lustrze. Niesamowity widok – wiszący brzuch, wiszące piersi. Spytałem ją, czy to moje dziecko, a ona tylko się roześmiała.

– Musiałeś się czuć, jak byś spał z boginią – zauważyłam.

– Tak, to była naprawdę cudowna kobieta.

– Zapewne we wszystkich możliwych znaczeniach. Również w sensie mitycznym. I rytualnym. Pewnie wydawało ci się, że jesteś potężny. A zarazem bezsilny.

– Daj spokój – mruknął. – Bezsilny?

– Tak.

– Nie. Dlaczego miałbym się czuć bezsilny? Rany, do jakiej cholernej gadki mnie wciągasz? Kurwa, dziewczyno, za dużo myślisz. To był seks, nie żaden mit.

Sięgnęłam przez jego biodro, aby dotknąć blizny, ale Malloy odsunął się i odepchnął moją rękę.

– Nie spodoba mi się – wyjaśnił – jeśli jej dotkniesz.

– Przepraszam – szepnęłam skruszona.

– Przecież nic się nie stało – bąknął zaskoczony.

– Może, ale i tak mi przykro.

Popatrzył na mnie, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy. Potarł czerwoną plamkę na gardle.

– Zobacz, co zrobiłaś – stwierdził.

– Nie zrobiłam tego – mruknęłam ze zdziwieniem.

– Nie pamiętasz? A było ci dobrze?

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam czerwonego zadrapania na jego gardle. Malloy odsunął się, włączył światło, spojrzął na zegarek – złotego rolexa, po czym ponownie zgasił światło. Była trzecia nad ranem.

– Muszę iść – wyjaśnił. – Hydraulik Sweeney przychodzi o dziewiątej. Żona pracuje. Muszę być na nogach.

Widziałam, że niechętnie wychodzi, ociągał się. Ale był gotów.

– Kto ci dał ten mały pierścionek? – spytałam.

Popatrzył na niego.

– Żona – odparł.

– Była żona.

– Tak, moja była żona.

– Czy to ma znaczenie?

– Co?

– Godzina, o której wracasz do domu?

Nakręcił zegarek.

– Dla Sweeneya z pewnością tak – odparł – ale moją żonę to nie obchodzi. I tak będzie spała.

– To dobrze – zauważyłam.

Spojrzał na mnie z uwagą; w jego oczach nagle dostrzegłam ostrożność.

Położyłam mu rękę w pachwinie i podniosłam jego członka z uda.

Chwycił moją dłoń i położył ją na moim brzuchu, potem ją poklepał.

– Jeśli znów zaczniemy, nigdy stąd nie wyjdę – stwierdził.

Nie podobało mi się, że mnie poklepał. Ukłękłam, potem usiadłam na piętach i odchyliłam się, przybierając pozę, która przywodzi mi zawsze na myśl pornograficzny album, który odkryłam kiedyś w bibliotece mojego ojca, a zwłaszcza rycinę przedstawiającą gejszę z gołą piętą we własnej pochwie. Nigdy nie udało mi się opanować tej umiejętności. Szczerze mówiąc, nigdy nawet nie próbowałam.

Pochyliłam się i wzięłam w usta członek Malloya.

Detektyw opierał się chwilę, śmiał się, odsuwał biodrem moją głowę, a później ciężko westchnąwszy, jak gdybym tylko wypełniała z góry przeznaczoną mi rolę, odchylił się w tył na łóżku, zgiął łokcie i obserwował mnie.

Członek był miękki i miał słony smak. Malloy doszedł bardzo szybko, a ja uprzytomniłam sobie, że poruszam głową w powolny, regularny sposób, tak samo jak dziewczyna z rudymi włosami. Zastanawiałam się, czy sam ją nauczył ulubionej metody – tylko wargi, nie za mocno, wolniej, jej palec w jego odbycie, ręce nie biorą udziału, nieważny jest czas, cały czas tego świata...

Malloy sięgnął za siebie, podłożył sobie poduszkę pod głowę i ułożył się wygodnie. Przesunął jedną ręką między moimi kolanami, udami, kostkami, potem chwycił dłonią moje wargi sromowe: spuchnięte, luźne, rozwarte... i lekko ścisnął.

Usiadł, otoczył mnie ręką w talii, odwrócił moje ciało i przyciągnął ku sobie. Znalazłam się na kolanach, z pośladkami umieszczonymi wysoko tuż przy jego. Malloy otaczał jedną ręką moją talię. Twarz miałam przyciśniętą do łóżka, ramiona rozpostarte za głową. Pociągnął moje ręce ku sobie, położył je na moich pośladkach, dołączył własne i rozsunął moje pośladki. Wygiął moje ciało w łuk, objął wzrokiem, po czym cicho jęknąwszy wszedł we mnie z taką łatwością i tak pewnie, że zaczęłam dochodzić już w chwili, gdy się we mnie znalazł.

– Dobrze, już dobrze – mówił.

Przesunęłam dłońmi po moich plecach w dół, sięgnęłam ku kołyszającym się piersiom, podniósł je, przebiegł kciukiem między moimi pośladkami, zatrzymał się na chwilę przy odbycie, zwilżył go płynem z mojej pochwy, smakując, prowokując. Potem ześlizgnął się ze mnie. Położyłam się na boku i wsunęłam sobie ręce między nogi niczym dziewczynka próbująca przedłużyć własną rozkosz. Malloy szorstkim ruchem wsunął mi członek w usta, a wtedy zapomniałam o dziewczynie z rudymi włosami, zabitej rudowłosej dziewczynie. Z otwartymi ustami, z jego jądrami w dłoni, przesuwając palcem to w tył, to w przód po miękkim wyżłobionym paśmie między jego odbytem i penisem, nawilżyłam go językiem, a wtedy Malloy tym samym gestem, który już widziałam, położył obie ręce na mojej głowie, prosząc, bym trochę zwolniła. Przez chwilę trzymał mnie mocno, uspokajając, później lekko zadrżał, jego plecy wygięły się w łuk i gęsty płyn wytrysnął w moje usta.

Orgazm mojego detektywa był krótki, podwojony i potrojony szybkimi drgawkami, tak ukryty, osobisty i zdyscyplinowany, że Malloy nie wydał z siebie najmniejszego krzyku, szeptu ani sapnięcia. Na wypadek, gdyby niespodziewanie wszedł do mieszkania mąż Królowej Kurczaków w jarmułce, która trzymała się na głowie dzięki dwóm czarnym wsuwkom do włosów.

Interesuje mnie „nazajutrz”. Ten zwrot przyswoiłam sobie od Pauline, chociaż właściwie jako kobieta nie musiałam się go od nikogo uczyć. W końcu to przeważnie nas, kobiety, mężczyźni zostawiają: skaczą na równe nogi, po czym orzeźwieni i ożywieni zakładają spodnie (o ile je w ogóle zdjęli). Wydaje mi się, że trudno przecenić moc męskiego orgazmu. Nie tylko daje on im zaspokojenie, dzięki niemu mężczyzna staje się też przyjazny, a nawet wdzięczny; często – choćby tylko na kilka minut – przyznaje się, że jest dłużnikiem kobiety. Przeczytałam pewnego razu, że samica goryla może – hm, „może” to chyba złe słowo – szczytować do pięćdziesięciu razy podczas... czego? Spotkania? Randki? Stosunku? Zaczęłam trochę rozmyślać na temat tego typu spraw.

Byłam ciekawa następnego ruchu mojego detektywa i zastanawiałam się, czy zdoła utrzymać wysoki poziom, który dotąd demonstrował. W przeciwieństwie do moich studentów, Malloy to uosobienie doskonałej techniki. Może nazbyt doskonałej. I miał moją dispensę – mógł sobie wymawiać *motherfucker* w dowolny sposób.

Odsunął się natychmiast z typowo męską opiekuńczą troskliwością o bezpieczeństwo własnego penisa. Po stosunku mężczyźni często zachowują się wręcz przeciwnie niż w jego trakcie, jak gdyby żądali zwrotu tego, co jeszcze kilka chwil wcześniej chętnie rozdawali i

trwonili (gdy trzeba, potrafią nawet ranić), poszukując rozkoszy i zaspokojenia. Malloy podniósł się ciężko z łóżka, poszedł do łazienki i umył się nad zlewem. Słuchałam odgłosu wody, która płynęła przez długi czas i zastanawiałam się, czy mój detektyw używa różowej szczoteczki do paznokci w kształcie kaczuszki. Nie, uznałam, to by go bolało. Penis po wytrysku jest szczególnie delikatny, o czym wie każda kobieta, która próbowała – nawet z najbardziej niewinnymi intencjami – pocałować go lekko albo polizać, ciekawa na przykład smaku i zapachu samej siebie na nim lub zastanawiając się, czy pachnie nieprzyjemnie.

Malloy wrócił do łóżka, pachnąc stefanotisowym mydłem. Wzdychał, jak gdyby było mu żal, że wychodzi z mojego mieszkania, chociaż moim zdaniem wcale tego nie żałował. Żadne z nas nie bało się nagłej pustki i smutku. Wręcz pragnęliśmy się rozdzielić. Ja chciałam zostać sama w moim łóżku, on chciał już pójść. W każdym razie nie mieliśmy nic przeciwko samotności; w tej chwili woleliśmy rozłąkę niż związek. Byłam senna. I chociaż miałam ochotę porozmyślać sobie o moim nowym kochanku, temat ten musiał poczekać do rana, może nawet do czasu, aż znajdę się w metrze, gdzie zwykle przychodzi mi do głowy większość moich co bardziej interesujących myśli (zwłaszcza, gdy słucham kobiet rozmawiających o mężczyznach).

Ziewnął i wytarł ręce o pierś i brzuch. Leżałam na plecach z ramionami za głową i obserwowałam go. Ciekawiło mnie, czy zapragnę go w ubraniu. Zapragnęłam.

Turkusowobłękitne dżokejskie, lekko wyblakłe (zbyt często prane w pralniach Hrabstwa Rockland) szorty, jądra podniesione czule i przesunięte szybkim ruchem ręki, czarne skarpetki, biała koszula. Nie było potrzeby wiązać krawatu (w żółte paski); trzymając go w górze, Malloy wyrównał końce, złożył krawat starannie, niezadowolony znowu go rozwinął, ponownie złożył i wsunął troskliwie do kieszeni marynarki. Później podniósł jedną stopę, postawił ją na oparciu krzesła i zawiązał sznurowadło. Zdjął broń z kominka i włożył ją do czarnej skórzanej kabury – nie było na niej mapy Irlandii – którą zapiął dokoła kostki. Wszystkie te czynności detektyw wykonał szybko, spokojnie i bez skrępowania, mimo iż wiedział, że na niego patrzę. Udawałam, że nie interesuje mnie jego pistolet. Wyjął spinki do mankietów.

Nie chciałam wiedzieć, ile kobiet leżało nago na łóżku i z rękoma za głowami obserwowało, jak Malloy się ubiera. Było widać, że robił to tysiące razy. Dziesięć tysięcy razy... I ciągle znajdował w tym przyjemność. Mężczyzna, który wie, że potrafi dobrze pieprzyć. Mężczyzna, który się ubiera, podczas gdy kobieta patrzy na niego z łóżka. Mężczyzna, który wychodzi przed świtem. Widziałam, że Malloy wyznaje zasadę odsuwania wszystkiego na później. Zresztą, jak większość mężczyzn. Skonfundowanie, oddalenie,

nieobecność. Działanie za pomocą dobrych chęci, a nie rozumu. Te właśnie względy czyniły mojego detektywa człowiekiem niebezpiecznym. Nie seks, ale odsuwanie na później przemyślenia danej kwestii. Odroczenie. Z tego powodu, mimo wszystkich darów, które Królowa Kurczaków przekazała mu przez wspaniałomyślnego, opiekuńczego świętego – choć na pewno nie był nim święty Patryk – Malloy był starym gnojkiem, który pomiałał kobietami.

– Czuję się, jakbym szedł do pracy – powiedział lekkim tonem – a wracam przecież do domu. Nazywam taki stan piątkową nocą. Wiesz, o czym mówię? Gdy wybieram się do pracy, szykuję się właśnie tak jak teraz. Zwłaszcza w piątkowy wieczór. Może poznam kogoś na mieście, myślę sobie. Interesują mnie tylko nieznanym, ktoś nowy, bo po co tracić czas dla kogoś, kogo już pieprzyłem. Może chciałbym się wynieść z domu, bo żona od paru dni mnie olewa. Czuję się tam nieźle, ale ponieważ wiem, że dzieciaki przyjadą na cały weekend, wolę nie wracać. Nie wiadomo, co się zdarzy. To wspaniałe uczucie. Rozpakowuję nową koszulę – ładną, białą. Dobieram do niej krawat. Nieźle buty. Garnitur pasuje doskonale. Wyglądam ekstra, przystojniacha ze mnie. Myślę sobie: czy jest na świecie lepsza praca niż bycie policjantem? Żona sądzi, że wchodzę w paszczę lwa, a ja idę w miejsce, gdzie ktoś mi obciągnie druta.

Otrzepał ręce.

– Krawat na samym śródeczku – kontynuował – żeby nie przesunął się na boki. Może nawet zwiążę sobie węzeł windsorski. Krawat kończy się dokładnie tam, gdzie powinien, czyli na sprzączce paska. Patrę w lustro. Skrapiam dłonie wodą kolońską, wklepuję w policzki, potrząsam nogawką, ukrywając kaburę na kostce. Podchodzi pieprzony kot, przeganiam go, bo nie chcę mieć na spodniach jego kłaków. Zdejmuję marynarkę, pytam żonę, co sądzi i czy podoba jej się mój krawat? „Wyglądam dzisiaj okay?”, pytam. Żona odpowiada: „Jesteś przystojny, wyglądasz dobrze”. „Nie jestem zbyt tłusty? Ciuchy nie są zbyt obcisłe?” Siadam przy kuchennym stole. Marynarkę przerzucam przez drugie krzesło. Chowam krawat w spodnie, podciągam je, by uniknąć fałd i pytam żonę, jakie ma plany na jutro. Odpowiada, że nie planuje niczego ciekawego: lekcja jazdy na łyżwach, spacer po deptaku. Chce wiedzieć, czy będę dzisiaj w domu. Stwierdzam, że nie, wiesz do cholery, że jest piątkowa noc. Wszystkie te czarnuchy... „Zadzwoń do ciebie. Jeśli się obudzisz rano i mnie nie będzie, nie martw się”. Więc żona nalewa mi filiżankę rozpuszczalnej kawy, a ja żalę się na swoją pracę. Trzeba się żalić. Dzięki temu nie wzbudzam podejrzeń. Piątkowa noc i każdy facet w Ameryce kieruje się w zupełnie przeciwną stronę niż ja. Każdy wraca do domu, a ja z niego wychodzę. Jako gliniarz zawsze poruszam się w zupełnie innym kierunku niż wszyscy pozostali ludzie. Ktoś krzyczy „ogień”, wbiegam do budynku. – Malloy usiadł na

krawędzi łóżka, między moimi rozsuniętymi nogami. – Tak to już jest.

– Dlaczego cię wykopała?

– Wykopała?

Zauważyłam, że mój detektyw jest zgorszony, nawet jeśli żona naprawdę go wyrzuciła.

– Dlaczego się rozwiedliście? – zaatakowałam z innej strony.

– Po co chcesz słuchać o tych bzdurach? – Westchnął, jednak odpowiedział mi. – Wykręciłem dwa razy ten sam numer.

– Numer?

– Telefonu. Za pierwszym razem powiedziałem, że mam nadgodziny i nie będzie mnie w domu. Za drugim – zdejmuj ciuchy, nadjeżdżam. Po prostu pomyliłem numery.

– Aha – mruknęłam.

– Tak – odparł.

– Więc dlaczego wróciłeś?

– Ze względu na dzieciaki. Wszystko się popieprzyło. Tęskniłem za nimi.

– Masz dzieci? Nie wiedziałam.

– Kevina usunięto ze szkoły, a młodszego ciągle nie było w domu. Żona pracowała i nie mogła sobie z nimi poradzić. Miała faceta, jakiegoś księgowego z Central Booking. Nie jestem pewien. Tak mi powiedziano. Ale nie o to chodziło. Prawdę mówiąc, wróciłem do domu, ponieważ byłem zmęczony.

– Nie wiedziałam, że masz dzieci – powtórzyłam.

– No cóż – odrzekł; najwyraźniej nie uważał, że powinnam znać szczegóły. – Skąd miałabyś wiedzieć?

– No właśnie – stwierdziłam. – Nic o tobie nie wiem.

– Zdawało mi się, że wszystko ci powiedziałem – zauważył chłodno.

Chciał pozostać całkowicie nieuchwytny. Był pełen sprzeczności – potrafił się zwierzać z najintymniejszych szczegółów swego życia, a równocześnie był bardzo skryty, lubił o sobie opowiadać, ale nie chciał, żebym się o nim zbyt wiele dowiedziała.

– Mój najstarszy chce zostać nauczycielem – powiedział. – Kurna, nie wiem, skąd mu się to wzięło. Mam wrażenie, że Marsjanie kontrolują jego mózg.

– Czego chce uczyć?

– Nie wiem czego, ale wiem kogo. Asphalt.

– Asphalt?

– Małe czarnuchy. Cholera, możesz to sobie wyobrazić?

Milczałam.

Uśmiechnął się.

– Sądziysz, że jak wszyscy gliniarze jestem rasistą. – Chyba wcale nie przeszkadzała mu taka opinia. – Wiesz, ilu czarnych umarło w moich ramionach? – Nagle się rozgniewał. – Pewnego dnia ktoś mnie za któregoś z nich zabije. Zginę nie „przez”, ale „za nich”. – Odwrócił wzrok, oburzony na cały świat, a może na mnie. Nie wiem.

– Obawiam się, że mieszasz swoje życie, to prawdziwe, z iluzją. Mylisz odwagę z uprzedzeniami – stwierdziłam. – Jesteś zawodowcem. Tak właśnie powinienesz postępować.

– Niczego nie mieszam. Nie jestem byle gówniarzem.

Nagle się zaniepokoił. Wydało mi się, że zaczął myśleć o mnie, że zastanawiał się nade mną.

– Co dokładnie wolno mi z tobą robić? – spytałam.

– Wszystko, co chcesz. – Popatrzył na zegarek.

– Gdzie mieszkasz?

– Powiedziałem ci.

– Nie, chodzi mi o ulicę. O adres. Żebym wiedziała, gdzie sobie ciebie wyobrażać. – Z pewnością nie zamierzałam wstępować do pani Malloy na herbatkę, ale było już zbyt późno na wyjaśnienia.

Wsunął mi pod udo prześcieradło.

– Nie musisz tego wiedzieć – odparł. – Skąd masz tę bransoletkę?

Popatrzyłam na cartiera, odwracając go, trzymając w dwóch palcach za złoty tłuczek. Zauważyłam, że zniknął dziecinny wózek.

– Odpadł jeden z wisiorków – stwierdziłam zaskoczona. Zaniepokoiła mnie ta zguba i miałam wrażenie, że w potworny sposób zdradziłam zaufanie, którym obdarzyła mnie ciotka Pauline. – Może na ulicy. Może na West Broadway. – Spojrzałam pod poduszki i odrzuciłam pościel. Maleńkiego wózka nie było tam. Popatrzyłam na podłogę.

– Fatalnie – zauważył Malloy. Wszedł do łazienki i przeczesał włosy przed lustrem.

Siedziałam na skraju łóżka.

– Chcę ci coś powiedzieć – oświadczyłam nagle.

Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jak gdybym zamierzała złamać jakąś tajemnicę.

– Co takiego?

– Naprawdę mnie kiedyś spotkałeś – wydukałam.

Odwrócił się z powrotem do lustra.

– O czym do diabła mówisz?

– Nie poznaliśmy się, jednak już mnie kiedyś widziałeś.

Przesunął grzebień pod strumykiem wody i otrząsnął.

– W „Czerwonym Żółciu”. Widziałam cię tam.

– Rzeczywiście wydawałaś mi się znajoma, ale w „Czerwonym Żółciu”? Nie, mała, nie sądzę. – Przeszedł przez pokój, aby wziąć marynarkę.

– Było ciemno. Miałam na nosie okulary.

– Sądzę, że zapamiętałbym te cycki – powiedział, dotykając palcem mojego sutka. – Nigdy przedtem cię nie widziałem.

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że zrobiłam wszystko, co trzeba. Nie mogłam się oprzeć, by nie zadać tego pytania, ale dalej nie zamierzałam się posuwać. Malloy nie przekonał mnie, upewniłam się jednak, że z jego ust nie poznam prawdy. Miałam ochotę spytać, czy rudowłosa dobrze mu obciągnęła i czy to on ją zabił. Wstydziłam się, że w ogóle przyszło mi to pytanie do głowy. Tak bardzo się wstydziłam, że nie przyznałam się mojemu detektywowi, że rozpoznałam go po tatuażu.

– Wróćmy do sprawy – powiedział. – Miałaś mi pokazać gumową rękę. Gdzie jest?

– Za tymi książkami. Schowałam ją, żeby na nią nie patrzeć.

Znalazł rękę i podniósł ją do światła. Była zrobiona z twardego, białego materiału epoksydowego. Nie była giętka ani pusta jak rękawiczka.

Malloy podszedł i przesunął sztywnymi palcami kauczukowej ręki po moich piersiach. Ku mojemu zaskoczeniu, sutki mi stwardniały. Nie zauważył tego. Zdałam sobie sprawę, że znowu go pragnę.

– Chcę ją zatrzymać – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Może uda mi się ją do czegoś wykorzystać.

– Do czego?

Koniuszki gumowych paznokci wysunęły mu się z kieszeni marynarki.

– Zamknij za mną drzwi – rzucił.

Skinęłam głową.

– Nie opowiedziałeś mi o pamiątkach – odezwałam się.

– O jakich pamiątkach?

– Co zabiera zabójca?

– Daj spokój. Przejdź się do drzwi – poprosił. – Chcę na ciebie popatrzeć. – Wziął mnie za rękę i pomógł wstać z łóżka, po czym usunął się na bok. Stał z ręką w kieszeni spodni i obserwował, jak idę naga przez pokój. Byłam Królową Kurczaków, on – oszołomionym nowicjuszem, piętnastolatkiem, który wpatrywał się w swoją, idącą i otwierającą dla niego

drzwi, panią.

Poczułam, że się czerwienię z pożądania. Jakże łatwowierną istotą jest kobieta...

– Chcę więcej – powiedział za moimi plecami. Stał przy łóżku i patrzył na mnie. – Ale nie spodobałoby ci się życie gliniarza.

– Nie musi mi się podobać – stwierdziłam. Popatrzył zaintrygowany. – Mam własne życie.

– Przepraszam. Wyłazi ze mnie mieszkaniec Washington Heights.

– Będę tutaj – oznajmiłam, po czym wzruszyłam ramionami.

– Wiem o tym – odparł.

I wyszedł.

Zatelefonował po południu. W tle usłyszałam hałas: grała muzyka, krzyczała jakaś kobieta.

– Chciałbym, żebyś przyjechała na posterunek i obejrzała kilka fotografii – powiedział.

– Przyjedziesz?

– Nie widziałam jego twarzy – odrzekłam. – Mówiłam ci.

– No cóż, obejrzyj je dla pewności. Nigdy nic nie wiadomo.

– Szkoda, że nie rejestrujecie zapachów. Pamiętam jego zapach.

– Zapach?

– Był bardzo szczególny. Skojarzył mi się z dentystą. Albo z kimś, kto zbiera znaczki.

Wyczułam coś w rodzaju kleju.

Roześmiał się. Słyszałam, jak jakiś mężczyzna krzyczy:

– Hej, Malloy.

– To tak, jakbym próbowała przypomnieć sobie sen – szepnęłam. – Mam ten zapach, że tak powiem, na końcu nosa.

– Pragnę cię – stwierdził.

Ku swojemu zaskoczeniu poczułam lekki zawód. „Zbyt łatwo”, pomyślałam.

– Gdzie zatem?

– Pracuję – odparł. – Będę tu do późna. A jutro w nocy?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie chciałam mu się wydać zbyt łatwa.

– Jutro w nocy? – spytałam.

– W nocy jest przyjemniej. Ciszej. Mniej przestępców. Przyjdź jutro wieczorem, jeśli ci pasuje. Richiego nie bardzo, cholera, uszczęśliwia praca za biurkiem, ale namówię go, żeby ci przygotował trochę zdjęć. I tak jest na mnie wściekły. Którejś nocy zawiadomiono nas o

zabójstwie na Bank Street. To był pedał. Homo. Podniosłem notes nieboszczyka. Sami faceci. Wsunąłem do niego jedną z wizytówek Richiego. Wiesz, detektyw Richard – chociaż powinno być Ricardo – Rodriguez. Z tyłu napisałem *un hombre magnifico* i *muy grande*. Śledczy, któremu przydzielono tę sprawę, młody chłopak, żółtodziób, przejrzał akta i znalazł wizytówkę Richiego. Obserwowałem go z drugiej strony sali. Wiedziałem, że ją znalazł, bo zrobił się całkiem blady. A trudno tego dokonać, gdy się jest czarnuchem.

Przykro mi się przyznać, ale jego opowieść ogromnie mnie rozbawiła.

– Przeszedł przez całą naszą salę i pokazał kartę mnie. „Co za cholerstwo – szepnął. – Gównu”. Powiedziałem mu: „Musisz to zrobić, człowieku. Niech Rodriguez się wytłumaczy. Zresztą, nie sądzę, żeby był zabójcą”. Potem musiałem wyjść, bo bałem się, że pęknę ze śmiechu. W ostatniej chwili usłyszałem, że Richie próbuje wyrzucić biedaka przez okno.

– Rzeczywiście, *un hombre magnifico* – mruknełam.

Milczał.

– Tak sądzisz? – spytał w końcu. – Może dla portoryków. Wysoki jak na Latynosa. Chce się zapisać na zajęcia baletowe. Sądzi, że można tam poderwać wspaniałe dziewczuchy.

Usłyszałam w tle piosenkę Williego Nelsona i pomyślałam, że prawdopodobnie Malloy wcale nie jest w pracy.

– Nie przyszłoby mi do głowy, że detektyw Rodriguez może mieć problemy z podrywaniem. – Czułam, że się pakuję w kłopoty. Na myśl o tym aż się uśmiechnęłam.

– Pracowaliśmy obaj jako tajniacy w Wydziale Narkotyków. Byliśmy wtedy jeszcze dzieciakami, a on nie był aż taki pewny siebie. Jednak już w tamtym czasie mawiałem, że Richie prawie zawsze dostaje to, czego chce. To bardzo znaczące stwierdzenie.

– Któregoś dnia spytałaś mnie, dlaczego zostałem gliniarzem – podjął po chwili. – Zastanawiałem się nad tym. Wiesz, byłem pijany, całą noc piłem w barze na alei Świętego Mikołaja. Miałem dwadzieścia dwa lata, byłem tuż po wojsku. Sporo wypilem i pomysł wstąpienia do policji wydał mi się dobry. – Znowu umilkł. – Tak w ogóle to zadajesz dużo pytań.

– Chcesz pójść do kina w środę wieczorem?

Nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie mogę – odrzekł. – Pracuję. Próbuję popchnąć co nieco do przodu.

– Na przykład co?

– Och, mówimy tak, gdy pracujemy ponad normę. Nazywamy to wiekuistym „co nieco”. Czasami bywam fatalistą. Jest na przykład godzina piętnasta, za godzinę kończy mi się dyżur, a tu zgłoszenie. Mówię sobie: jeśli to dwóch zabitych żydków z kijami od miotły w

dupach i genitaliami w ustach, nasza praca dziś się nie skończy. Jeśli znajdziemy dwóch małych Latynosów, wyślą nas do domów. Może więc będę miał szczęście.

– No cóż, może spotkamy się, gdy nie będziesz musiał wyciągać żydkom jaj z gęby.

– Tak – powiedział. – Może.

– Zawiadom mnie – burknęłam – kiedy będziesz wolny. – Byłam wściekła.

– Co robisz teraz? – spytał, ścisząc głos. Z trudem go słyszałam.

– Stoję przy kuchennym oknie. Obserwuję mężczyznę, który sika na ulicy.

Nie powiedziałam nic więcej.

– Proszę cię, połóż sobie tam rękę. Połóż i przesun. – Chwilę milczał. – Podobają mi się, gdy wsuwasz w siebie środkowy palec. Głęboko. Dotykasz ścianek pochwy, a one mięknie i robi ci się mokro. Przesun środkowym palcem w górę. Nie ma nic wspanialszego niż taka cipka. I lechtaczka, która chce się ze mną spotkać. Skacze ku mojej dłoni. Kiedy dotykam kobiety i jej lechtaczka pali się do mnie, wiem, że mała zna się na seksie. Wiem, czego się po niej spodziewać. Tak jak po tobie.

– Jesteś daleko – zauważyłam.

– Proszę, włóż sobie rękę między nogi – szepnął.

Włożyłam.

– Zrobiłaś to?

– Nie.

– Proszę, włóż ją pod bieliznę.

Włożyłam.

– Dotknij jej.

Dotknęłam.

– Czujesz, jak skacze w twojej dłoni?

Czułam.

Później w metrze usłyszałam, jak jedna kobieta mówi do drugiej: „Ten facet to trójseksualista”.

W dzisiejszym „Timesie” przeczytałam notkę o zamordowaniu Angeli Sands, dwudziestosześcioletki z Albany, w stanie Nowy Jork, aktorki, dublerki w „Rewii Willa Rogersa”. Morderstwa nie opisano szczegółowo. Nie było też żadnej wzmianki o rozczłonkowaniu. Ani o miniecie. (Przypomniało mi się, co powiedział mi Malloy po południu

przez telefon. Czasami w trakcie obciążania facet namawia dziewczynę, żeby wsunęła sobie jedno z jego jąder do ust. Dodał jednak, że trzeba uważać. „Nie mogę pozwolić byle niezdarze nadgryzać moich jaj”.) Gazeta cytowała wypowiedź anonimowego policjanta, który nazwał zbrodnię „morderstwem w stylu niedźwiedzia grizli”.

Zdobyłam nowe słowa do mojego słownika.

to knock boots – [frazelogizm] odbyć stosunek seksualny;

track – [rzeczownik] kontrakt na zabójstwo (np. „mam na niego -”);

to do – [czasownik] 1.pieprzyć; 2. zabić;

clean – [przymiotnik] przystojny;

to Brodie – [czasownik] skakać, zwykle z budynku albo z mostu; pochodzi od nazwiska niejakiego Brodiego, który twierdził, że skoczył z mostu Brooklyńskiego;

to lash – [czasownik] oddawać mocz;

chronić – [rzeczownik] marihuana, zwłaszcza wysokiej jakości;

smudge – [rzeczownik] Murzyn;

Ape Avenue – [rzeczownik] Ósma Aleja w slangu policyjnym;

puppy – [rzeczownik] broń ręczna (słowo jamajskie);

scrambler – [rzeczownik] drobny uliczny sprzedawca narkotyków;

cocola – [rzeczownik] Murzyn (słowo portorykańskie);

spliv – [rzeczownik] Murzyn;

to be hung like a horse – [frazelogizm] mieć wpływowe koneksje w departamencie policji;

ground ball – [frazelogizm] coś łatwego lub prostego;

to pull a train – [frazelogizm] uprawiać grupowy seks; brać udział w orgii;

slinger – [rzeczownik] handlarz narkotyków;

to inflash – [czasownik] informować;

to double – [czasownik] zastawić komuś wyjazd (np. na parkingu);

to sleep in a tent – [frazelogizm] mieć wielkiego penisa;

to be built like a tripod – [frazelogizm] mieć wielkiego penisa;

dixie cup – [frazelogizm] osoba dyspozycyjna;

her, she – [zaimek] żona.

Dziś po zajęciach podszedł do mnie Cornelius. Skończył konspekt swojej pracy semestralnej i chciał wiedzieć, czy go przejrzę. Zwierzył mi się, że ma problemy z tekstem.

Chętnie zostałabym w szkole i pomogła mu, ale umówiłam się z Reillym i Pauline w restauracji, którą Reilly nazywa „przekąska i pogawędka”. Pauline, która uważa, że żyje się po to, by jadać w lokalach, koniecznie chciała mi towarzyszyć.

Zaprosiłam Corneliusa, aby poszedł z nami.

Zawahał się.

– O której pani idzie?

– Teraz – odparłam. – Z moją przyjaciółką i panem Reilly.

– Panem Reilly?

Studenci nazywają Reilly’ego „Aksjomatem” ze względu na upokorzenie, które odczuwają, gdy nalega, żeby mówili poprawnym amerykańskim (tak Reilly określa nasz język). Żeby wymawiali „ask” przez „a”. Jak gdyby Cornelius i inni nie mówili poprawnym amerykańskim. Osobiście wolę sposób mówienia Corneliusa. Zastanawiam się, czy powinnam powiedzieć mojemu studentowi, że słowo „aksjomat” kojarzy mi się z Chaucerem i z Faulknerem.

– Restauracja jest blisko – powiedziałam. – Przejrzę twój konspekt podczas rozmowy o plastikowych stolikach. Chodź.

Wypchnęłam go z sali, zastanawiając się przez moment, czy nie pakuję się w ten sposób w kolejne kłopoty.

Wczoraj Cornelius powiedział mi, że nie powinnam jeździć metrem, nawet za dnia. Zrzędził, że wpuszczam byle kogo do kamienicy. W drodze do restauracji zachował się nieuprzejmie wobec mężczyzny, który prosił mnie o pieniądze. Mój student wymamrotał długie przekleństwo, w którym znalazło się słowo „czarnuch”. Żebrak odszedł, ale ja poczułam się niezręcznie. Cornelius jest nieczuły, nie cierpi bezdomnych i nie wierzy, gdy mówią, że ich wypędzono lub eksmitowano; przeważnie traktuje życie jak sztukę i stanowi zupełne przeciwieństwo detektywa Malloya. Tajemniczy, rozważny, pozbawiony serca. Zastanawiam się, czy wytatuował sobie na tyłku jamajską flagę.

Zapraszając Corneliusa do restauracji nie wzięłam pod uwagę jednej sprawy – uświadomiłam to sobie dopiero, kiedy zobaczyłam na twarzy Pauline błysk seksualnej aprobaty; chyba postawiłam mojego studenta w niezręcznej sytuacji. Moja przyjaciółka najwyraźniej sądziła, że jestem na randce z własnym uczniem. A przecież Cornelius interesuje się moją osobą jedynie z uprzejmości – chodzi mu wyłącznie o dobry stopień, o przyjaźń; może chciał też odetchnąć od szkolnej nudy. W każdym razie, na pewno mnie nie

podrywał.

Tak przynajmniej sądziłam, nie byłam więc właściwie przygotowana – a chyba powinnam – na to, co się zdarzyło, gdy usiedliśmy na ławie przy stole (wszystko ze sztucznego tworzywa), naprzeciwko Pauline i Reilly’ego, który rzeczywiście opowiadał o plastikowych sprzętach. Nagle Cornelius przysunął swoje udo do mojego.

Odsunęłam się pod ścianę.

– Zamierza mi pan dać zaliczenie, panie Reilly? – spytał.

Nauczyciel przez chwilę obracał w różowych dłoniach plastikowego niedźwiadka napełnionego miodem, po czym spojrział drwiąco.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym dać ci zaliczenie, młody człowieku – odparł z uśmiechem.

– Ponieważ ma pan mnie już dość – podsunął mu Cornelius. Reilly wręczył mu menu.

– Mam dość was wszystkich – oświadczył łagodnie.

Cornelius popatrzył na mnie znacząco.

– To znaczy, że dostanę piątkę. Teraz, kiedy znam różnicę między *ain’t* a *aren’t* i już.

– Wymówił słowo *aren’t* w taki sposób, jak gdyby miał kłopoty w wymowę.

– Jaka jest różnica między „*aren’t*” a „*już*”? – spytała Pauline i zdałam sobie sprawę z tego, że moja przyjaciółka flirtuje z Cornelusem. Trochę mnie to zaskoczyło.

Mój student ją zignorował, cały swój czar (który Pauline instynktownie wyczuła już po trzech minutach spędzonych w jego towarzystwie) zachowując dla mnie. Siedząc obok niego, przyciśnięta do wiszącego na ścianie obrazka amerykańskiego łosia, starałam się nie zwodzić Corneliusa, który sprzymierzał się ze mną przeciwko Pauline. Nie zamierzałam w żaden sposób mu sugerować, że pragnę, aby z nas dwóch wybrał mnie.

W gruncie rzeczy spóźnione rozpoznanie jego pożądanego sprowokowało mnie do rozważenia ewentualnej zmiany naszych stosunków. Rozmyślałam o tym jednak tylko przez chwilę. Poczułam się jak w liceum – ktoś ci mówi, że jakiś chłopiec bardzo cię lubi i to wystarczy, byś zaczęła z nim chodzić. Ale życie to nie liceum.

Kelnerka, ubrana w różowy strój i biały fartuszek, podeszła do naszego stolika. Pauline zamówiła zestaw obiadowy – mielonego kotleta i tłuczone ziemniaki, Reilly wziął danie o nazwie „Dziękczynienie na grzance”. Oboje skrzyczeli mnie, ponieważ poprosiłam tylko o pszenną kanapkę z tuńczykiem. Cornelius nie zamówił niczego.

– Nie zamierzam oblewać sosem mojej pracy semestralnej i już – stwierdził.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Kolacja Reilly’ego wyglądała wybornie i naprawdę skojarzyła mi się ze Świętem Dziękczynienia. Nie wiem, dlaczego właściwie wątpiłam, że tak

będzie... A tu dwie polane sosem żurawinowym kromki białego chleba, między nimi farsz, do tego słodkie ziemniaki oraz pierś z indyka i dwa skrzydełka w sosie własnym. Staram się jednak nigdy nie obserwować, jak Reilly je. Kiedyś jadłam razem z nim kraby w portowej restauracji i od tego czasu nie ruszam tych skorupiaków. Nie żałuję nikomu erotycznych rozkoszy, niezależnie od ich źródła. Niech więc sobie Reilly chrzęści, przeżuwa, przecina i ogryza, ale nie mam ochoty tego oglądać.

– Kurczę, mam ciekawsze zajęcia – oświadczył nagle Cornelius i zanim zdążyłam się odezwać, był już na ulicy.

Reilly popatrzył na mnie, zmarszczył brwi, po czym delikatnie wytarł ręce w serwetkę.

– To nie był dobry pomysł – zauważył.

– Co takiego? – mruknęłam, doskonale wiedząc, co ma na myśli.

– Bratanie się – wyjaśnił. – Z tego są zawsze tylko kłopoty. – Chwycił indyckie skrzydło i wessał się w chrząstkę stawu.

– Och – zdenerwowałam się. – O co taki raban? Szkoda, że nie ma w pobliżu „Kentucky Fried Chicken”.

– Ależ jest – odparł, podnosząc z brzegu talerza maleńką porcję żurawin. – Na Czternastej Ulicy.

– Chciałbyś spróbować mielonego? – spytała go Pauline. Pan Reilly chciał.

„Nic dziwnego, że w końcu ktoś ją przelatuje na zlewie”, pomyślałam złośliwie. Jadłam kanapkę z tuńczykiem, która była tak stereotypowa, że zaczęłam żałować swego wyboru, chociaż zwykle zjadam wszystko, nawet to, co jeden z moich studentów nazywa paskudztwem. Podzieliliśmy rachunek na trzy równe części i zapłaciliśmy. Mój kolega i moja przyjaciółka umówili się na randkę do nowej restauracji w Chelsea, gdzie kelnerzy wyglądają jak gauczowie i noszą kapelusze z dyndającymi pomponikami.

Zostawiłyśmy Reilly’ego przy jego samochodzie i poszłyśmy pieszo aż do placu Waverly, gdzie pocałowałyśmy się na pożegnanie.

W drodze do domu myślałam o nowym wierszu w metrze numer 4. W ciągu ostatniego miesiąca zaczęłam ulegać jakiejś paranoi i wierzyć, że afisze „kolejowej poezji” to wiadomości przeznaczone właśnie dla mnie. Nie w sensie metaforycznym, ale dosłownie wybrane dla mnie przez kogoś, kto posiada wpływ na osoby decydujące o wystroju miejskich środków transportu. Nowym wierszykiem było *haiku* Yosano Akiko.

Na koniec wyznam całkiem szczerze:

Gdy wracam myślą do mej namiętności,

*Pewnym, żem był jako ślepiec,
Który nie obawia się ciemności.*

Dla mnie, prawda?

Mój zegarek stanął, toteż wiedziałam, że jest wieczór, lecz nie znałam godziny. Zresztą, fakt ten nie miał zbytniego znaczenia. Już w dzieciństwie nauczyłam się określać czas bez zegarka. Tyle że było mi do tego potrzebne niebo. W Nowym Jorku zwykle nie widzę żadnego źródła naturalnego światła, nie jest mi więc łatwo odgadnąć godzinę. Od czasów dzieciństwa zapadła mi w pamięć także informacja o robakach zamieszkujących Filipiny – stworzenia te wbijają się człowiekowi w skórę podeszwy stopy, docierają do krwioobiegu i podróżują nim do mózgu, którym się żywią. Tego typu małych, ale istotnych informacji nauczyła mnie moja opiekunka Augustina. Myślę o niej często, może ze względu na jeszcze jedną nieocenioną mądrość, którą się ze mną podzieliła – że cięży zapobiega natrysk skwaśniałą miksturą z goździków, odparowanego mleka i soku z limony; wskutek tej rady mój pierwszy kochanek, kierownik biura prasowego „New York Timesa” w Manili, zauważył z poczuciem winy, że pachnę jak szczenię.

Rzecz jasna, nie testuję codziennie tych „prawd”. Rany! Augustina ostrzegała mnie również, że trzeba się wystrzegać każdego człowieka – mężczyzny, kobiety – ubranego w pelerynę. Ach, te wspomnienia...

Którakolwiek była godzina, na moich schodach siedział Cornelius. Na szczęście, nie miał na sobie peleryny.

Właściwie, nie tyle siedział, co leżał z głową na plecaku. Nogi niechlujnie ułożone, stopy w ciężkich traperskich butach zgięte na boki.

Stałam na dole schodów i patrzyłam na niego; wyglądał na martwego. Przypomniało mi się, że poprzedniej nocy, gdy wróciłam późno, dostrzegłam na szczycie schodów dwóch sikających mężczyzn. Kiedy spytałam, czy nie mogą sobie znaleźć innego miejsca na sikanie, jeden z nich, Latynos, odpowiedział, wsuwając penisa w dżinsy: „Może na ciebie, co paniusiu?”

– Corneliusie – odezwałam się.

Powoli usiadł. Wydawał się urażony, jak ktoś, kto śpi i nie życzy sobie, by go wrywać z tego stanu. Weszłam po schodach.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

Nie ruszył się, zmuszając mnie, żebym przeszła ponad jego nogami. Wyjęłam klucze.

– Mam pracę – rzuciłam mu przez ramię. Usłyszałam, jak bierze plecak i wstaje.

Stanął za mną na progu. – Zmęczyła mnie obserwacja pana Reilly jedzącego „Dziękczynienie” – dodałam. – Zostaw mi swoją pracę semestralną, do wtorkowych zajęć przejrzy ją, a ty będziesz miał czas, żeby sobie wszystko przemyśleć.

Stwierdziłam, że mój głos brzmi niepewnie, nawet nerwowo i zdałam sobie sprawę, że naprawdę jestem zdenerwowana. Nie bałam się Corneliusa, ale też nie chciałam go niczym obrazić. Zadałam sobie nagle pytanie, czy mój student ma silniejszą wolę niż ja. Co się stanie, jeśli wejdzie za mną do budynku, po schodach, do mojego mieszkania i zacznie nalegać, żebym... Co? Żebym przeczytała jego wymyśloną rozmowę z zabójcą Johnem Wayne'em Gacym, którą napisał jako fragment pracy semestralnej. Przy Corneliusie zawsze staram się zachować ostrożność. Nie flirtowałam z nim. Zresztą, przecież flirt nie jest niebezpieczny, zwiększa jedynie możliwość ryzyka.

– Czy Gacy otrzymał imiona na cześć aktora, czy ze względów rodowych? – usłyszałam własne pytanie.

– Co takiego? – spytał mój student.

Zastanowiłam się, czy naprawdę się go obawiam. Czy naprawdę wierzę, że Cornelius Webb zamierza się zachować bardzo nieuprzejmie, jeśli zaproszę go wraz z jego tekstem na górę, do mojego mieszkania? Gdy w restauracji przysunął swoją nogę do mojej, wyczułam, że jest mną zainteresowany i może z tego powodu czułam się teraz nieswojo.

– Powiedziała pani, że ją przejrzy. – Stał blisko mnie; oboje byliśmy zwróceny w stronę drzwi, a zatem plecami do ulicy. Cornelius był tak blisko mnie, że pragnąc uniknąć kontaktu z jego ciałem, przycisnęłam biodro do drzwi. – Po to przecież poszedłem z panią do tego lokalu. – Wydawał się naprawdę rozgniewany.

Otworzyłam drzwi i weszliśmy do środka.

– Daj pracę – powiedziałam.

Ciężkie drzwi zamknęły się za nami. Cornelius odwrócił się i pchnął je ręką, sprawdzając, czy są zamknięte na klucz.

– Nie mam jej.

Wpatrzyłam się w niego.

– Wyrzuciłem ją – wyjaśnił.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Wyrzuciłem ją, kiedy wyszedłem z restauracji.

Odwróciłam się od niego, jak gdybym zamierzała otworzyć skrzynkę na listy i przycisnęłam guzik, który uruchamiał alarm w mieszkaniu mojego gospodarza. Nie usłyszałam żadnego dźwięku, mimo iż drzwi do mieszkania gospodarza znajdują się

niedaleko, w rogu małego holu, pod schodami. Uprzytomniłam sobie, że dzwonek nie działa.

– Potrzebuje pani czegoś na kolację? – spytał. – Dlaczego jest pani taka rozdrażniona?

Zdjęłam rękę z dzwonka.

– Chcę, żebyś już poszedł – powiedziałam.

Byłam trzydziestopięcioletnią nauczycielką, a Cornelius zaledwie dziewiętnastoletnim studentem, jednak tu, w tym gorącym i dusznym frontowym holu cała moja krucha przewaga zniknęła.

Otworzyłam kluczem wewnętrzne drzwi, jedną ręką chwyciłam się chwiejnej drewnianej poręczy, drugą oparłam się o przeciwległą ścianę i szybko ruszyłam po schodach w górę.

Tak jak obiecałam, znalazłam się na posterunku przy Dziesiątej Ulicy o wpół do ósmej wieczorem. Kiedy powiedziałam, że przyszłam się zobaczyć z detektywem Malloyem, wielka czarna kobieta za biurkiem wskazała mi schody.

Weszłam na drugie piętro. Na półpiętrze wisiała fotografia Glorii Estefan z autografem („Dla wszystkich klawych facetów w Szóstce”), pisemne przypomnienie, aby się zapisywać do policyjnej ligi sportowej oraz wielki plakat informujący o czymś, co nazywano „Rakieta dla emerytowanych policjantów”; impreza ta miała się odbyć w przyszły piątek w „Castle Harbor Casino” w Bronksie.

Po strzałkach dotarłam do kiepsko oświetlonego korytarza i otworzyłam drzwi z odręcznym napisem: „Najlepszy wydział zabójstw na świecie”. Weszłam do środka.

Tuż za drzwiami znajdował się niski drewniany płotek z huśtającą się bramką. Wzdłuż parkanu stał rząd krzesel. W środku sali znajdowało się kilka ustawionych w jednej linii szarych, metalowych biurek. W rozmaitych punktach pomieszczenia stało kilka obrotowych krzesel na kółkach, na wielu oparciach leżały marynarki. Pod tylną ścianą zauważyłam jeszcze dwa biurka, a za nimi jasne tablice pokryte przypinanymi notatkami, czarne tablice zapisane kredą, makiety z haczykami i numerkami oraz plansze z rozmaitymi wycinkami. Na biurkach stały też stare elektryczne maszyny do pisania i czarne telefony, a na podłodze obok biurek stojaki na kapelusze i kosze na papiery. Duży zegar na ścianie spieszył się o pięć minut. Na innej ścianie wisiał afisz z opisem potencjalnych przykładów napaści seksualnej w miejscu pracy i numer telefonu, pod którym można było złożyć skargę. Na jednym z biurek stał czerwony, plastikowy kubełek, do którego z sufitu skąpy wała woda. Wąski korytarzyk na tyłach prowadził do małej celi z porzewiałymi kratami.

Na drzwiach w narożniku wisiała tabliczka z napisem „Kapitan Corelli”. W drugim

rogu znajdowała się sala z jedną szklaną ścianą. Wewnątrz, wokół długiego stołu zastawionego pudełkami z chińską potrawą sprzedawaną na wynos i butelkami z gorącym sosem oraz zarzuconego stosami formularzy lotto, siedziało kilku mężczyzn; większość z nich nie miała na sobie marynarek. W starym telewizorze zawieszonym pod sufitem oglądali teleturniej „Va banque”.

Stałam przy bramce. Dostrzegł mnie jeden z mężczyzn w sali telewizyjnej – mały człowieczek w ubraniu z forsoryzującego, zielonego sztucznego jedwabiu – i powiedział coś do osobnika, który stał przed kuchenką mikrofalową. Ten przy kuchence odwrócił głowę przez ramię i zaskoczył mnie fakt, że – mimo iż wiele części jego ciała potrafiłabym opisać z zamkniętymi oczyma – dopiero teraz rozpoznałam w nim Malloya.

Wyszedł z pokoju. W ręku trzymał dietetyczną colę. Kilku jego kolegów spojrzało na mnie bez wyrazu. Jeden z nich coś powiedział i pozostali roześmiali się, a następnie znowu zagapili w telewizor.

– Spokojna noc – powiedział do mnie. – Chcesz coś do picia? Wodę sodową?

Przesunął czerwony kubełek o kilka centymetrów.

– Dziury w dachu – wyjaśnił. – Ostrzeliwali nas z okolicznych budynków. Dwudziestodwukalibrowe karabiny.

Podprowadził mnie do biurka przy ścianie. Leżał na nim pejcz, stał zakurzony plastikowy kieliszek do szampana i czarno-biała fotografia z podpisem: „Dziękuję, funkcjonariuszu Malloy. Fajny z pana facet”. Obok leżało zdjęcie mężczyzny stojącego przed warsztatem szewskim.

– Jak się miewasz? – spytał. – Wszystko dobrze?

– Tak, dzięki – odparłam, obracając bransoletę na nadgarstku. Byłam onieśmielona i trochę niespokojna.

– Zawsze tak mówisz – zauważył.

– Cóż, tak się mówi. Mogłabym powiedzieć: „O, kurde, jest w dechę”, ale poczułabym się wówczas jak idiotka. Nie można udawać kogoś innego, bo wtedy człowiek zachowuje się kretyńsko...

– Hm, no tak – mruknął. Uśmiechał się do mnie i patrzył w taki sposób, jak bym była wariatką.

– Malloy! – krzyknął ktoś. – Twoje żarcie się podgrzało.

Mężczyzna w zielonym ubraniu przy pomocy szmatki wyjął z kuchenki tacę i trzymał ją w górze. Danie nie wyglądało najlepiej.

– Twoja nędzna strawa – krzyknął do Malloya.

Przez pokój przeszedł łysy mężczyzna z marynarką przewieszoną przez ramię. W rękę niósł zaplombowaną urnę.

– Nie obchodzi mnie, co robisz – stwierdził Malloy do mnie – rób, co chcesz, ale jeśli powiesz komukolwiek, że jadam mrożone posiłki dietetyczne, zabiję cię.

Zastanawiałam się, komu miałabym o tym powiedzieć. Nie odezwałam się. Zobaczyłam, że detektyw Rodriguez wstaje od stołu w sali telewizyjnej, przeciąga się, ziewa i znowu się przeciąga. Wszedł do głównej sali i usiadł naprzeciwko mnie przy biurku Malloya.

– Nienawidzę „Va banque” – stwierdził.

– Ulubioną kategorią Richiego jest malarstwo impresjonistyczne. Rembrandt i tacy tam. Prawda, Richie? Pamiętasz pannę...

Zanim Malloy zdołał dokończyć, Rodriguez spytał mnie:

– Jak się miewasz? Wszystko dobrze?

– Jasne, dzięki.

– To dobrze – Rodriguez zwrócił się do Malloya. – Założę się, że twoja pani zna nawet imię Rembrandta.

– Chrzanisz, stary – mruknął Malloy. – Jego pierwsze imię? Rodriguez przeglądał jakieś papiery na biurku.

– Możemy zamknąć sprawę Finklesteina. Facet się przyznał. Mówiłem ci, tłusciuchu, że to on. Jezus, jak ja czasami kocham być gliną. – Odwrócił się do mnie. – Wiedziałem, że zabił swoją starą od chwili, gdy mi powiedział: „Wiesz, jak bardzo ją kochałem? Kochałem ją tak bardzo, że lizałem ją każdej nocy”. – Rodriguez strzelił palcami. – Stąd się domyśliłem.

– Trzeba kogoś kochać, żeby go lizać? – spytał jakiś przechodzący obok nas mężczyzna w dżinsach i wiatrówce; w rękę trzymał wielkokalibrową strzelbę.

– Kiedy się poddał? – spytał Malloy. – Włożyłeś mu papierową torbę na łeb i podпалиłeś, tak jak ostatnio?

– Wiesz – odpowiedział mu Rodriguez. – Zeszłej nocy siedziałem tu do drugiej nad ranem. W końcu mówię: „Pieprzę cię, facet, wychodzę”. Musiałem przecież wrócić o ósmej. No i wyszedłem. Wracam rano, przechodzę obok jego celi... Wiesz, siedzi teraz w celi, a tu słyszę: „Panie władzo, czy mogę z panem porozmawiać?”. Pytam go: „Czego, do cholery, chcesz?”, a on mi na to: „Pan naprawdę sądzi, że to zrobiłem, prawda?”. Mówię mu: „Wiem, że to zrobiłeś” i dodaję: „Myślę, że zabiłeś nie tylko ją, ale pewnie resztę swojej rodziny również. Prawdopodobnie zabiłeś Willy’ego, Bóg wie, gdzie on jest. W każdym razie wiemy na pewno, że zabiłeś swoją starą”. Pokazałem mu zdjęcia jej ciała. „Tak ją zostawiłeś, sukinsynie. To ona. Twoja Lillian”. „Chcę opowiedzieć, co się zdarzyło”, mówi. Załamał się i

wszystko mi wyśpiewał. Płakał. Wytrąciło mnie to z równowagi, kurde. Zwykle te gnojki się nie załamują.

– Przynajmniej nie za każdym razem – wyjaśnił mi Malloy. – Najczęściej skurwysyny odmawiają zeznań. To twardziele.

– Większość z nich sądzi, że są bystrzejsi ode mnie – zauważył Rodriguez i mrugnął do mnie. – I to mi daje przewagę.

Malloy przeszedł przez salę i stanął obok rzędu szafek na akta. Zauważyłam drugi telewizor, mniejszy, przymocowany wysoko na ścianie. Na ekranie pojawiały się wizerunki zaginionych dzieci, kobiet i mężczyzn, słyszałam głos odczytujący wiek, nazwisko, znaki szczególne oraz ostatnie miejsce, w którym widziano daną osobę: Centrum Rozrywki im. Wilbura G. Van Heusena, Pokoik Barbie podczas parady w święto Macy.

– Cieszę się, że cię widzę – odezwał się Rodriguez cicho.

Czekałam.

– Chciałem cię przeprosić. Byłem trochę wlny tamtej nocy w barze. Nie najlepiej mi się tu układa. Malloy może ci powiedzieć co nieco na ten temat.

Milczałam.

– Wypiłem trochę za dużo drinków. – Przerwał. – Mówię ci to, żebyś o mnie źle nie myślała.

– Źle?

– O mnie.

– Ależ nie – stwierdziłam.

– To dobrze.

– Malloy chce, żebym przejrzała kilka zdjęć. Mówił, że przygotujesz je dla mnie.

Rodriguez zmarszczył brwi. Najwyraźniej nie wiedział, o czym mówię.

– Zdjęcia?

– W związku z tamtą nocą – wyjaśniłam. – Na ulicy West Broadway.

– Ach, te zdjęcia – rzucił spokojnie. – Nie ma sprawy.

Ciekawe, czy Malloy zapomniał mi powiedzieć, czy też... Na sekundę zjeżyły mi się włosy na ramionach. Moja słodka Augustina nazywała taką reakcję „tanim dreszczem”. Spojrzałam w stronę Malloya, który stał przy otwartej szufladzie z aktami. Był do nas odwrócony plecami i nie mógł nas słyszeć.

– Podobno nie widziałaś twarzy napastnika – zauważył Rodriguez.

– Rzeczywiście.

– Nosił maskę, prawda? Dlaczego Malloy każe ci przejrzeć zdjęcia?

– Może ten mężczyzna był w barze. Może rozpoznam twarz kogoś, kto był w barze.

– To nic, kurde, nie znaczy.

Rozległ się głośny trzask. Ktoś otworzył kopniakiem ruchomą bramkę. Tylko ja jedna odwróciłam się i spojrzałam w tamtą stronę. Zauważyłam ogromnego, uśmiechniętego, rumianego mężczyznę w bladoniebieskiej koszuli, który trzymał pod ramię młodego Murzyna. Podprowadził chłopaka do krzesła przy jednym z pustych biurek i pchnął go na nie. Chłopak miał zawiązaną wokół głowy czerwoną chustkę. Kiedy policjant go puścił, dostrzegłam na ramieniu chłopca krzywo wytatuowane litery FTW.

– Hej, Richie – nowo przybyły policjant zagaił uprzejmie Rodrigueza. – O co ci chodzi? – Sapał. Może dlatego, że ważył co najmniej sto trzydzieści sześć kilogramów.

– O co chodzi?! – powtórzył Rodriguez. – Halloran, mam dla ciebie te adresy. Szukanie zabrało mi cały pieprzony dzień. – Wymawiając „ca-ty-piep-rzo-ny-dzień”, rozbił te trzy wyrazy na sześć sylab, jak gdyby śpiewał lub intonował. – Wiesz mi piwo, stary.

Jakiś młody latynoski policjant postawił na jednym z pustych biurek pięć plastikowych pojemników. Otworzył jeden po drugim. Czarna fasola, ryż z marchwią i groszkiem, *plátanos maduros*, wieprzowina, tortille z białej mąki. Poczułam głód. Przygotowała je zapewne matka albo żona. Przyszło mi do głowy, że jeśli żona, to chyba jest nią od niedawna.

Młody policjant odezwał się do Rodrigueza:

– Miałeś rację co do tej ofiary nad rzeką. – Rodriguez w tym czasie zajrzał do szuflady biurka i starannie obejrzał kilka klipsów do papieru, zanim znalazł odpowiedni i zaczął go prostować. – A taki byłem pewny, że go zabito – dodał, potrząsając głową, po czym zaczął jeść.

– Widziałeś jego ręce? – spytał Rodriguez. – Musiałeś na nie spojrzeć. Po nich łatwiej poznać przyczynę śmierci. Naturalną reakcją człowieka jest opór. Ludzie, których ktoś chce zepchnąć, bronią się, więc mają zwykle połamane paznokcie i zniszczoną skórę dłoni. Ten facet skoczył sam.

Detektyw Halloran siedział na biurku. Był zbyt dużym mężczyzną, by się zmieścić na krześle. Znajdowaliśmy się za daleko od niego, aby wyraźnie słyszeć przesłuchanie, docierały do nas jednak fragmenty ich rozmowy, zwłaszcza gdy rozżalony Halloran podniósł głos, nie wierząc, że chłopak ma na imię Kelly.

– Wiesz, co to jest? – krzyknął na chłopaka. – To jest zniewaga. Rodriguez zauważył, że słucham.

– Kolejny irlandzki skurwysyn – stwierdził.

– Z Irlandii – powiedział Malloy, podchodząc.

– Masz dobrą pamięć? – spytał mnie Rodriguez. – To znaczy... jeśli zobaczysz kogoś na zdjęciu, będziesz go w stanie rozpoznać?

– Pamięć generalnie nie jest sprawą absolutnie wiarygodną. Przynajmniej moja taka nie jest. Nie jest czymś niepodważalnym.

– Ależ jest – mruknął chłodno. – Cholernie na nią liczę.

To nie była odpowiednia pora na przedstawianie swojej teorii – moim zdaniem wspomnienia są jak sny i nie mogą być niezawodnym dowodem na cokolwiek, nie sposób też ich dowieść, podobnie jak snów.

Malloy położył przede mną szufladę z aktami.

– Niesamowite są te szare myszy – zadrwił. – Mają własne kubki do kawy, wiesz, o czym mówię?

Rodriguez położył nogi na biurko.

– Czy detektyw Rodriguez ci się naprzykrzał? – spytał nagle Malloy. – Czy mówił ci o rybach w rzece Hudson? Tuż pod mostem Jerzego Waszyngtona?

– Opowiadałem jej o pewnym dniu, gdy kot wyżarł jądra ofiary przy Sto Dwudziestej Trzeciej Ulicy.

– Dniu, kiedy kot zjadł czyjeś jaja? – spytałam.

– A co to? – spytał Malloy, patrząc na notatkę, którą ktoś zostawił na jego biurku.

W każdym razie nie zamierzałam słuchać opowieści o kocie.

Rodriguez wziął pejcz z biurka Malloya i ostrożnie oparł o ścianę. Podtrzymał go ręką, póki się nie upewnił, że przedmiot nie upadnie.

– Przejrzyj zdjęcia – polecił. – Jeśli facet tam będzie, rzuci ci się w oczy.

– Mam nadzieję, że nie – odburknęłam.

– Chciałbym pogadać z twoją przyjaciółką – odezwał się nagle Malloy. – Kobieta, która ci towarzyszyła.

– Pauline?

– Właśnie, Pauline.

– Nie było jej ze mną. Byłam sama.

– Wiem. Wiem, że jej nie było na miejscu zdarzenia. Ale może dostrzegła kogoś, rozumiesz? Może widziała kogoś z okna.

Dałam mu numer telefonu Pauline. Malloy wziął skrawek papieru i podszedł do innego biurka. Rodriguez przeglądał słownik hiszpańsko-angielski, a ja indeks teczek w aktach. Zauważyłam, że setki fotografii rozmieszczono alfabetycznie według rodzaju przestępstwa – zabójstwa, gwałty, rozboje.

Z sali telewizyjnej wyszedł jakiś mężczyzna o zmęczonym wyglądzie, podszedł do stojaka na płaszcze i zaczął czegoś szukać w kieszeniach wiszącej tam marynarki.

Malloy dostrzegł, że obserwuję mężczyznę.

– Powinnaś znać tego faceta – stwierdził.

– Tak?

– To detektyw Jurowitz. Widział więcej cycków niż ktokolwiek z żyjących ludzi.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Moich nie widział – bąknęłam.

– Każdej nocy bywa w „Klubie Koteczek”.

Detektyw Jurowitz zauważył, że o nim rozmawiamy.

– Malloy, twoja kolacja stygnie – mruknął.

– Powiedział mi kiedyś, że wszyscy mieszkańcy naszej planety są jakoś ze sobą powiązani. Absolutnie wszyscy – wyszeptał do mnie Malloy.

Jurowitz uśmiechnął się.

– Ładny garnitur – odezwał się do Malloya.

– Pewnie – odkrzyknął Malloy. – To podstawa. Zawsze trzeba wyglądać lepiej niż pozostali.

Jurowitz znalazł papierosy i wrócił do sali telewizyjnej.

– Widział „Dużą Johnson” – stwierdził Malloy, podchodząc do szafki z aktami.

Zastanawiałam się, czy „Duża Johnson” robiła mu dobrze w „Klubie Koteczek”. Nie wydawało mi się to możliwe. Przewracałam kartki ze zniszczonymi i przerażającymi twarzami. Nie przypuszczałam, że natknę się na fotografię mężczyzny, który napadł na mnie na skrzyżowaniu ulic West Broadway i Canal tamtej nocy, ale nie miałam ochoty wracać do domu.

Nagle stanął za mną Rodriguez.

– Masz jakieś plany na kolację? – spytał szeptem. – Chciałbym się stąd wynieść.

Nie powinnam się dziwić. W końcu, zawsze ceniałam sobie niespodzianki. Interesują mnie nowe sytuacje. Lubię być zaskakiwana i przekonywana.

– Co powiesz na kalmary? Jest takie fajne miejsce na alei Arthura.

Malloy zawołał przez pokój:

– A ja chciałbym wiedzieć, Richie, od kiedy polubiłeś białe panienki?

– Dokładnie wtedy, kiedy ty – odparł Rodriguez i poszedł sobie.

Poczułam się skrepowana. Przyjrzałam się zdjęciu, które stało na biurku Malloya.

– Czy to twój ojciec? – spytałam.

– Jezu – mruknął, przechodząc przez pokój. – Mój ojciec? Mój ojciec był kierowcą autobusu. Umarł piętnaście lat temu.

– Przykro mi – powiedziałam.

– To nie twoja wina – stwierdził. – Był hazardzistą. Nałogowym hazardzistą. I pijakiem. Nie nazywam go alkoholikiem – wprawdzie pił, ale jego prawdziwym nałogiem był hazard. Także konie. A to jest zdjęcie Kevina Daleya – wyjaśnił, patrząc na fotografię. – Był wspaniałym pieprzonym policjantem, a teraz jest wielkim pieprzonym szewcem. Kiedy przyszedłem tutaj w 1971 roku był detektywem w Wydziale Narkotyków. Uwielbiałem dla niego pracować. Facet naprawdę potrafił dedukować. Rozumiesz? Miał taką niesamowitą, wrodzoną zdolność rozumienia spraw. Potem przeniesiono go z Narkotyków i zajął się zabójstwami. Był szczęśliwy. Nagle, nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy, ale postanowił zdać egzamin na sierżanta. Zdał go i zaczął pracować w Bronksie. Odtąd chodził w mundurze nie częściej niż człowiek po księżycu. Siedział w biurze. Miał już przepracowane dwadzieścia lat i żona zaczęła go dręczyć, żeby odszedł z policji. Tak jak większość, nie rozumiała, że policjant, który mógłby już przejść na emeryturę, woli pracować na pół etatu i za połowę wynagrodzenia przychodzić do wydziału jak zwykle. Policja była całym jego życiem, ale żona w jakiś sposób zdołała go przekonać do emerytury. Zaczął uczyć w szkole w Bronksie. Uczył samotne matki, a wieczorem uczęszczał do Iona College, aby zdobyć odpowiedni tytuł. W końcu uznał, że nie radzi sobie z nauczaniem, więc rozejrzał się wokół siebie i zastanowił, co mógłby zrobić dla ludzi. Mieszka w Hrabstwie Rockland, obok mnie, tuż za rogiem.

– Nie wiedziałem, że w Hrabstwie Rockland istnieją rogi – zadrwiłam. Nie próbowałam być zabawna. Po prostu nie wyobrażałam sobie tych rogów.

– Istnieją, ale nie ma tam szewców. No i było tak: przez sześć miesięcy Kevin chodził do centrum i uczył się rzemiosła od starego włoskiego obuwnika z Wall Street. Nakładał obcasy, przybijał podeszwy, kleił. Po prostu się uczył i pewnego dnia został szewcem. Jest najlepszym szewcem, jakiego kiedykolwiek znałem.

Milczałam.

– Z dzieciństwa pamiętam faceta nazwiskiem Jerry Farmer. Był Robin Hoodem mojej dzielnicy, kradł rowery bogatym żydowskim dzieciakom i dawał je nam. Parę razy siedział w więzieniu. Namawiał mnie, żebym razem z nim kradł rowery z Fort Washington. Nie mogłem pójść tą drogą, rozumiesz? Pamiętam z dzielnicy także innego faceta, młodego gliniarza Bustera Kelly'ego! Często go obserwowałem. Szanowano go, poważano... Nosił „pistolet. Zginął podczas próby powstrzymania napadu z bronią. Na jego pogrzebie stały w rzędach setki, a może i tysiące gliniarzy. Czuję, że tworzą coś w rodzaju tajnego klubu. I

zapraǳałem do niego należeć.

Rodriguez obserwował nas z drugiego końca sali.

Usłyszałam, jak przesłuchiwany przez detektywa Hallorana chłopak mówi rozdrażnionym tonem:

– Czarny, meksyk, biały, żółtek, to nie ma dla nas znaczenia. Liczy się ekipa. Kiedy idziemy się napić albo rzucamy się do akcji, jesteśmy paką i jak trzeba, każdy wyciąga spluwę, kuma pan?

– Znasz swoje prawa, znasz tę gadkę na pamięć, co, mały? – mruknął Halloran. – Więc co mi masz naprawdę do powiedzenia?

Znowu przeglądałam indeks. Na każdą kartę patrzyłam z uwagą. Czarny, meksyk, biały, żółtek.

– Nie mają dokąd pójść – wyjaśnił Malloy, patrząc na chłopaka. – Ściągasz takiego na przesłuchanie i on rzeczywiście przychodzi. Trzeba go wprowadzić, nie ma siły, a potem nie masz chwili spokoju, aż facet powie ci wszystko. Można mu też sporo wmówić.

Spojrzałam na niego.

– Widzisz, w przeciwieństwie do psychopatycznych morderców większość zabójców usilnie pragnie zracjonalizować sobie swoją zbrodnię – wyjaśnił. – To wszystko. Jeśli podsuniesz zabójcy odpowiedni motyw, przyjmie go jako własny. Czy ktoś naprawdę wierzy Robertowi Chambersowi, że zabił dziewczynę z powodu nieudanego ruchanka? To gliniarz podsunął mu ten motyw. Dokładnie mówiąc, mój stary partner. Robert Chambers udusił pewną dziewczynę, ponieważ mu się naprzykrzała. Nie mieliśmy wątpliwości, że ją zabił, ale facet nie chciał się przyznać. Wtedy do sali przesłuchań wszedł mój ówczesny partner i mówi: „Słuchaj, Bobbie, to będzie prywatna rozmowa, jestem twoim przyjacielem i wiem, jak to się stało. Wkurzała cię. Cipa pieprzyła wszystko, co się ruszało. Obciągała każdego druta. Robiła minetę na stółkę. Chcesz iść do więzienia za zabójstwo pieprzonej kurwy? Powiem ci, co się zdarzyło, Bobby: ta dupa siedziała na tobie, plecami do ciebie i pieprzyła cię tak mocno, że rozbolał cię kutas. I nie złaziła. Sięgnąłeś więc w górę i ściągnąłeś ją z siebie jedną ręką. Przypadkowo złapałeś ją za gardło i złamałeś tam jedną małą kosteczkę. I dziwka kipnęła, stary”. Pieprzony dupek siedział parę sekund nieruchomo i w końcu powiedział: „Tak, tak właśnie było”. Nieudane, bolesne ruchanko.

Wymawiając słowo „kurwa”, Malloy pomijał „r”.

Dwóch detektywów – jednym z nich była siwowłosa kobieta – weszło do biura przez rozhuśtaną bramkę. Kobieta wzięła komplet kluczy i wpisała się na listę. Przechodząc obok biurka, spojrzała przeciągle na Malloya, ten jednak ją zignorował.

– Wiesz – powiedział (był bardzo blisko mnie) – nikt normalny nie przyznaje się, że kogoś zabił.

Trzymając palec między fotografiami twarzy dwóch braci Epstein, Warrena i Wendella, utkwiałam wzrok w Malloyu. Nie odwrócił się, nie odezwał ani nie poruszył krzesłem na porzewiających kółkach. Miałam wrażenie, że zachęca mnie, żebym patrzyła na niego zamiast na twarze zagubionych i niebezpiecznych duszyczek w aktach zbrodni seksualnych i żebym powiedziała mu, co widzę.

Halloran i chłopak przeszli przez salę. Wielki detektyw otaczał ramieniem chłopca, gdy przechodzili przez rozhuśtaną bramkę.

– Tu jest zbyt, cholera, ruchliwie – stwierdził nagle Malloy.

Podszedł do nas Rodriguez.

– Przestań narzekać. Wszyscy wychodzą. Nawet ja, stary. Będę w Dwa-Cztery. – Zabrał marynarkę z oparcia krzesła. – Może spotkamy się później – rzucił Malloyowi, patrzył jednak na mnie.

– Może – odparł Malloy. Podniósł z biurka ciężkie akta, trzymając palec w miejscu, w którym skończyłam i powiedział do mnie: – Chodź ze mną.

Rodriguez roześmiał się i wyszedł z biura.

Ruszyłam za Malloyem do pokoju z tabliczką „Kapitan Corelli”. Malloy zamknął drzwi kopnięciem i położył akta na biurku.

Przekluczył zamek w drzwiach.

Stałam plecami do biurka, obserwując go, niepewna, co myśleć.

Odpiął parę kajdanek, które wisiały mu z tyłu paska i przesunął je hałaśliwie po biurku.

Popatrzyłam na nie. Nagle poczułam się podniecona, a równocześnie zmartwiona, że te kajdanki nie są przeznaczone dla mnie i że mój detektyw zdjął je z paska jedynie dla wygody. Tak pomyślałam... ja, która latami odmawiałam w Paryżu mężowi spełnienia życiowego marzenia – sfotografowania skorpiona w mojej pochwie.

– Jesteś aresztowana – rzucił Malloy.

– Co zrobiłam?

– Nie wiesz?

– Może to ja powinnam aresztować ciebie?

– Nie sędzę – odparł.

Odwrócił mnie, pchnął na biurko, podciągnął mi spódniczkę aż do talii, zsunął figi i wepchnął mi palec, palce; wszystkie jego palce były we mnie...

– Jesteś przyjemnie wilgotna – zauważył. Odciągnął moje ręce za plecy, trzymając w dłoni oba nadgarstki.

Usłyszałam trzaśnięcie odpinanej sprzączki u paska, która uderzyła w bok biurka, potem rozległ się dźwięk rozsuwanego zamka błyskawicznego. Kajdanki leżały na biurku tuż przy mojej twarzy.

W pokoju na zewnątrz zadzwonił telefon.

Jedną ręką Malloy napierał na moje plecy, w drugą ujął swojego penisa i przesuwał nim w górę i w dół między moimi pośladkami, zwilżając mnie. Pocierał penisa ręką, zwilżając go również. A potem zaczął mnie otwierać, najpierw palcem, potem dwoma, przygotowując mnie, drażniąc cierpliwie, ze znanstwem, aż poczułam, jak ścianki mojego odbytu rozsuwają się i otwiera się wejście.

– W porządku – powiedział, wyczuwając, że mój opór osłabł. – Poddaj się.

– Co robisz? – szepnęłam, mimo iż świetnie wiedziałam. Udawałam jednak, że nie wiem, co zamierza ze mną zrobić. A Malloy otwierał to, co było zamknięte. Nacierał. Przygotował mnie i rozpieczętował. W końcu! Mnie, która nie chciałam należeć do żadnego mężczyzny. Nie chciałam, by mnie przygotowywano, a potem napierano, by otwierano to, co we mnie zamknięte. Nie chciałam, by ktoś złamał mi serce.

Teraz jednak nagle zapragnęłam tego wszystkiego. Chciałam, aby Malloy mnie otworzył. Odnalazłam w sobie starą tęsknotę, którą dotąd tłumiałam, zwalczałam, odsuwałam od siebie.

– Poddaj się – powtórzył i wszedł we mnie z nagłym basowym jękiem. Siła, z jaką to zrobił, i szybki ból sprawiły, że krzyknęłam o pomoc. Malloy trzymał mnie mocno przy swoich biodrach, poruszając powoli moim ciałem, potem zaczął przyspieszać, wsuwał się coraz głębiej. Zdjął na chwilę jedną rękę i wytarł pot, który spływał po moim kręgosłupie, później znowu schwycił moje biodra; przyciskał mnie do siebie z taką siłą, że aż bolało. Słyszałam jego oddech, coraz głębszy, coraz bardziej chrapliwy. Malloy zbliżał się powoli do orgazmu, nie dbając ani o mnie, ani o mężczyzn w głównej sali.

Wycofał się ze mnie ostrożnie i odwrócił moje ciało. Nagle strasznie się zawstydziałam, bałam się, że poczuję przykry, zapach odbytu albo że na czubku jego członka pojawi się kał. Po prostu nie mogłam spojrzeć na penisa Malloya, ale nadal trzymał go w ręku, chcąc, żebym patrzyła. Odważyłam się i natychmiast zdałam sobie sprawę, że nie było się czego bać.

Odchyliłam się w tył, przycisnęłam pośladki do biurka, sięgnęłam ręką w dół i odnalazłam łechtaczkę. Była spuchnięta i śliska. Dotykałam jej, podczas gdy Malloy mnie obserwował, ani na chwilę nie odwracając ode mnie zinnobłąkitnych oczu. Przemawiał do

mnie niskim głosem, pytał mnie... a właściwie nie pytał, ale mówił mi, że mi się to podobało, że podobało mi się to, co mi zrobił, a ja odpowiedziałam, że tak, że mi się podobało. Aż wreszcie doszłam, płyn wytrysnął na jego otwartą dłoń, którą wsunął między moje nogi; mój detektyw pochylił się, aby z bliska przyjrzeć się mojej waginie.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że leżący na biurku kapitana Corelliego zeszyt jest poplamiony.

Spojrzałam na Malloya.

– Zostaw – powiedział. – Nasz kapitan uważa się za detektywa. Zobaczymy, czy się domyśli.

Okazało się, że błędnie zrozumiałam wyrażenie „mineta na stójkę”. Pierwotnie sądziłam, że w tej pozycji mężczyzna cały czas stoi podczas stosunku albo wstaje w ostatniej jego fazie. W rzeczywistości jest to żartobliwe określenie stosunku oralnego, w którym partnerkę dzieli od partnera ogromna różnica wzrostu.

broccoli – [rzeczownik w l. mn.] włosy łonowe;

everything is everything – [frazeologizm] wszystko jest super;

down for mine – [frazeologizm] umieć o sobie zadbać („będzie dobrze; ja -”);

hamster – [rzeczownik] Murzyn (słowo z Bronksu);

to get some pink – [frazeologizm] odbyć stosunek seksualny;

smoke insulation – [frazeologizm] wachać narkotyki;

around the way – [zwrot] w okolicy („Tony i ja będziemy dziś wieczorem -);

Habitrail – [rzeczownik] okręg policyjny;

Plyllies – [rzeczownik] bibułka do zwijania papierosów z marihuany;

Two – [rzeczownik] Murzyn (terminologia stosowana w raportach policyjnych; *One* – to biały, *Three* – Latynos);

bloodclot – [rzeczownik] w slangu Jamajczyków najbardziej obelżywe wyzwisko;

D.T.'s – [rzeczownik w l. mn.] detektywi;

to flake – [czasownik] znaleźć dowód; zwykle broń;

gangsters – [rzeczownik w l. mn.] kobiece piersi;

English – [rzeczownik] angielskie piwo słodowe; także O.E. (*Olde English*);

wings and things – [frazeologizm] kurczak z warzywami; zwykle chińskie danie na wynos;

Mickey D's – [ręczownik] bar McDonald's;

cocobola – [ręczownik] pałka policyjna (od rodzaju drewna, z którego kiedyś je wykonywano).

Wszystko działo się tak szybko, że nie nadążałam na bieżąco analizować zdarzeń. Taka sytuacja zawsze wywołuje u mnie pewną nerwowość. Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że coś podobnego przydarzyło mi się już wcześniej. Moje życie zazwyczaj bywało znacznie spokojniejsze niż podczas ostatnich sześciu tygodni. Uczę, poprawiam prace studentów, przygotowuję wykłady, piszę rozprawy naukowe. Pracuję nad książką o regionalnych odmianach slangu. Czasami spędzam weekend z Pauline w jej chacie w Easthampton. W trakcie przerwy wakacyjnej zwykle jeżdżę zobaczyć się z moim ojcem w Mexico City, chociaż miasto nie należy do moich ulubionych, a z ojcem nie łączą mnie szczególnie serdeczne więzi. Swego czasu, kiedy miałam trzynaście lat, zostawił mnie na pięć dni w Genewie. Później powiedział, że nawet na chwilę nie przyszło mu do głowy, że sobie nie poradzę. Ja jednak wiem, że po prostu o mnie zapomniał. Pauline mówi, że przegapiłam okazję do świetnej zabawy. Też coś! Jak ma się dobrze bawić trzynastoletnia samotna dziewczynka w Genewie w styczniu? Miałam zamówić sobie do pokoju setki bombonierek? Ulepić bałwana? Zapłacić kartą kredytową ojca za tuzin lnianych chusteczek do nosa z wyhaftowaną szarotką?

Ale, ale... tracę wątek (dobry zwrot: „wątek myślowy”). Muszę pomyśleć o morderstwie, nie o przodkach. Wiecie jednak, jak to jest: mój ojciec siedzi sobie w wielkim domu w Cuernavaca ze swoją towarzyszką, panią Grummacher, piją brandy z wodą sodową, a ja tkwię na ławce w ogrodzie kościoła pod wezwaniem świętego Łukasza i zastanawiam się, czy ktoś nie próbuje mnie zabić. Nie ma w tym żadnej metafory. Nikt nie chce zabić mojej duszy, chodzi o rzeczywiste morderstwo.

Kupiłam u Fratellego piwo i kanapkę z bakłazanem i poszłam do ogrodu kościelnego. Idąc na zachód od parku Waszyngtona, w kierunku Grove i Hudson, można dostrzec wyróżniający się wśród małych kamienic kościółek z bladoszarego kamienia. Kiedyś podczas powodzi rzeka doszła aż do sadu za kościołem (może stąd nazwa ulicy Hudson), później jednak Manhattan wyrównano do poziomu wzgórz (w języku Indian nazwa oznacza właśnie „wyspę wzgórz”), a pozostałą ziemią umocniono brzegi rzeki. Wierzyby w kościelnym ogrodzie pamiętają tamte czasy, pamiętają, jak błotniste wody rzeki przesuwwały się między jabłnkami. Po ogrodzie można spacerować, chociaż przewodniki turystyczne o tym milczą. To mała, przyjemna kryjówka, gdzie można się ukryć przed ludzkim wzrokiem.

Czasami spotykam w ogrodzie inne kobiety. Siedzą na ławkach albo na małym trawniku i pieczą się. Ten ogród to miejsce dla pań, które cieszy towarzystwo innych pań. Nie czują się tu skrępowane, nie boją się, że ktoś je zaskoczy podczas pocałunku, nie ma tu potajemnych spojrzeń i nikogo nie oburza obce towarzystwo. Zapewne istnieje ciche porozumienie wśród mieszkańców mojej dzielnicy, że do tego ogrodu mogą przyjść kobiece pary, które mają ochotę się trochę pościskać. Jednym słowem, kościół episkopalny udziela schronienia lesbijkom.

Och, stale odbiegam od tematu. Może dlatego, że się boję. Nie jest mi się łatwo do tego przyznać. Do tej pory odwaga była jedną z moich cech, w które nie wątpiłam. Wierzyłam w siebie. Namietność jako bohaterstwo. Zawsze miałam silny charakter i umiałam się świetnie przystosowywać do nowych sytuacji. Byłabym jednakże szalona, gdybym w obecnej chwili nie odczuwała strachu.

Tworzę sobie w głowie, gdzieś na krawędzi świadomości, listę mężczyzn i zdarzeń. I tak: Mój przyjaciel John Graham śledzi mnie. Mój student Cornelius Webb odkrył w sobie przywiązanie do mnie, które może być całkiem niewinne, ale z pewnością nie jest stosowne; często za mną chodzi. Jimmy Malloy – detektyw z wydziału zabójstw prowadzący śledztwo w sprawie uprowadzenia i zamordowania młodej kobiety, która na krótko przed śmiercią obciągnęła mu druta. Teraz obciążam mu ja... We frontowym holu budynku, w którym mieszkam, pod moją skrzynką na listy ktoś zostawił dla mnie gumową rękę. Ubrany na czarno mężczyzna w masce i rękawiczkach szedł za mną po ulicy West Broadway i usiłował... Co? Okraść mnie? Porwać? Sądzę, że próbował mnie skrzywdzić. Jestem tego prawie pewna. Gdyby chciał mnie okraść, zrobiłby to.

Tak. Mam taką listę. Z racji usposobienia ciągnie mnie do paradoksów myślowych, lecz ten zbieg okoliczności, wszystko, co mi się ostatnio przydarzyło, przytłacza nawet mnie. Zdarzyło się zbyt wiele. Zawsze jestem na wszystko przygotowana, wręcz cieszę mnie wszelkie niespodzianki i obce jest mi bezczynne oczekiwanie (przez jakiś czas, kiedy miałam szesnaście lat i mój ojciec pracował w ambasadzie na Tajwanie, byłam taoistką), obawiam się jednak, żeby nie popaść w masochizm. Seks jest dla mnie konfiguracją naprędce zaimprovizowanych mitów. A przy tym bardzo skutecznie ożywia zakazane bądź ukryte pragnienia. Póki nie spotkałam Jimmy'ego Malloya, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mam ich w sobie tak wiele. Ciągle kurczowo się trzymałam niedojrzałego przekonania, że niezależnie od wszystkiego człowiek powinien się wyrzec transformacji własnej duszy. Niezależnie od tego, jak jest skomplikowana lub przerażająca. Masochizm jest mi obcy. Jestem co do tego absolutnie pewna!

Kiedy Malloy odwiedził mnie ubiegłej nocy, powiedział mi, że prawdopodobnie umorzą śledztwo w sprawie morderstwa Angeli Sands. Nie mają świadków. Ani żadnych namacalnych dowodów. Jest tylko ciało. Właściwie, ledwie kilka części ciała Angeli. Departament policji nie zamierza nawet szukać wzdłuż autostrady West Side pozostałych części. Policja martwi się wyłącznie o media. Szefowie Malloya denerwują się zwłaszcza wtedy, gdy w okolicy dochodzi do kilku podobnych zabójstw lub gwałtów, ponieważ fakt ten – co rozumiałe – może zaalarmować opinię publiczną. Mój detektyw oświadczył, że departament policji przede wszystkim chce uniknąć kłopotów. Policjanci pracują nad daną sprawą, robią, co mogą, aż tu nagle ktoś znajduje w innej części autostrady kończyny innej kobiety, mężczyzny albo dziecka i trzeba się skupić na tej nowej zbrodni. Czasami więc poprzednią sprawę się zamyka. Pewnie ze czterdzieści procent spraw. Tylko w Szóstym Okręgu – moim okręgu – dochodzi do dziesięciu morderstw rocznie. Przypada prawie jedno na miesiąc. Malloy wyjaśnił, że nie umarzają nie rozwiązanych spraw jedynie wówczas, kiedy chodzi o kogoś sławnego. Albo ważnego. Jakiegoś słynnego trupa. W przeciwnym razie, sprawę się zamyka i policja zajmuje się następnym ciałem. „Sporą część mojej pracy – stwierdził Malloy – mogę nazwać patrolem nadgranicznym. Wiesz, co mam na myśli? Mam trzymać złych ludzi z dala od dobrych dzielnic. Odpędzam ich. Jestem tylko pastuchem”.

„Więc nikt już nie pracuje nad morderstwem tej dziewczyny?“, zapytałam dla pewności.

Mój detektyw odparł, że sprawa nadal jest otwarta, ale mieli od tamtej pory jeszcze dwa inne zabójstwa. Oczywiście może nastąpić przełom. „Wprawdzie ty niczego nie widziałaś... Wiesz, tak przy okazji, Rodriguez spotkał się z twoją przyjaciółką i, miałaś rację, rzeczywiście również niczego nie zauważyła. Cholera, z wami tak zawsze. Ale cóż, zawsze może się pojawić jakiś świadek tamtej zbrodni. Informator. Albo morderca znowu zabije i tym razem zostawi nam więcej śladów. Wtedy wrócimy do sprawy. Trzeba mieć otwarty umysł i kojarzyć stare fakty z nowymi. Bystry detektyw w każdej chwili może odkryć nowy trop”.

Spytałam Malloya, czy chce pójść ze mną na koncert Jamesa Browna – odpowiedział, że „może pójdzie”.

Mam wrażenie, że mój detektyw nie posiada życia prywatnego, a tylko sekretne życie, które zwykle zazębia się z jego pracą lub nawet stanowi jej część (dziewczyna w „Czerwonym Żółwiu”, kobieta-detektyw na posterunku, kelnerki w Bronksie imieniem Erin czy Kelly). Z tego, co zauważyłam, Malloy nie wychodzi na kolację z przyjaciółmi ani z zaprzyjaźnionymi kobietami, nie wyjeżdża też na weekendy. Nie bywa w kinie. Nie chodzi na

mecze baseballa. Nie jada w restauracjach, żywi się i popija w barach. Z innymi policjantami.

Podobnie jak Corneliusa, Malloya nagle strasznie zaczęła interesować kwestia mojego bezpieczeństwa. Wciąż powtarza, że nie jestem wystarczająco ostrożna. Że nie powinnam jeździć metrem. Że nie powinnam rozmawiać z nieznajomymi. Że trzeba zamykać drzwi na klucz. Że łatwo jest się dostać do mojego mieszkania.

No cóż. Nie sądzę, żeby podwójne zamki w drzwiach przedłużyły życie mnie lub komukolwiek innemu. Te dwie dziewczyny, które siedzą teraz naprzeciwko mnie na parkowej ławce, trzymając się za ręce, paląc i kłócąc się, na pewno nie myślą o tym, by barykadować drzwi swoich mieszkań. Albo drzwi ich wspólnego mieszkania.

Może powinnam sobie kupić psa. Owczarka niemieckiego. Mogłabym się też przeprowadzić do bezpieczniejszej dzielnicy. Znaleźć miłą współlokatorkę.

O nie, nie zamierzam dać się zastraszyć, postanowiłam jednak, że faktycznie będę ostrożniejsza, znacznie ostrożniejsza niż dotąd. Postaram się być czujna i bardziej skupiać się na otoczeniu. Słuchać. Nie zamierzam jednak zmieniać swojego stylu życia.

Jeśli bowiem całkowicie i wyłącznie pochłonie mnie lęk o samą siebie, będę musiała zrezygnować z wielu moich zajęć. Nie mogłabym się wówczas spotykać z Corneliusem, w każdym razie nie poza uniwersytetem. A chciałabym mu pomóc przy pisaniu pracy.

Nie mogłabym chodzić do kina z doktorem Grahamem.

I, co najważniejsze, nie mogłabym się spotykać z detektywem Malloyem. Musiałabym go zostawić jego dziewczynom, żonie, dzieciakom.

„Wiesz – zwierzył mi się, gdy otwierałam drzwi, wysiadając z jego samochodu – pamiętam chyba każde morderstwo, nad którym pracowałam. Śniłem o nich. Wszystkie tkwią w mojej głowie. I czasami coś mi w łepetynie zamigocze i ni stąd, ni zowąd rozwiązuję jakąś sprawę. Ze zbrodnią jest jak z babką. Czasem po prostu wiesz”.

„Co?”, spytałam.

„Wiesz, że wszystko gra”, odparł.

Dziś wieczorem, gdy byłam w kinie na wstrząsającym filmie dokumentalnym, Cornelius zostawił pod moją skrzynką na listy swoją pracę semestralną. Nie wiem, jak wszedł przez frontowe drzwi tak późno w nocy, gdyż są zwykle zamknięte od chwili, gdy listonosz dostarczy pocztę. O ile w ogóle ją dostarcza danego dnia.

Muszę przyznać, że poza kilkoma błędami stylistycznymi i gramatycznymi, historia jest całkiem dobra.

W roku 1978 pan John Wayne Gacy miał kłopoty, ponieważ policja wykopała martwe ciało pod jego piwnicą. Kiedy skończyli kopać, mieli dwadzieścia siedem trupów. Większość z nich znaleźli pod domem Johna. Kiedy zabrakło miejsca w piwnicy, John zakopywał ciała na podwórzu, a niektóre z nich wrzucał do rzeki.

To było czternaście lat temu. Od tej pory John siedział w „alei skazańców”, a w maju wykonano na nim wyrok śmierci przez wstrzyknięcie trucizny. Ceremonia trwała dwie godziny, ponieważ w pewnym momencie substancja chemiczna zakrzepła w rurce i nie chciała przejść przez igłę.

Ciekawe, czy w swoich ostatnich dniach John rozmyślał nad czasami, gdy zwykł nakładać swój wzorzysty strój klauna, mocować czerwony nos i bawić się z dziećmi. Dzieci go lubiły. Zawsze był dla nich miły, dawał im cukierki i już. Klauna nazywano Pogo i kiedy John siedział w „alei skazanych”, malował jego wizerunki, które później sprzedawał. W Chicago znajduje się wystawka obrazków z Pogo, a obok nich malowidło pustego stroju klauna na krześle.

John pracował kiedyś w College Sanders jako portier i mówił, że lubi wszystkich tych miłych ludzi, którzy wchodzili i wychodzili. Lubił też chyba jeść, ponieważ na swój ostatni przedśmiertny posiłek zamówił smażonego kurczaka i frytki. Traktował bliźnich jak braci. Czyż taki człowiek mógł być zły?

Policja twierdzi, że John od początku przyznawał się do popełnionych morderstw, ale nawet czarnuchy wiedzą, jak policjanci potrafią wymuszać zeznania. Wiem, że John mówił różne rzeczy. Czasem twierdził, że jest niewinny, innymi razy, że pierwszą osobę zabił w obronie własnej. W czasie, kiedy popełniono kilka zbrodni, podobno wcale nie było go w mieście. Aż do ostatniej chwili nie było pewności co do jego winy. Policja mówi, że John zabijał w okresie od 1972 do 1978. Sześć lat – trzydzieści trzy ofiary. Niektórych chłopców zgwałcono. A przecież John był wówczas człowiekiem bardzo zajęтым: pracował jako organizator przyjęć dla mieszkających w Chicago Polaków. Ludzie wspominają, że cieszył się naprawdę sporą popularnością.

Wydawał się miły i może dzięki temu udało mu się namówić trzydziestu trzech młodych mężczyzn, aby weszli wraz z nim do jego domu. Może nawet potrafił ich jakoś przekonać, żeby pozwolili mu zawiązać sobie na szyi sznur z żerdzią na końcu.

John nigdy nie przeproszał. Tuż przed śmiercią był nastawiony do wszystkich „gawędziarsko” (tego określenia użył strażnik). Chciał dyskutować o Chicago Cubs. Jadł pieczonego kurczaka. Udawał, że jest klaunem Pogo.

Takie są fakty.

A oto opowieść.

To prawda, że jako młodego chłopca fascynowało mnie to, co nazywa się szczątkami zwierzęcymi. Na ścieżce przy rzece znajdowałem martwe ptaki, które przynosiłem do domu i trzymałem w szafie w pudełkach po butach. Robiłem dla nich trumny albo poruszałem ich sztywnymi, czerwonymi nogami, jak gdyby tańczyły. Jednak ojciec wyczuł ich zapach w moim pokoju i wyrzucił je wszystkie w ognisko na podwórzu, gdzie palił opadłe liście.

Kiedyś przy torach kolejowych znalazłem wiewiórkę. Chociaż szczerze mówiąc – a zamierzam być w tym dzienniku szczerzy – nie znalazłem jej, lecz zastawiłem na nią pułapkę i złapałem. Potem zabrałem ją do piwnicy.

Sądzę, że była samiczką, chociaż trudno powiedzieć. Aby sprawdzić, użyłem patyczków po lodach, ale i tak nie byłem pewny. Łatwiej stwierdzić płęć u dużych zwierząt. Wolałem samca. Nie wiem dlaczego, ale wolałem.

Tego lata, gdy skończyłem dziesięć lat, wysłano mnie na obóz, ponieważ mój ojciec powiedział, że powinienem dużo przebywać na dworze i bawić się. Na obozie chodziliśmy na długie wędrówki i wiosłowaliśmy po jeziorze na płaskodennych łódkach. Było tam tak gorąco, że bolały mnie oczy. Nie mogłem spać w nocy. Wokół było strasznie wilgotno i pełno było komarów. Ale bywało też zabawnie. Naprawdę! Wszyscy chłopcy robili sobie dowcipy. Wkładaliśmy sobie nawzajem ślimaki albo żaby do łóżek i robiliśmy jeszcze gorsze rzeczy. Na przykład jednego śpiącego chłopca przywiązaliśmy do łóżka, a potem na niego nasikaliliśmy. Te rzeczy przydarzały się także mnie, nie byłem tylko sprawcą, ale i ofiarą. Nie byłem jedynym złym chłopakiem. Chcę, żebyście to wiedzieli.

Rano, po śniadaniu, wychowawca pytał, którego z nas boli brzuch albo ma zły dzień. To wypytywanie zawsze uważałem za głupie, ponieważ najchętniej każdy dzień spędzałbym w izolatce.

Czasami, podczas moich wielu beczynnych godzin, zastanawiam się, czy to nie na wędrownym obozie imienia Lewisa i Clarka odkryłem w sobie miłość do klaunów. Chyba właśnie tam pod koniec mojego trzeciego lata spędzanego na obozie zacząłem odgrywać rolę klauna Pogo w „obozowej rewii” (tak ją nazywano).

Żałuję, że dopiero wtedy odkryłem coś, co mogło odmienić moje życie. Na początku nie wiedziałem, jak się robi makijaż i przebiera za klauna, ale mam nadzieję, że nie pomyślicie, że się chwale, jeśli powiem, iż przez te wszystkie lata doszedłem do

prawdziwej perfekcji. Naprawdę żałuję, że nie zostałem zawodowym klaunem. W późniejszych latach, kiedy byłem kierownikiem zmiany w restauracji „Kentucky Fried Chicken” w Ducerne, jedna z moich stałych klientek, pani Halle, przyniosła mi czasopismo z adresem, pod którym można było zamawiać profesjonalne przebrania. Zamówiłem strój klauna i wzbogaciłem swój występ.

Ale, ale. Za bardzo się oddaliłem od mojej opowieści. Już na obozie imienia Lewisa i Clarka rozśmieszałem inne dzieci. Moim asystentem był Jeremy Boyd, bardzo miły chłopak. Potrafił wykonywać pewne sztuczki, których ja nie umiałem, takie jak koziołki w tył albo młynki. Wybierałem go na swojego asystenta każdego lata, mimo iż inni chłopcy też chcieli mi pomagać. Co roku stawaliśmy się coraz lepsi. I... nieprawda, wcale nie próbowałem go skaleczyć. Nawet on wam to przyzna. Zresztą, teraz gdy jesteśmy dorosłymi mężczyznami, nie warto wspominać tych starych czasów.

Przez resztę roku i później, kiedy dorosłem, zwykłem przedstawiać mój klaunowski program w Łoży Masońskiej oraz na deptakach i w innych miejscach, gdzie podczas świąt przemawiał burmistrz albo gubernator. Przynajmniej pięć czy sześć razy dałem występ w dziecięcym szpitalu imienia Shrinera, gdzie wraz z Kardynałem i Rossalyn Carter zabawiałem cierpiące na raka dzieci. To było bardzo satysfakcjonujące przeżycie. W całym moim życiu najbardziej czułem się wzruszony właśnie wtedy, gdy widziałem, jak te chore dzieci uśmiechają się przez ból i łzy. Małeństwa wydawały się naprawdę szczęśliwe.

Tu, na Rock Island poznałem miłych przyjaciół i także im chciałbym pomóc i ich rozbawić.

Od czasów zabaw z wiewiórkami przeszedłem długą drogę. Chciałbym się ustosunkować do pewnych informacji rozpowszechnianych w mediach – twierdzenie, że w 1969 roku skłoniłem pewnego jedenastoletniego gazeciarza, by wszedł do mojej piwnicy (podobno kusząc go obietnicą pokazania mu mojej kolekcji wypchanych ptaków), było i jest kłamstwem. Być może prasa myli mnie z kimś innym. Wiem, że dziennikarze muszą wymyślać sensacyjki, aby ich gazety się sprzedawały. Wszyscy o tym wiemy. Kiedy więc napisano, że zaprosiłem do piwnicy młodego osobnika nazwiskiem Frances Frascotti, niektórzy ludzie w to uwierzyli. Wielu zaczęło na mnie patrzeć w inny niż dotychczas sposób. Skoro uważali, że jestem niebezpieczny, dlaczego nie przyszło im do głowy, że miałem setki okazji popełnienia przestępstwa? Przecież do mojej restauracji przez cały dzień przychodzi mnóstwo dzieci. Podobnie w

szpitalu. Gdybym był taką osobą, za jaką mnie uważali, czyż nie miałbym lepszej sposobności, aby robić te rzeczy, o które mnie oskarżają? Wszystko, co mówię, stanowi dowód na to, że się mylą.

Zresztą, nie potrzebuję przedstawiać żadnych dowodów mojej niewinności. W ogóle nie znałem tego chłopca. Nawet nie prenumeruję popołudniówki, którą roznosił. Czytuję tylko poranną gazetę. Sam chłopiec zeznał w sądzie, że „nie może mieć stuprocentowej pewności”, ponieważ gdy kończył swoją trasę, było ciemno – z powodu oszczędności nie paliły się latarnie. Późnym popołudniem robi się szaro, wszyscy o tym wiedzą. A matka chłopca wspomniała o „przypadku pomylenia tożsamości” i chciała, „żeby wszystko wróciło do normalności”. Byłem całkowicie niewinny. Nie skrzywdziłem żadnego z tych chłopców.

W podsumowaniu chciałbym wskazać inny przykład człowieka niewinnego i niesprawiedliwie skazanego. Opowieść o nim to mój obywatelski obowiązek. Mężczyzna, z którym się zaprzyjaźniłem, nazywa się Angel Vasquez. Nie może pisać listów ani wysyłać grypsów do swojego adwokata, ponieważ zranił sobie prawą rękę podczas walki na noże w więziennej pralni. Cieszę się bardzo, że spisuję jego korespondencję, ponieważ on także jest ofiarą Systemu. Angel dyktuje mi swoje listy, które potem przepisuję na czysto. Poprosił mnie o to, a ja chętnie to dla niego robię. Tutaj załączam brudnopis listu, który napisałem do jego konkubiny imieniem Jennifer. Załączam go, żeby wszyscy się dowiedzieli o Angelu i by o nim pamiętali. Z pewnością będzie mi za to wdzięczny.

Jennifer, co u ciebie? Wiem już, że posiedzę tu dość długo. Chciałbym być z tobą, żebyś ty była na górze. Wiem na pewno, że przyjdiesz mnie odwiedzić. Pisz codziennie. Jeśli mnie zdradzisz albo choćby usłyszę, że zrobiłaś coś przeciw mnie, spiorę ci tyłek na kwaśne jabłko. Jeśli jesteś w ciąży, zatrzymaj dziecko. Gdy urodzi się chłopak, nazwij go Angel Hassan Vasquez, a dziewczynę – John Vasquez. Przyślij mi pieniądze, jakąś setkę albo sto pięćdziesiąt. Co miesiąc oszczędź ze sto dolarów i nie ruszaj ich. Jennifer, wiesz, że cię ogromnie kocham, żyj, jakby nic się nie stało, nie myśl o mnie za dużo, ale nigdy o mnie nie zapomnij. Powiedz bratu, co u mnie, i reszcie moich przyjaciół. Jeśli urodzisz mojego dzieciaka, opowiadaj mu o mnie dobre rzeczy. Żadnych złych. Kocham cię, mała! Nie igrzaj ze mną. A jutro idź do kliniki i sprawdź czy jesteś w ciąży. I w ogóle się przebadaj. Spytaj gliniarzy, czy możesz mi odpisać.

Mała, kocham cię bardzo, bardzo mocno i napiszę do ciebie wkrótce. I zadzwonię. Żegnaj, ale nie na zawsze. Do zobaczenia potnij, mój sekrecie, moja mała, moja żono.

Angel

Kochasz mnie?

Opowiedziałem wam o sobie, żebyście zrozumieli, że nie mogłbym zranić żadnego z tych trzydziestu trzech młodych mężczyzn i nikogo nie zakopałem w piwnicy mojego domu. W ogóle nie było mnie w okolicy podczas tych domniemanych zbrodni. Ale nawet gdybym był, nie zrobiłbym czegoś takiego. Możecie zapytać wszystkich, którzy mnie znają, nawet moją byłą żonę, i każdy wam powie to samo – John jest niewinny, John to klaun Pogo.

Hm. Dwie sprawy.

Dałam Corneliusowi piątkę – jakież inny stopień mogłabym mu postawić?

A po drugie, chciałabym wiedzieć, kto naprawdę napisał ten list do Jennifer.

Ach, jeszcze trzecia kwestia. Czuję się już lepiej. Już mi się nie wydaje, że każdy mężczyzna z wąsem, ubrany w garnitur, to policyjny detektyw. Już nie sądzę, że nowy wiersz w metrze jest przeznaczony dla mnie. Tym razem jest to pieśń Indian Seneca. „Coś czai się w oddali, czyha za oknami”. Z pewnością mnie ona nie dotyczy.

Poszłam tego ranka do parku. Były tam setki ludzi, mimo wczesnej godziny. Na ławkach w cieniu siedziały stare kobiety, mężczyźni grali w szachy i w warcaby przy północno-zachodnim narożniku, pod Kacim Drzewem, na którym powieszono w 1843 roku młodą kobietę za zamordowanie pracodawcy.

Dzieciaki siedzące dokoła wyschniętej fontanny przyjechały zza naszych rzek – z Hoboken, Long Island City, Staten Island, Five Towns i Bronksu. Niektóre wyglądały na zaskoczone, większość była znudzona i zdenerwowana. Dziewczyny z college’u, studentki z Japonii i Szwecji, które przyjechały do Stanów Zjednoczonych w ramach wymiany. Słuchały nerwowych czarnych chłopaków z przewiazanymi wokół szyi koszulkami, którzy próbowali namówić panienki na dymka, nas coś mocniejszego albo na zabawę.

Tak wygląda ten park latem. Coś w nim jest. Nie tylko zapach moczu i kurzu, wzniesianego przez biegające, szczekające i walczące ze sobą psy, ogłuszające krzyki graczy

w bongo lub wrzaski właścicieli psów ryczących na innych właścicieli psów. Nie chodzi nawet o to, że park jest zaniedbany, a metalowe zapory policyjne, ustawione po to, żeby nikt nie rzucał butelkami, są pogięte i połamane. Nie chodzi też o wydzielone miejsca na drzewa, wokół których pełno starych gazet i puszek. Może moje słowa zabrzmiały jak zarządzenie panny Burgess, ale bywalcy parku cierpią z powodu braku uprzejmości. Chociaż, to chyba nieodpowiednie słowo. Raczej jest tu wręcz za dużo uprzejmości. Samotna kobieta (a czasem nawet i mężczyzna) nie usiedzi sama przez dwadzieścia sekund, żeby ktoś do niej nie podszedł i nie zaczął.

Gospodarz domu zgodził się w końcu załatać dziurę w mojej łazience, lecz – aby mnie ukarać – przyszedł z hydraulikiem o siódmej rano. Zadanie okazało się niełatwe i hydraulik oszacował, że praca zajmie mu cały ranek. Ponieważ mój gospodarz nie pozwala, by fachowcy pozostawali sami w mieszkaniach (na pewno obawia się, że ukradną jakieś na trwałe przytwierdzone części wyposażenia), on również spędził w mojej łazience cały ranek.

Poszłam więc do parku z bananem i kubkiem kawy. Wzięłam też ze sobą artykuł, który zauważyłam na biurku detektywa Malloya na posterunku i poprosiłam o pożyczenie. Tekst nosił tytuł: „Morderstwa na tle seksualnym”, a napisali go dwaj przedstawiciele Wydziału Psychologicznego Akademii FBI w Quantico w stanie Virginia. Na marginesie artykułu zauważyłam notatki Malloya (wyjście pocisku: gładki, owalny wylot jak od wadcuttera, pusty punkt, który tworzy nieregularny wlot; rana wlotowa – jak gdyby kula weszła po rykoszecie; słaba rana; poza pasmem drobin prochu; 15”-24”).

Lubiłam czytać jego notatki. Pauline twierdzi, że zakochała się w Leonardo Reynoldsie podczas próby kostiumowej *Czekając na Godota*, którą Reynolds reżyserował na Broadwayu. Sądzę, że Reynolds po prostu wiedział, jak przyciągnąć uwagę kobiet. Zrozumiałam, że jestem skazana na poślubienie Santosa Thorstina, kiedy obserwowałam go, jak wygrywa mecz tenisowy (6-3,4-6, 7-5) tego lata, gdy miałam osiemnaście lat. Nawet mi się nie podobał. Tak czy owak, teraz interesowały mnie notatki detektywa Malloya.

W artykule o maniakach seksualnych Malloy podkreślił wiele akapitów grubym pisakiem.

„Często morderca zabiera «pamiątkę» należącą do ofiary – zwykle jest to jakiś należący do niej przedmiot lub część ubrania, choć od czasu do czasu może to być coś bardziej osobistego, co przypomina ich «spotkanie»: palec, kosmyk włosów lub część ciała związana ze stosunkiem seksualnym. Zdarzają się też wśród sprawców tacy, którzy popełniają akt antropofagii”.

Ciekawe, jak ludzie z FBI rozumieją tu słowo „spotkanie”. A wyraz „antropofagii”

podkreślony został dwukrotnie.

Detektyw Malloy wciąż mi nie powiedział, jaką pamiątkę wziął sobie zabójca od Angeli Sands, chociaż zapytałam o to wprost.

Zaczęłam czytać zeznanie, które złożył niejaki James Clayton Lawson 3 września 1975 przed sądem w Południowej Karolinie: „Potem podciąłem jej gardło, żeby nie mogła krzyczeć... Zamierzałem pociąć jej ciało, żeby nie wyglądała jak osoba, i zniszczyć ją, aby przestała istnieć. Zaczęłem ciąć jej ciało. Pamiętam, jak odciąłem jej piersi. Potem... Wszystko, co pamiętam to fakt, że nadal ciąłem jej ciało. Nie zgwałciłem tej dziewczyny. Chciałem ją tylko unicestwić”.

Właśnie rozmyślałam (między innymi) nad interesującym zastosowaniem słówka „nadal” w zdaniu „nadal ciąłem jej ciało”, kiedy nagle ktoś polizał mi nogę.

Podskoczyłam, przewracając kawę.

– Ciesz się z twojego widoku, to wszystko – wyjaśnił Johri pocierając psa po nosie.

Usiadłam, ukrywając pod pośladkami artykuł, ponieważ nie chciałam, żeby mój przyjaciel go zobaczył.

– Co czytasz? – spytał. – Wyglądasz na niezwykle zaabsorbowaną. A to wiele oznacza w twoim przypadku.

– Och, to tylko wnioski pewnych badań. Na temat dialektu Afroamerykanów w Południowej Karolinie.

– To znaczy, że jesteś naprawdę zajęta – stwierdził, siadając obok mnie na ławce. Skip czujnie mnie obserwował; język zwisał mu z pyska.

– Niezbyt – odparłam. – Rok szkolny już się skończył.

– Często nie ma cię w nocy w domu. Zaglądam w okna twojego mieszkania, gdy jestem w parku. Podczas naszych nocnych spacerów.

– Chodzisz teraz na nocne spacery?

John, który pochodził z Midwest, wymawiał samogłoski w sposób regionalny, który kiedyś bardzo mnie zainteresował. Mleko wymawiał jako „mliko”, spacer jako „spaciry”.

– Mam ostatnio do przemyślenia sporo problemów emocjonalnych – wyjaśnił.

Jednym ze sposobów, w jakie John Graham radzi sobie z emocjami, jest niekontrolowane przenoszenie swego – z pewnością usprawiedliwionego – gniewu na innych ludzi. Kiedyś od niechcenia wspomniał, że niedawno natknął się na przyjęciu w Amagansett na Jamiego Saintsforda, mojego dawnego faceta. Johna strasznie wytrąciło z równowagi to spotkanie.

Ja, powoli, jak gdybym tańcząc z nim, przyswajała sobie kroki menueta, spytałam, co

dokładnie go wytrąciło z równowagi.

A on odpowiedział, że absolutnie nie chce o tym mówić. Dodał, że w ogóle nie powinien być o tym wspominać.

Minęło kilka minut. Do naszego stolika podszedł kelner. Złożyliśmy zamówienie. John, który bardzo się troszczy o swoje zdrowie, przedyskutował z kelnerem zasady przygotowywania posiłków przez szefa tutejszej kuchni. Skończyłam drugie martini, wlewając płyn w gardło, jakbym spełniała ślubny toast we Władystoku.

I wreszcie, ni stąd ni zowąd, John oznajmił, że zdenerwował się tym, co tamten facet powiedział na mój temat.

„Na mój temat?“, spytałam zdziwiona, zastanawiając się, co jeszcze zaskakującego mógł powiedzieć o mnie Jamie Saintsford, który kiedyś oświadczył dziekanowi wydziału filologii klasycznej na Uniwersytecie Nowojorskim, że gdy się kocham, wydaję z siebie kocie pomruki.

John Graham niechętnie wyznał mi, że zdaniem Jamiego nie napisałam niczego wartościowego od czasów artykułu na temat cech charakterystycznych wymowy i słownictwa dziewczyn z Valley.

Broniłam się, ale martwi mnie własne podejrzenie, że być może Jamie Saintsford ma rację.

Potem, pewnego wieczoru, siedzieliśmy przy barze w Hermosita, a John flirtował z barmanką; wypróbowaliśmy wtedy piętnaście gatunków tequili (pamiętam, jak barmanka oświadczyła koło północy, że ten gatunek jest znacznie gęstszy). Nagle John powiedział do mnie; „Spotkałem tego faceta, który uczy wraz z tobą dzieciaki, tego pana Reilly, na parkingu, i zaniepokoiła mnie rozmowa z nim. Twierdził, że ma kilka dobrych pomysłów w związku z nauczaniem studentów college’u, które znacznie się różnią od twoich metod. Mówił, że nie jest pewny, czy jako nauczycielka nie popełniasz poważnych błędów. Strasznie chciał gdzieś pójść i pomówić ze mną o tobie”.

Spytałam Johna, czy nie byłoby lepiej, żeby od razu dał mi w pysk. Będzie to miał za sobą.

„Co takiego?!“, zapytał. Moje stwierdzenie szczerze go zaszokowało.

Odparłam, że nie jestem pewna, czy nadal możemy się przyjaźnić.

Oczywiście, opowiadałam całą historię w dużym uproszczeniu, ale prawda jest taka, że udowodniłam swój punkt widzenia dość szybko i dzięki temu nie musiałam towarzyszyć Johnowi i tej barmance w wyprawie do nowego klubu na West Street, który otwierają dopiero o szóstej rano.

Jakaś siedząca na ławce naprzeciwko nas (w parku) kobieta dała mężczyźnie, który wyglądał na głodnego, kanapkę, a ten obejrzał ją dokładnie i oddał jej.

– Rozmawiałem wczoraj o tym z moim lekarzem – stwierdził John. – To znaczy... rozmawiałem o tobie. Naprawdę. No, właściwie mówiliśmy o wszystkich kobietach... O kobietach w sensie ogólnym.

– Och, zdecyduj się.

– O tobie. Rozmawialiśmy o tobie.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz złamać zasady wzajemnego zaufania i nie opowiesz mi, o czym mówiliście.

Popatrzył na mnie zmieszany.

– To lekarz nie może nikomu powiedzieć. Ja mogę.

– Nie, nie możesz – mruknęłam.

Zmarszczył brwi.

– Zadzwoń do Pauline. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Chciałem ci o tym powiedzieć. Sprawdzić, czy mnie nie zabijesz.

Zastanawiałam się, czy John dotarł już w rozmowach ze swoim lekarzem do etapu „projekcji”.

– Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu?

– Ponieważ cię nie zapytałem.

– Pauline mówiła mi, że dzwoniłeś.

– No i?

– No i nic. Mówiła tylko, że dzwoniłeś.

– Sądysz, że to dobry pomysł? Znasz ją lepiej niż ja. Chociaż właściwie – zauważył z wahaniem – ciebie też w zasadzie nie znam zbyt dobrze. Wiem, że dorastałaś w czternastu krajach, że wyszłaś za mąż za słynnego fotografika, że twoja matka piła... – Spojrzał na mnie, sprawdzając, czy jego słowa mnie nie zdenerwowały. Obserwowałam akurat młodego mężczyznę, który kradł rower. – Nie masz rodzeństwa, poznałaś swego męża w Paryżu, kiedy studiowałaś na Sorbonie. Robił zdjęcia tego starego Francuza, który był twoim psychoanalitykiem. Może był komunistą? Nie pamiętam dokładnie, co mówiłaś mi na ten temat. – Znowu na mnie popatrzył. – Jak dotąd dobrze? – spytał.

– Niezbyt. – „Rodzeństwo” nie wydało mi się odpowiednim słowem.

Czasami sędzę, że wszystkie informacje Johna pochodzą z plotkarskich stron gazet i programów telewizyjnych. Podobnie jak Rodriguez, John uważa najwyraźniej, że wspomnienie może stanowić niezbity dowód.

– Miewasz ostatnio zabawne wybuchy paniki – stwierdził. – Są to jakieś ataki lękowe, przynajmniej moim zdaniem... i wyglądają dość poważnie.

Zrobiło mi się go żal. Fakt, że mój przyjaciel postrzega siebie jako cenny i wyjątkowy organizm (którym oczywiście jest), fascynujący i wart nieprzerwanych studiów, nie oznacza jednak, że on, John Graham nie cierpi.

– Co się dzieje? – Pamiętam, że ostatniej wiosny stracił słuch na osiemnaście godzin.

– Niepokój – odparł. – Nie wiem, gdzie jestem. Mój umysł szaleje. Czuję, że gdybym zaczął biec, nigdy bym się nie zatrzymał.

– Przykro mi – szepnęłam. John wyciągnął dłoń, którą serdecznie uścisnęłam.

– Sądzę, że te problemy mogą mieć coś wspólnego z czymś, co słyszałem w dzieciństwie. To znaczy... czasami mi się wydaje, że to słyszałem. Nie, naprawdę... wiem... wiem na pewno, że coś słyszałem.

Nic nie powiedziałam.

– Nigdy ci się coś takiego nie przydarzyło? – spytał. – Nie miewałaś takich przywidzeń. Nie wydawało ci się, że coś widzisz albo słyszysz? Nie masz żadnych niesamowitych wspomnień z dzieciństwa?

Pies pochylił się i polizał mi buty.

– Moje dzieciństwo było jak sen – wyjaśniłam. – Nie jestem pewna, czy można do niego przywiązywać jakieś znaczenie. Nie wiem, jak jest w twoim przypadku, ale sądzą, że przykładasz zbyt wielką wagę do pamięci.

– Ty nie?

– Nie. W pewnym sensie czuję ulgę, że nie muszę wszystkiego pamiętać.

Milczał.

– Hm, żałuję, że nie mam takich zabawnych ataków – stwierdził drażliwie. – Głowa... mój umysł chyba eksploduje. Myślę o wypróbowaniu pewnego lekarstwa.

– Tak – przyznałam. – Może rzeczywiście powinieneś spróbować. – John zaczął pocierać swoje ukochane uszy, a wówczas dodałam: – Masz powody do zdenerwowania. Posiedzenie rady medycznej w przyszłym miesiącu. Niezbyt duże pieniądze. Zaczęłeś praktykować później niż większość osób. Chory ojciec. Nadal choruje?

John pokiwał głową.

– Dzięki naszej rozmowie czuję się znacznie lepiej – stwierdził nagle.

– Kiedy się spotkasz z Pauline?

– Och, ona mnie wykończy. Nie wiesz? Jest jeszcze gorsza niż ty.

– Spotykam się z nią w piątkowy wieczór – powiedziałam. – Mam nadzieję, że nie

wykończymy się nawzajem. – Zabawne, przecież przed kilkunastoma minutami czytałam o antropofagii.

– Och – zauważył, wstając – widzę, że Skip niczym Chrystus obmył ci stopy. Wino i ryby.

Wiedziałałam, że lepiej nie pytać, co John miał na myśli. To nie była nawet mieszana metafora. Raczej pomieszanie przypowieści.

– Frannie, czy kiedykolwiek ci mówiłem, że matka zakładała mi dziewczęce bluzeczki aż do siódmego roku życia?

Skip zaczął nagle podskakiwać, sugerując, że chciałby już pójść, jednak ton głosu Johna osadził go w miejscu.

– Mówiłeś – powiedziałam. Skłamałam.

– Może dlatego tak mnie fascynuje Pauline. Fascynuje mnie jej sposób ubierania się. Którejś nocy miała na sobie sukienkę zrobioną w całości z małych metalowych kółeczek. Wyglądała jak w siatce. – Patrzył przez moment na Skipa i rozmyślał. – Często przechodzę obok twojego mieszkania. Czasami przed frontowymi drzwiami parkuje tamten samochód, więc nie dzwonię.

– Samochód? – Byłam zaskoczona.

– Co robisz dzisiaj wieczorem? – spytał.

– Oglądałam *Eugeniusza Oniegina*. – Zawsze się zastanawiam, czy „ogłądać” to właściwy czasownik w stosunku do opery. Chociaż określenie „słucham *Eugeniusza Oniegina*” również nie byłoby adekwatne. Zazwyczaj nie mówię Johnowi o swoich planach. Czasami jego indagacje mnie krępują. – To bardzo piękne przedstawienie, które miało swoją premierę ubiegłego lata w Glyndebourne. Jest pełne wstrząsających... wstrząsających jak na operę... gestów, które mają wyglądać na nieświadome. Na przykład po scenie z listem Tatiana wylewa sobie na głowę dzbanek wody. Sądzę, że przypadłoby ci do gustu.

– Tobie na pewno się spodoba. Mnie by się prawdopodobnie nie podobało. Mnie interesuje tylko moje własne zachowanie.

Skip, słysząc nowy ton w głosie Johna, ruszył do przodu, napinając smycz. Odeszli. John zatrzymał się w pewnej chwili, aby zawiązać sobie sznurowadła. Zostawił mnie sam na sam z maniakami seksualnymi i pustym kubkiem po kawie.

Malloy zadzwonił do mnie w środową noc. Jechał właśnie na miejsce zbrodni. Wyjaśnił mi, że zabito „dobrą” osobę – czyli zwykłego człowieka, a nie na przykład jakiegoś

handlarza narkotyków. Kiedy ktoś taki ginie, policjanci zamiast morderstwo używają terminu „eliminacja”.

– Chciałem cię tylko powiadomić, że na kilka dni wyjeżdżam z miasta. Nie będę uchwytany pod telefonem. Wracam w piątek na dyżur o szesnastej.

– Dokąd jedziesz? – spytałam, krzywiąc się, ponieważ uświadomiłam sobie, że tym pytaniem łamię wszystkie swoje zasady. Przyłożyłam rękę do czoła i poczułam na twarzy chłód wisiorów bransoletki.

– Na wybrzeże. Będzie miło. Potrzebuję odpoczynku. Pozwól mi spędzić trochę czasu z dziećmi. Gliniarze rzadko widują swoje dzieci.

– Ile mają lat?

– Dwadzieścia i osiemnaście.

– Dwadzieścia i osiemnaście? – powtórzyłam ze zdziwieniem.

Usłyszałam dziwny ton w jego głosie, jak gdyby chciał mnie szybko zbyć, zanim coś zrozumiem.

– Twoja żona też jedzie?

– Tak – odparł szybko. – Moja była żona.

– Nie – powiedziałam. – Twoja żona.

– Daj spokój. Śpię na pieprzonej sofie.

– Możesz sobie spać na sofie – stwierdziłam – ale to jest twoja żona.

Zaległo długie milczenie. Malloy się nad czymś zastanawiał.

– Słuchaj – odezwał się w końcu prawie szeptem – nie mogę tu rozmawiać. Chyba rozumiesz? Jestem w biurze, wszędzie wokół są ludzie. Na Trzynastej popełniono zabójstwo, roi się od glin. Rozumiesz?

– Nie sądziłam, że wyglądam na osobę, której przeszkadzają twoi kumple.

– Co takiego?

– W końcu się tam z tobą pieprzyłam! Nie pamiętasz?

Zapadła kolejna chwila ciszy. W oddali słyszałam czyjeś głosy.

– Sądziłem, że cię stracę – odezwał się w końcu.

– Czemu nigdy nie mówisz mi prawdy?

– Słuchaj... – Przerwał. – Ludzie okłamują mnie przez cały dzień. I ja też ich non stop okłamuję. Postępuję tak przez całe moje życie.

Malloy zawsze wyprzedzał mnie o kilka kroków. Był już na Jowiszu, podczas gdy ja jeszcze spieszyłam Dziewiętnastą Ulicą. Potrafił być przekonujący. Kłamstwo jako atrybut kulturowy. Ryzyko zawodowe. Muszę przyznać, że kuszące. Nie przyszło mi wówczas do

głowy, że może Malloy kłamać, ponieważ lubi. Kłamać szefom. Kłamać, gdy zeznaje. Kłamać pod przysięgą. Chętni się tym i z pogardą mówi „dawać świadectwo kłamstwu”. Okłamuje kobiety, tak, zwłaszcza kobiety. Zaczął od swojej matki i trenuje na nas wszystkich. Na swojej żonie. Na kolekcji lalek. Teraz nie ma już ochoty mówić prawdy.

– Nie straciłeś mnie – powiedziałam cicho.

– Mam tego dosyć. Czuję się, jak gdybym wszystko rozpieprzył.

– Jak długo będziesz na wybrzeżu? – spytałam. Byłam zazdrosna!

– Planowałem ten wyjazd od roku. Nie mogę się z niego wyplątać. Gdybym mógł, olałbym go. Wynajęliśmy domek wraz z moim kuzynem... właściwie z jej kuzynem, ale nazywam go moim. Domek jest opłacony.

Milczałam, w głowie miałam mętlik.

– Chyba nie będę w stanie do ciebie zadzwonić.

– Pewnie nie.

– Wiesz, co mawiał sierżant Engelhardt o policjantach. Że są skazani. Że żony ich nienawidzą, a oni sami źle kończą. Połowa zostaje alkoholikami, druga – zwykłymi wariatami. Nie mają przyjaciół wśród ludzi spoza środowiska, zresztą nie cierpią wszystkich, którzy nie są gliniarzami. Policjantom wydaje się, że zamierzają usunąć z tego świata gówna, ale świat oddaje kopniaki i w końcu nas pokonuje. – Przerwał. – Wiesz, praca nie jest szczególnie ciężka. Są sprawy właściwe i sprawy niewłaściwe. To prosty podział. Żeby być gliną, trzeba być bystrym i to wystarcza.

Ogarnęła mnie nagła niechęć – Malloy po raz pierwszy rozczulił się nad sobą!

– Co robisz? Piszesz? – spytał.

– Tak. Stale coś piszę. W piątek spotykam się z Pauline. Po koncercie. – Trudno mi było rozmawiać ze zwykłym ożywieniem i radością. Miałam ochotę rzucić słuchawkę. Chciałam, żeby on także poczuł się źle. – Mówiłeś, że i tak nie możesz pójść na ten koncert – dodałam.

– No tak – odburknął.

– Idę z kimś, kogo spotkałam na przyjęciu – skłamałam.

– To fajnie – stwierdził. – Świetnie. Słuchaj, przykro mi, że tak to wyszło. – Skłamał.

– Tak. Mnie też.

Wokół niego zrobiło się bardzo głośno. Pomyślałam, że może Malloy naprawdę jest w pracy.

– Muszę lecieć – zakończył. – Wołają mnie. Zawsze wiedzą, kiedy rozmawiam z jakąś laską. – Roześmiał się w odpowiedzi na czyjeś słowa, których nie dosłyszałam. – Zadzwonię

do ciebie po powrocie.

Nie idę na koncert Jamesa Browna. Nie mam zwyczaju chodzić samotnie na takie imprezy. Mogę pójść sama do filharmonii, żeby posłuchać sonat Bacha na wiolonczelę, ale nie na koncert „ojca soulu”. Dałam bilety Corneliusowi. Zabiera swoją siostrę Jennifer, która dostała list od chłopaka z więzienia. Tak! I, jak się okazało, jest w ciąży. Obiecałam, że pomogę jej w miarę możliwości. Cornelius ucieszył się z biletów i z piątki za pracę semestralną. Spytał, czy mogę się z nim spotkać w weekend. Podobno chce mi coś pokazać.

Pauline była na drinku w „Carlyle’u” ze swoim nowym okulistą, doktorem Whytem. Uznałam ten pomysł za dziwaczny, ale moja przyjaciółka szybko mnie zapewniła, że w takim spotkaniu nie ma niczego nieetycznego. Odparłam, że wcale nie o to mi chodziło. Właściwie, nic mnie nie obchodzi, z kim kto się umawia. Pauline sądzi – oczywiście – że doktor Whyte jest żonaty. Poza tym kuleje. Powiedziała mi, że ich flirt zaczął się podczas jej ostatniej wizyty kontrolnej. Pauline siedziała na tym osobliwym krześle z głową uwięzioną w metalowej klamrze, która ma ułatwiać badanie albo... ułatwić zetknięcie się kolan lekarza i pacjentki (w ciemnościach).

Umówiłam się z moją przyjaciółką o jedenastej wieczorem w „Klubie Koteczek”. Nie rozmawiałam z nią od kilku dni, pewnie dlatego, że nie odbierałam telefonów. Nie oddalałam się w tym czasie zbyt daleko od mieszkania (praktycznie nie wychodziłam z kamienicy), jadłam muesli (czasami bez mleka), słuchałam opery (*Madame Butterfly*; dwa tysiące razy), czyściłam zęby, brałam kąpiel, zmieniałam brudną nocną koszulę na czystą i chyba ani razu się nie uczesałam... Pauline zostawiała mi wiadomości na sekretarce („Kłopot w tym... I to mnie martwi... Ten facet ma cię w głębokim poważaniu. Ty tego nie rozumiesz, a on nie ma pojęcia, że jesteś naprawdę seksowną dziewczyną w okularach”). Wreszcie umówiła się ze mną w „Koteczku”, gdzie najwyraźniej zamierzała mnie podnieść na duchu.

Ubrałam się i postanowiłam przejść się pieszo. Uznałam, że spacer mi się przyda. Trochę powietrza i ruchu. „Haust miasta”. Wyszczotkowałam włosy.

Gdybym tylko wiedziała...

Pauline nie było w „Klubie Koteczek”. Zamówiłam tequilę, którą ona lubi, i czekałam, chętna usłyszeć opowieść o jej randce z doktorem Whytem. Powiedziałami przez telefon, że nazwał jej wzrok „idealnym”, po czym dodał dość nieścisły komentarz, że miłość bynajmniej

nie jest ślepa. Stwierdziłam, że zapewne wygłosił to spostrzeżenie już setki razy. „Och, Boże, mam nadzieję, że tak”, odparła Pauline.

Na pół godziny przed północą założyłam okulary i zaczęłam oglądać mecz hokeja w telewizji. Zamówiłam cheeseburgera i poprosiłam Tabu, żeby spytała barmankę, czy Pauline przypadkiem nie telefonowała.

Sąsiedni stół zajmowało dwóch mężczyzn. Kiedy zauważyli, że jem samotnie, jeden z nich, facet z wąsem i tatuażem na ramieniu (krasnoludek w cylindrze), przysunął swoje krzesło do mojego.

– Co słychać? – spytał.

– W porządku – odparłam. – Dzięki. – Niezależnie od sytuacji, zawsze dama!

– Masz problemy?

– Mój przyjaciel, a raczej mój chłopak, twierdzi, że każdy Irlandczyk, którego kiedykolwiek aresztował, miał taki tatuaż.

Mężczyzna roześmiał się.

Wstałam od stolika, zostawiając cheeseburgera.

– A nie mówiłem? – powiedział mężczyzna do swego kolegi.

Wietnamski dzentelmen, do którego należy „Klub Koteczek” jest przypadkiem również właścicielem całego budynku. Wiedziałam, że za barem wiszą komplety kluczy do obu mieszkań na górze, ponieważ Pauline wielokrotnie musiała je pożyczać. Poprosiłam barmankę o klucze. Chciałam poczekać na przyjaciółkę na górze.

– Sama – powiedziałam z uśmiechem do barmanki.

– Jak sobie życzysz, kochana – odparła.

Nie zapamiętałam zbyt wiele z tego, co się wówczas zdarzyło. Nieliczne fakty. Jakieś mgliste obrazy. Wszystko było dziwnie irracjonalne i nedorzecznie niestosowne. Informacyjny strumień atakował moją głowę, jak gdyby moja własna nieświadomość bombardowała mnie słowami i frazami, niczym agent wroga, który przejął stację radiową. Zdanie: „Generał Ameglio, Egipcjanin, potrafi tańczyć polkę z obładowanym mułem na ramionach” ciągle huczy mi w głowie.

Pamiętam, że był tam detektyw Malloy. Nie na początku. Później. Nie wiem dokładnie, kiedy przyszedł, ale chyba szybko, sporo przed innymi.

To detektyw Rodriguez mi powiedział, że Malloy tam jest. Tak twierdził. Że Malloy od razu przyjechał. Obawiałam się, że towarzyszy mu żona.

Sądzę, że to Malloy mnie obmył. Zmył ze mnie krew. Wiem, że zawsze się pisze o

krwi. Tyle że... mało kto uświadamia sobie, jak wiele krwi jest w ludzkim ciele. Pamiętam również wymioty, na pewno tam były, ponieważ policja wzięła ich próbki i sprawdzała, do kogo należą.

Malloy powiedział, że na miejsce zbrodni przysłano bardzo doświadczonych detektywów. Jakiegoś jego przyjaciela nazwiskiem Sherman, który słynie z niezwykłych zdolności – umie na przykład pedantycznie określić, czy garść ryżu pobrana z żołądka ofiary to biały ryż amerykański, czy też ryż meksykański albo chiński. Tak przynajmniej twierdził Malloy.

Czasami, zupełnie niespodziewanie, kiedy przestaję na chwilę nad sobą panować i tysiące, a może nawet miliony małych synaps w mojej głowie uwija się w niekontrolowany sposób, przywołując to, czego świadomie nie potrafię znieść, wtedy naprawdę wszystko sobie przypominam.

Malloy tam był.

To on mnie obmył.

To były moje wymioty. Powiedziałabym mu o tym. Gdybym pamiętała.

To właśnie Malloy wziął jej głowę, to on podniósł ją ze zlewu, gdzie ją odłożyłam. Gdzie mogłam ją obserwować, gdzie była bezpieczna...

Malloy poprosił mnie, żebym dzisiaj ponownie przyszła na posterunek i obejrzała kolejne fotografie. Cekał na mnie. Siedzieliśmy przy stoliku w dużej sali. Policjanci i cywilni pracownicy departamentu, przeważnie kobiety w dżinsach i kurtkach, siedzieli przy komputerach albo pochylali się nad otwartymi szufladami z aktami i przy pomocy obu rąk szybko przeglądali kartoteki.

– Byłem w kostnicy – stwierdził, kiedy usiadł naprzeciwko mnie. – Dlatego nie mogłem po ciebie podjechać.

– Nie musisz po mnie podjeżdżać.

– Nie ma sprawy – odparł spokojnie.

– Dlaczego byłeś w kostnicy?

– Jestem policjantem.

– No tak. Zapomniałam. Sądziłam, że jesteś jednym z tych żonatych facetów, którzy uważają, że nie istnieje coś takiego, jak kiepska mineta.

– Wiesz – zauważył nie speszony – niektóre kobiety obciążają koszmarne. Nie trzymają rytmu. I mają zero wyczucia fiuta.

Odwrócił w palcach ćwierćdolarówkę, jak gdyby ćwiczył magiczną sztuczkę. Jak zawsze, tak i teraz przyciągnął moją uwagę tym gestem. Tak niewiele o nim wiedziałam i nie

czułam się z nim bezpieczna.

– Zero wycucia fiuta – powtórzyłam. – Dobra fraza. Tak, to musi być potworne.

Nagle poczułam zmęczenie. Nie miałam już ani sił, ani ochoty z nim walczyć.

– Po co byłeś u Pauline?

– Właśnie ci powiedziałem. Jestem policjantem. – Przerwał. – Wchodziłem na posterunek, kiedy zadzwonili.

– Kto zadzwonił?

– Dziewczyna z dołu. Barmanka.

Popatrzyłam znowu na swoje ręce i zmusiłam się do odwrócenia wzroku. Zamknęłam ciężką księgę z fotografiami, którą Malloy mi podsunął, i pchnęłam ją na środek biurka.

– Słuchaj – zaczął powoli – bardzo często jeżdżę na miejsca zbrodni, tyle że tym razem ofiarą padła twoja przyjaciółka. Te dzieciaki, ci młodzi mundurowi powiedzieli, że mamy kobiece ciało, którego głowę ktoś zamierzał wziąć sobie na pamiątkę. Zawsze spodziewam się najgorszego, nawet po tych wszystkich latach. Wyobraźnia dodatkowo pogarsza całą sprawę i potem, gdy rzeczywiście staję oko w oko z całą sprawą, mówię sobie, że nie jest tak źle, jak sądziłem... Nie widziałem ciała. Musiałem go poszukać. Zawsze, kiedy znajdę się w obcym pokoju, szukam ciała i nagle, bum! Jest! Ciągle się obawiam, że zobaczę coś, co mnie przyprawi o mdłości albo skłoni do ucieczki. Że to jedno ciało przepelni miarkę i powiem sobie: „O nie, dosyć”, po czym odejdę. Ale za każdym razem, gdy spoglądam na trupa, coś przejmuję nade mną kontrolę – zamiast czuć mdłości, w moim umyśle formułują się pytania: „W jaki sposób pocięto tę dziewczynę? Gdzie? Kim jest?” Albo ktoś jest dobrym policjantem, albo nie. Albo pada na kolana i wpatruje się w rany, albo odchodzi. Czasem mam krawat cały mokry od krwi, bo gdy się pochylam, zapominam go wsunąć pod koszulę.

Popatrzyłam na jego krawat, a Malloy przesunął po nim palcami, zaczynając od węzła. Nie było na nim ani kropli krwi.

– Powiesz mi? – spytałam.

– Co mam ci powiedzieć? – Mówił szeptem, jak gdyby wystraszył się mojego pytania i już wiedział, co na nie odpowie.

– Powiedz mi, co zrobiłeś.

– Dlaczego sądzisz, że wiedza coś zmienia?

– Wierzyłam w to przez całe swoje życie.

– No cóż, moim zdaniem się mylisz. Wiedza nic nie znaczy.

– Nie pieprz.

Malloy wziął głęboki oddech.

– Najpierw masz w głowie pustkę, ale z wolna zaczynasz myśleć logicznie. Zaczynasz zestawiać ze sobą fakty. To trwa jakiś czas. Patrzysz... oglądasz ciało centymetr po centymetrze. Przyglądasz się bliznom, tatuażom, ranom, paznokciom, uszom. Sprawdzasz, czy zdarto jej majtki, szukasz plam po spermie albo miesiączce. W tym momencie cały twój świat skupia się w jednym ciele.

– To jest jak seks.

– Nie. Z pewnością nie. – Malloy nie dał się sprowokować. – Zabijanie to sprawa bardzo indywidualna i jako takie jest zupełnym przeciwieństwem seksu. Morderca zmienia swój czyn w akt osobisty i jednostkowy. To nie narkotykowy dealer z Harlemu, który strzela komuś w głowę, ponieważ tak go wkurzył. To zabójstwo popełniono z premedytacją. Facet ją obserwował. Obserwował twoją przyjaciółkę. Szedł za nią. Znał rozkład jej zajęć. Może nawet z nią rozmawiał, może rozmawiał z wami obiema, jechał tą samą windą, spytał o kierunek w metrze. Może kupił Pauline drinka i powiedział barmance, żeby nie wskazywała fundatora. Twoja przyjaciółka przyjmuje tequile, po czym podnosi oczy i widzi sześciu różnych facetów przy barze. Wszyscy na nią patrzą.

– Nie o to pytałam.

– A o co?

– Chcę wiedzieć, co z nią zrobiłeś?

Popatrzył na mnie.

– Po co? – spytał w końcu.

– Nie wiem. Żebym mogła to sobie wyobrazić. Żebym mogła zasnąć.

Zaczął mówić, przerwał, potem podjął na nowo.

– Jej ciało rozczłonkowano – powiedział cicho. – Morderca przeciął szyję i piersi. Przeciął jej gardło, tętnicę szyjną, nagłośnię, język... Trzymał ją za włosy, ciął dokoła, poruszał głową w tył i w przód. Kiedy dotarł do kręgosłupa, musiał znaleźć drogę między kręgami. Potrzebował większego noża. Wziął większy nóż. Nie jest łatwo wbić nóż w kość. To naprawdę trudne. Ale udało mu się. – Malloy przerwał. – I powiem ci coś jeszcze. Podobało mu się to, co robił.

– Tak – powiedziałam. Nie wiem dlaczego, ale nie chciałam, żeby przestał.

– Wyjął kratkę w odpływie kabiny prysznicowej. Zabrał wszystko, co mogłoby nam pomóc. Niepokoi mnie to... że ten facet wiedział o takich sprawach.

Wręczył mi swoją chusteczkę. Wytarłam twarz i pomyślałam z ironią, że Malloy w każdej sytuacji potrafi się odpowiednio zachować. Doskonale wiedział, jak wygląda w moich oczach.

Patrząc na niego, czułam się jednocześnie strasznie zawstydzona i nieszczęśliwa. Wytrącił mnie z równowagi fakt, że Malloy mnie okłamał, mówiąc o swojej żonie, a następnie wyjechał z nią na kilka dni. Zdenerwowała mnie również odpowiedź z Uniwersytetu Yale, który nie zezwolił mi na wykorzystanie listów CK. Whitney. I że mój ojciec zapomniał o mnie w Genewie.

– Wiesz, jak blisko otarłaś się o śmierć? – spytał cicho.- Byłaś przy frontowych drzwiach, kiedy morderca uciekał przez okno. Przy wyjściu awaryjnym zostawił worek. Wodoodporny, żeglarski... Zostawił też odcisk, który nie pasuje do żadnych zwyczajnych butów ani tramppek. Facet jest naprawdę dobry. – Malloy westchnął. – Zabrałem worek do kostnicy. Wraz z koronerem wyjmowaliśmy z niego części jej ciała i układaliśmy w całość na stole do sekcji. Stwierdziliśmy, że rany na jej ciele są rozmieszczone dokładnie jak te na ciele Angeli Sands.

Znowu wytarłam twarz.

– Czy tego ode mnie chciałaś? Jesteś usatysfakcjonowana?

Skinęłam głową.

– Seryjny zabójca, czy chce czy nie, zostawia zwykle za sobą pewne charakterystyczne ślady – powiedział cicho. – Na przykład podcina szyję zawsze w tym samym miejscu. Sra na podłogę. Sika na ciało. Onanizuje się nad ciałem. Układa je w jakąś sugestywną pozę. Może nawet zrobić coś zabawnego. Tak czy owak, powtarza się. Potrafię dostrzec tę zbieżność. Potrafię to rozpoznać. Nie szukam sprzeczności, ale podobieństw.

– Jakie zbieżności można dostrzec na miejscu zbrodni? – podjął po chwili, przeczesując sobie ręką włosy. – Może morderca zasuwa zamek, może tnie od lewej do prawej, może atakuje od tyłu. Może najpierw dusi ofiarę. Może przed wyjściem robi sobie kanapkę. – Malloy odepchnął krzesło od biurka. – Całe mieszkanie było usmarowane od krwi – dodał. – Fakt ten oznacza, że nasz morderca bawi się ciałem.

Miałam wrażenie, że nie jestem w stanie oddychać.

– Gdybym szybciej poszła na górę – jęknęłam.

– Nie popełniłaś żadnego błędu. – Poczekał, aż zaczerpnę powietrza. – Już dobrze? Martwię się o ciebie. – Wstał i podszedł do mojego krzesła.

Nie chciałam, żeby mnie dotykał. I nie dotknął.

– Odwiozę cię do domu – stwierdził. – Potem wracam do jej mieszkania. Coś mnie męczy, ale jeszcze nie wiem co. Ta myśl doprowadza mnie do szału. Czasami można dojść do pewnych wniosków po prostu siedząc na miejscu zbrodni.

– Jak się dostaniesz do środka?

Popatrzył zaskoczony.

– Mam klucz.

– Klucz? Jej klucz?

– Chyba tak. Mam jakiś klucz.

Wstałam i ruszyłam do drzwi.

– Znalazłeś się tam tak szybko – zauważyłam. – Sądziłam, że jesteś z żoną na wybrzeżu. – Malloy trzymał na klamce rękę, którą teraz z rezygnacją opuścił. – Nie próbujesz mnie chyba zabić, co?

– Wynoś się stąd – warknął, po czym otworzył mi drzwi. Wyszłam.

Poszłam zagrać w „kółko i krzyżyk z kogutkiem” w chińskim salonie gier. Gry nie są chińskie, ale zabawiają się w nie głównie młodzi Chińczycy.

Idąc ulicą Centre, rozmyślałam o żalu. Większość ludzi twierdzi, że nie mają czego żałować. Nie wierzę. Osobiście uważam żal za coś ważnego. Lubię go. Albo raczej, lubię mój własny. Niestety, żal – zwłaszcza innych ludzi – zwykle sprowadza się do taniego sentymentalizmu, jak na przykład w zdaniu: „Żałuję, że byłem chory w ten weekend, gdy odbywał się festiwal w Woodstock”, a już szczyt cikliwości osiąga w zwrocie: *Je ne regrette rien*. A ja... Ja żałuję, że nigdy nie zabrałam Pauline do mojego salonu gier. Pauline byłaby szczególnie zadowolona, gdyby na zewnątrz pikietowali obrońcy praw zwierząt. Moja przyjaciółka mawiała, że ludzie w milczeniu siedzą w kinie i oglądają torturowane na śmierć dzieciaki, jednak w momencie, gdy pojawi się pancernik z cierniem w łapie, zewsząd rozlegają się głośnie szlochy.

Wiedziałam, że potrafię wygrać. Miałam już praktykę. Cornelius powiedział mi, że kogutki pochodzą z centrum badawczego w Arkansas nazywanego „IQ ZOO”, położonego niedaleko od miejsca, gdzie jako dziecko mieszkał aktualny prezydent USA. „IQ ZOO” uczy zwierzęta sztuczek. Kiedy spytałam Corneliusa, jakie właściwie sztuczki ma na myśli, odparł, że chodzi mu o pokazy z serii „Dziki Zachód”, podczas których króliki strzelają z maleńkich rewolwerów „i już”. To Cornelius po raz pierwszy zabrał mnie „na kogutki”. Wtedy zagrałam i przegrałam, ale po powrocie do domu wzięłam kartkę w kratkę, zaznaczyłam pierwszy ruch kogutka. Kogutki zawsze rozpoczynają grę i najczęściej „stawiają” swój krzyżyk w lewej górnej kratce. Jedyna szansa na zwycięstwo to umieścić swoje kółko w środkowym kwadracie i postarać się stworzyć „trójkę”. Cornelius uważa pierwszeństwo kogutka za niesprawiedliwe, twierdzi też, że kogutek jest lepszy, ponieważ przez cały czas nie robi nic innego – tylko gra. Nie przyznałam się mojemu studentowi, że przećwiczyłam na papierze wszystkie możliwe

sposoby pokonania kogutka.

Grając w „kółko i krzyżyk z kogutkiem” na ulicy Mott (wszędzie obok mnie azjatyckie – Cornelius zawsze używa tego słowa – dzieciaki walczyły w „Mortal Kombat”), poczułam się nieco lepiej. Nie szukałam odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie są wobec siebie nieludscy. Ten problem mnie nie interesował. Potrzebowałam jedynie pociechy.

Kiedy spytałam sprzedawcę żetonów, Armeńczyka, który nie lubił ani Azjatów, ani kogutków, dlaczego drugi automat z kogutkiem nie działa, sprzedawca odparł ironicznie, że kogutek zdechł. Mówiąc to, oglądał CNN w maleńkim telewizorze.

Zaczęło padać: nagle i w typowo nowojorski sposób. Deszcz dźwięczał bardzo głośno na aluminiowej markizie przed salonem. Pod markizą stanęły dwie kobiety z gazetami nad głowami. Jedna z tych kobiet odezwała się do mnie. Spojrzałam na nią i zauważyłam w gazecie fotografię Pauline w białej plisowanej sukience *à la* Marilyn Monroe; nad lewym okiem mojej przyjaciółki widniała kropla deszczu. Zdjęcie to dała prasie mieszkająca w Belfaście matka Pauline. Bardzo trafny wybór. Moja przyjaciółka zawsze mówiła dobrze o swojej matce. Kiedy Pauline była dziewczynką, matka szyła dla niej ubrania, kopiując wzory z fotografii gwiazd filmowych; Pauline trzymała te fotki w zeszycie z wycinkami.

Wyszłam na deszcz i poszłam do stacji metra na ulicy Chamber. Kobieta na peronie rzuciła jakieś opakowanie na ziemię. Zwróciłam jej uwagę, że nie wolno zaśmiecać miejsc publicznych i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że narażam się na kłopoty. Dwie towarzyszki kobiety spojrzały na mnie jak na wariatkę. Gdy kobieta oświadczyła mi, żebym się pieprzyła, byłam już na drugim końcu peronu. Myślałam o Malloyu. Wyobrażałam sobie, że czeka na mnie. Że zastanę go pod frontowymi drzwiami mojego domu. Że się o mnie martwi. Że mnie śledzi.

Obejrzałam się przez ramię. Nigdzie go nie zauważyłam. Dostrzegłam jedynie kilku czarnoskórych mężczyzn, którzy grali jazz, usiłując podrobić brzmienie Sonny’ego Rollinsa. Obok mnie czekał też na pociąg jakiś pasażer. Być może znał muzykę Sonny’ego, ponieważ aby nie słyszeć małego bandu, wcisnął sobie palce w uszy.

Podczas drogi do domu, gdzieś niedaleko ode mnie strzelił piorun. Drzewa w parku gięły się i drżały, jak gdyby oczekiwały na coś z zachwytem lub ze strachem. Zatrzymałam się na ulicy Strand i kupiłam książkę: *Encyklopedyczny Słownik Medyczny* Tabera.

W domu przygotowałam sobie dwa kieliszki martini, położyłam się w ubraniu do łóżka i wyszukałam termin „nagłośnia”. Pauline byłaby zadowolona. Nie z tego, że leżę w łóżku w sukience, ale z definicji tego słowa: „cienka chrząstka w kształcie liścia...”

Podobałoby jej się określenie „cienki” nawet w stosunku do organu zamykającego wejście do krtani. Dzięki nagłośni w trakcie połykania nie atakują krtani rozmaite płyny. Takie jak syrop klonowy. Dietetyczna cola. Sperma. Każda dziewczyna powinna być wdzięczna swej nagłośni, że utrzymuje w czystości jej drogi oddechowe.

Kość gnykowa. Delikatna kosteczka w kształcie podkowy. Przy nosząca szczęście podkowa wisząca u podstawy gardła Pauline.

Tętnica szyjna. *Carotid*, z greckiego, *karos*, czyli głęboki sen.

Kora mózgowa, komunikacja... Zabrzmiało to jak kiepski wiersz. A później znalazłam termin „półksiężycowy” i wyobraziłam sobie, że tętnica szyjna Pauline to półksiężyc, który pomaga opiekuńczej nagłośni.

Sprawdziłam wszystkie interesujące mnie terminy (czytałam na przykład o chłonce i „moczniku jako końcowym produkcie przemiany białek” – podczas terapii olejkami sandałowym mocz ma nieco aromatyczny zapach) i w chwili, gdy dotarłam do określenia: „mimowolne skubanie pościeli w zamroczeniu chorobowym”, byłam już trochę pijana.

Wielka księga zaczęła mi ciążyć na piersi i zastanowiłam się, do kogo mogłabym zadzwonić. Nie przyszedł mi do głowy nikt poza Malloyem. Chciałam z nim porozmawiać. Chciałam usłyszeć jego „niebezpieczny” głos, głos, którego używał wobec kobiet („Cześć, mała, co porabiasz? Siedzisz przy telefonie?”; słowo „cześć” wymawiał niskim, pociągającym głosem). Miałam ochotę usłyszeć chłód, który był tak głęboki, że niemal nieludzki. Ten chłód duszy Malloya sprawiał, że stale pragnęłam, by mój wybranek zwracał na mnie uwagę.

Znam typ mężczyzn, którym się podobam. Zastanawiałam się więc – zresztą, jak wiele razy wcześniej – jaki posiadam czar, jaki mam w sobie magiczny urok (a może to był jakiś talizman), dzięki któremu Malloy w ogóle mnie zauważył. Dlaczego chciał mnie pieprzyć? Nie jestem w jego typie. Nie należę do kobiet, które lubi. Nie nadaję się na niańkę. Nie włóczyłam się z żadnym z jego przyjaciół. Nie jestem mężatką. Ani stewardessą. Nawet nie jestem blondynką. Może sądzi, że jestem bogata. W zasadzie nawet nie wiem, czy chodzi mu o seks... Malloy nie mówi o seksie w typowy dla wielu facetów sposób, nie wypytuje kobiety, jak jej z nim było, nie każe jej opisywać, jak z bólu przez tydzień nie była się w stanie podtrzeć. Właściwie spytał mnie tylko o jedną rzecz: czy ktoś mnie kiedykolwiek pieprzył w taki sposób, jak on to robił w biurze kapitana, a ja odparłam, że tak. Skłamałam.

Kiedy miałam czternaście lat i bardzo się starałam zainteresować swoją osobą syna niemieckiego ambasadora na Filipinach, niemowę (oczywiście w sensie przenośnym) imieniem Gnter, Augustina oznajmiła mi cierpko: „Musisz się postawić w jego położeniu,

dziewczyno. Jeśli idzie aleją, połów się przed nim na chodniku, żeby musiał na ciebie nadeprnąć. Wtedy zapyta: «Co tu robisz, dziewczyno?»» „A co miałabym tam niby robić?!”, spytałam ją. Ciągłe nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Malloy! To na pewno Malloy przyszedł mnie odwiedzić. W idealnie odpowiednim momencie. Podskoczyłam, myśląc, jak to dobrze, że jestem ubrana, że mimo wszystko dobrze zrobiłam, kładąc się do łóżka w ubraniu.

Zbiegłam po schodach, trochę chwiejnie. Byłam nieco oszołomiona. Serce podskakiwało mi, czułam triumf. Otworzyłam drzwi, a za nimi stał Cornelius.

– Słyszałem o pani przyjaciółce – powiedział. Był mokry. Krople deszczu połyskiwały na jego dreadach.

– Tak – wydukałam. Byłam rozczarowana. – Kobiety noszą na głowach jej zdjęcie.

– Widziałem to w telewizji – stwierdził.

Pomyślałam z ironią: jeśli coś pokazano w telewizji, musi być prawdą.

– Miała na sobie sukienkę zrobioną z cynfolii i takie tam.

– To była jedna z jej ulubionych. Chociaż „takich tam” nie pamiętam.

– Piszę scenariusz – oświadczył.

– O Pauline? – zapytałam zaszokowana.

– Ależ nie, o Johnie Wayne.

– Ach tak – mruknęłam, kiwając głową. Poczulałam ulgę. – O tym aktorze?

Potrząsnął głową.

– O moim człowieku. O Johnie Wayne Gacym.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Pracuje pani nad tą książką o wyrazach?

– Nie – zaprzeczyłam. – Nie mogę pracować. Przeraza mnie to.

Otworzyłam drzwi szerzej, wpuszczając go do frontowego holu. Spuścił oczy na moje nogi.

– Nosi pani tylko jeden but?

Wskazałam za siebie. Kiedy zbiegłam na dół bez klucza, aby otworzyć frontowe drzwi, wsunęłam jeden z butów w wewnętrzne drzwi, dzięki czemu nie zatrzasnęły się za mną.

Cornelius skinął głową. Sądziłam, że chce wejść na górę. Ale... przecież przyjdzie Malloy; to tylko kwestia czasu. A kiedy przyjdzie, wołałabym, że nie natknął się w moim mieszkaniu na Corneliusa.

– Wejdz – powiedziałam jednak wbrew sobie.

Weszłam po schodach, Cornelius za mną. O szybkę umieszczonego na szczycie schodów okienka stukał deszcz. Słyszałam słaby pogłos piosenki na walkmanie mojego studenta. Zastanawiałam się, czy słucha kapeli Smif and Wessun. Nie wiedziałam też, czy patrzy na mój tyłek, szłam jednak sztywno, nie poruszając biodrami. Starłam się w żaden sposób go nie zachęcać.

Nagle Cornelius położył mi rękę na nodze.

Zatrzymałam się, noga została za mną, jego palce przesunęły się po mojej łydce aż do kostki. Przez bardzo krótki moment, szybko i niemal nieświadomie, wyobraziłam sobie, jak Cornelius mnie rani. Jak mnie kładzie na schody.

Odwrociłam się, aby na niego spojrzeć. Moja stopa tkwiła w jego ręku. Usiadłam na schodku ponad nim. Objęłam rękoma jego głowę. Ciągłe miał na uszach słuchawki i moje ręce dotknęły właśnie ich.

Uśmiechnął się. Miałam rozpiętą dolną część sukienki. Jego ręka nadal trzymała moją stopę. Pomyślałam, że w jednej chwili wszystko się zmieniło i to w sposób nieodwołalny, gdy nagle Cornelius pochylił się i zdjął coś z mojej łydki.

– Miała pani na nodze liść – stwierdził obojętnie.

Wypuścił z ręki moją stopę.

Wstałam zarumieniona i, już nie martwiąc się o własny tyłek, weszłam po schodach.

Cornelius wkroczył za mną do mieszkania i rzucił plecak na sofę.

– Moja siostra pani dziękuje – zauważył.

Weszłam do kuchni.

– Angel, chłopak twojej siostry zabił kogoś – stwierdziłam. – John Wayne Gacy pominął ten drobiazg.

– Nigdy nie rozmawia pani ze mną poważnie. Zawsze tylko jakieś „gadu-gadu”. – Wszedł za mną do kuchni. – Stale toczyliśmy jakąś wojnę – dodał.

Zawahał się.

– Chciałbym, żeby mnie pani traktowała jak równego sobie, ale nie wiem, jak to osiągnąć – szepnął.

Popatrzył na mnie.

– Co pani przeszkadza?

– Na pewno nie kolor skóry. To znaczy rasa... Chodzi o coś innego.

– O co?!

– Byłoby mi łatwiej, gdybym umiała rozmawiać z tobą w sposób ironiczny albo

zartobliwy.

Spojrzał na mnie tak, jak nigdy dotąd. Niecierpliwie. Trochę ze znużeniem. Jak gdyby po raz pierwszy uznał, że nie jestem tak inteligentna, jak sądził.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Że nie powinno cię tutaj być.

– Dlaczego?

Straciłam zimną krew.

– Spodziewam się kogoś.

– Pieprz to, kobieto.

– Co mam pieprzyć?

– To.

Milczałam.

– Ma pani coś do picia?

– Czego się napijesz?

– Czegoś z gazem – odparł spokojnie.

Jego nagła rezygnacja, niepewność i utrata woli sprawiły, że przestałam go lubić. Poczułam się rozczarowana.

Otworzyłam dla niego colę. Przez otwarte okno mój nos zaatakował zapach deszczu i mokrych, brudnych psów biegających po parku. W krzakach za żelazną balustradą płotu stał jakiś mężczyzna i patrzył w moją stronę.

Dostrzegłam w szybie odbicie Corneliusa na tle jaworów. Wkrótce zapadnie noc. Ciemność zawładnie wyspą. Myślałam o rzekach, które płynęły po naszej wyspie i zastanawiałam się, czy sycamore jest słowem indiańskim; wyobrażenie rzeki sprawiło, że pomyślałam o Indianach. Kiedyś przez park Waszyngtona płynął strumień. Holendrzy nazywali go kuył. Był to spory strumień, który płynął na południe aż do koniuszka wyspy Manhattan, gdzie rozlewał się szeroko, zmieniając się w bagna pełne chmar dzikiego ptactwa. „Mineta” jest na pewno słowem indiańskim. Wiem, że to sentymentalizm – rozmyślać o Indianach i strumieniach płynących pod Szóstą Aleją. Cornelius wygląda trochę jak Indianin, ma ciemną skórę i ładny haczykowany nos.

Pięć centymetrów od mojego karku... Mój kark. Kark przywodzi mi na myśl japońskie kobiety, te z epoki Heian. Ich kark był bladym pasem między wyściełanym kołnierzem kimona z siedemnastu warstw jedwabiu i czarną linią polakierowanych włosów. Poza tym, przyznam się, że kark przywodzi mi również na myśl różową, zarumienioną, wilgotną szyję pewnej na wpół ubranej Francuzki z osiemnastowiecznego obrazu Bouchera. Drobinki pudru

z koafiury spadły na gołe, pulchne ramię kobiety, kiedy towarzyszący jej na obrazie dżentelmen próbował ją zatrzymać przy sobie w pokoju. Trochę jak Cornelius mnie.

Cornelius był bezwstydnym.

„Bezwstydnym” to dobre słowo.

Ja również zachowałam się bezwstydnie.

Odwróciłam się i pocałowałam go, przyciągając jego głowę ku swojej, a równocześnie przykryłam jego uszy moimi dłońmi niczym muszlami – „konchami ukojenia”. Nigdy nie zaznam spokoju.

Gwałtownie odsunęłam go od siebie – nie był to ruch swobodny ani płynny – po czym chwyciłam brzeg sukienki, zadarłam ją i zdjęłam przez głowę; machałam nerwowo rękami i szarpałam kołnierzyk, który wplątał mi się we włosy.

Cornelius odpiął mi stanik, z wprawą naciskając zatrzask między moimi piersiami. Królowa Kurczaków najwyraźniej nie musiała udzielać mu lekcji. Zrobił krok w tył i uważnie mi się przyjrzał.

Stałam plecami do okna. Mężczyzna w parku również mnie obserwował. Znajdowałam się między nim a Corneliusem.

Mój student rozpiął zamek dzinsów, sięgnął do środka, wyjął i lekko uniósł w dłoni penisa. Nie był obrzezany i wyglądał dla mnie tak jak wszystkie nie obrzezane penisy – niczym wąż w ogrodzie Eden. Gdy o tym pomyślałam, poczułam rozpacz.

Pocałowałam Corneliusa, wpychając mu język w usta, i w pewnej chwili zdałam sobie sprawę z tego, że nie wiem, jak przerwać rozwój wydarzeń. Zapomniałam już, jak to się robi. Każda kobieta powinna umieć powiedzieć „dość”. Och, to nie Corneliusa chciałam powstrzymać, ale siebie.

Mój student głaskał moje piersi, szczypał sutki, lizał je i ssał. Czułam podniecenie między nogami, czułam, że zwierają mi się mięśnie, a krew coraz szybciej pędzi w żyłach.

Odepchnęłam go.

Popatrzył na mnie spod na wpół przymkniętych powiek. Nie był zadowolony, że mu przerywam.

– Nie chcę tego robić – oświadczyłam.

Zrobił krok w tył. Miał erekcję.

– Nie podoba ci się? – Przesunął ręką po członku. – Mój ptak jest taki słodki. Pozwól mu wejść.

– Ależ podoba mi się. Tyle że nie chcę tego robić. – Odwróciłam się i pochyliłam, żeby wziąć sukienkę, a Cornelius położył mi dłoń na tylnej części głowy i przytrzymał ją tam.

– I tak nie mam ochoty cię pieprzyć – usłyszałam jego głos.

Milczałam. Słuchałam. Obawiam się, że już wiedziałam, czego chcę. A raczej czego nie chcę. Nie chciałam, żeby mnie skrzywdził.

– Co mam zrobić? – spytał. Szeptał mi do ucha.

Milczałam.

– No? – spytał.

– Puść mnie.

– Co ty powiesz, panienko?

– Corneliusie...

– Wiedziałem, że mnie wypieprzysz – mruknął.

Poluźnił uchwyt, potem zdjął rękę z mojej głowy. Wszedł do salonu i wziął plecak.

– Co zamierzasz zrobić? – krzyknął do mnie.

Stałam w kuchennych drzwiach, zasłaniając ramionami piersi.

– Ja? Zrobić?

– No wiesz – odparł.

– Nie.

– Zamierzasz mnie wy pieprzyć z budy?

– Dlaczego miałabym cię wyrzucić?

– Od pierwszego dnia masz ochotę mnie wypieprzyć.

Usłyszałam przy oknie jakiś dźwięk, jak gdyby mały ptak uderzył o szybę. Odwróciłam się. Niczego nie zobaczyłam. Spojrzałam ponownie na Corneliusa.

Wpychał coś do plecaka.

– Skończyłaś się ze mną pieprzyć?

– Tak – odparłam. Założyłam sukienkę. – Wcale się z tobą nie pieprzyłam.

Znowu coś uderzyło w szybę. Podeszłam do okna. Na ulicy, obok szarego samochodu stał detektyw Rodriguez. Machał do mnie. Popatrzyłam jeszcze raz na Corneliusa, ale już go nie było. Zostawił otwarte drzwi.

Zbiegłam po schodach. Otworzyłam drzwi na ulicę i zatrzymałam się na ganku. Deszcz ustał.

– Malloy chciał, żebym sprawdził, czy jesteś w domu – zawołał do mnie Rodriguez. – Gdybym był w okolicy... Żebym sprawdził, czy wszystko u ciebie w porządku.

Pokiwałam głową.

– No i? – zawołał.

– Co no i?

– W porządku?

– Raczej tak.

Uśmiechnął się.

– Gdzie on jest? – Nie zamierzałam pytać, ale zapytałam. Bolała mnie głowa.

Rodriguez wzruszył ramionami i rozłożył ręce, jakby pytając: „Skąd mam wiedzieć?”

– Powiedz mu, żeby się o mnie nie martwił.

Roześmiał się. Wsiadł do szarego samochodu, a ja poczekałam aż ruszy. Potem wróciłam do mieszkania.

Wzięłam puszkę coli, którą Cornelius zostawił na moim biurku. Włożyłam ją machinalnie do zlewu. Wyłączyłam światło w kuchni. Weszłam do salonu, podniosłam stanik i przypomniałam sobie mężczyznę w parku. Włączyłam na odtwarzaczu kompakt Ala Greena i wróciłam do okna, by sprawdzić, czy ciągle ktoś tam stoi. Zastanawiałam się, czy obcy mężczyzna także przestał się mną interesować. Rzeczywiście, stracił zainteresowanie.

Wyłączyłam światło na biurku. Zauważyłam, że zniknęły jadeitowe szpilki do włosów mojej matki.

– Chciałabym zgłosić kradzież – powiedziałam.

– Dzwoni pani do niewłaściwego wydziału. Przełączę do Wydziału Kradzieży.

– A co z gwałtem? Zajmujecie się tym?

– To raczej w gestii Wydziału Przystępstw Seksualnych.

– A co z usiłowaniami morderstwa?

– Ciepłej, Ale najlepiej jeśli pani nie żyje.

Nic nie odpowiedziałam.

– Słyszysz mnie pani?

– Park Waszyngtona 21.

– Czy tam znajduje się ciało?

Odłożyłam słuchawkę.

– Widzę, że się nieźle trzymasz – stwierdził, przechodząc obok mnie. – Ciągłe pieszysz? – Wszedł do kuchni, zdjął marynarkę i nalał sobie do szklaneczki trochę bourbona. – Lubię Ala Greena – dodał. – Kiedy byłem tajniakiem, chodziłem go oglądać w „Copie”. Słuchaj – stwierdził, stawiając drinka na artykule o przedsięwzięciach japończyków – mamy problem.

Odsunęłam papiery.

– My? – My, piśmienni Amerykanie.

– Słuchaj, nie chcesz mnie, chociaż jeszcze o tym nie wiesz. Wydaje ci się, że jestem bóg wie kim. Wiesz, wiele kobiet mnie odtrącało...

– To brzmi jak przechwałka.

– Czego, do cholery, chcesz ode mnie?

Popatrzyłam na niego. Poczulałam tak wielką urazę, że aż się zarumieniłam.

– Nie znasz mnie – stwierdził. – Wiesz, o czym mówię? Kobiety zawsze chcą mnie zmieniać, mówiłem ci... Czasem nawet staram się dostosować, ale z tobą jest inaczej. Z tobą czuję się, jakbym stale biegł. Biegł, żeby ci dorównać.

– Przykro mi. – Byłam wściekła.

– To nie twoja wina.

– Wiem. Ale przykro mi, że tak odczuwasz.

Pokiwał głową. Złagodniał.

– Nie jesteś łatwa.

– A niby dlaczego miałabym być łatwa?

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, co jest najgorsze? Znasz swoją wartość. Wiesz, ile jesteś warta.

– I dlatego nie jestem łatwa?

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Tak. – Milczał chwilę, jak gdyby szukał właściwego słowa. – Tak. Spotkania z tobą mnie wyczerpują. Widzisz, czasami tak to już jest. I tyle. Jesteś mądrzejsza ode mnie. Tyle że czasem wszystko jest proste, a ty ciągle szukasz czegoś więcej. Ciągłe drażysz. Szukasz pod spodem, na górze, drażysz z boków. A to, co znajdujesz, zdarza ci się interpretować niewłaściwie.

– Pewnie tak.

Popatrzył z zakłopotaniem.

– Cholera, czemu się nie wyluzujesz? Przestań analizować każdą pieprzoną sytuację. – Położył nacisk na słówko „każdą”, ostro akcentując pierwszą sylabę.

– Sądziłam, że taka ci się podobam – szepnęłam.

– I podobałaś mi się. Na początku.

Czekałam, co powie dalej.

– Wiesz, było mi całkiem niezłe, zanim cię spotkałem. Masz pojęcie? Naprawdę niezłe.

– Wiem, obciągały ci dziewczyny z Bronksu.

Wziął tyk.

– Co złego widzisz w Bronksie?

– To zależy, czego się pragnie – stwierdziłam. – Może sam nie wiesz, czego chcesz.

Ręką przeczesał włosy:

– Możliwe.

Podeszłam do niego. Położyłam mu rękę na członku. Czasami trudno stwierdzić, czy trzymasz dłoń na jądrach czy penisie, jednak w przypadku Malloya nigdy nie miałam z tym problemów. Członek natychmiast zaczął twardnieć. Może zresztą już wcześniej był twardy.

– Czego chcesz ode mnie? – spytał ponownie.

– Zobaczysz.

Chwilę milczał, potem spytał:

– Spodoba mi się?

– Sądzę, że tak.

– Nie jesteś pewna?

– Nie.

Zdjęłam mu z paska kajdanki. Malloy sięgnął instynktownie za siebie, ale już je trzymałam. Były rozpięte.

Nagle tak bardzo zapragnęłam Malloya, że aż zadrżałam. Walczyłam z kajdankami.

– Sądzisz, że mam na twoim punkcie obsesję? – spytałam.

– Tak. – Teraz niczego nie udawał.

– To nieprawda.

Zacisnęłam jedną obręcz kajdanek na jego nadgarstku, tuż nad złotym zegarkiem, który podobno zdjął z jakiegoś trupa; drugą przypięłam do oparcia metalowego krzesła ogrodowego.

– Co, u diabła, robisz?

– A jak ci się zdaje?

Spojrzał na swój nadgarstek.

– Siadaj na krzesło – rzuciłam.

Stanełam przed nim. Żeby usiąść, musiał przesunąć kajdanki wzdłuż oparcia krzesła.

Uklękałam, odpięłam mu pasek i rozsunałam zamek w spodniach. Malloy uniósł nieco biodro, instynktownie mi pomagając. Pomyślałam, że zwykle ludzie w kajdankach tak chyba nie postępują.

Podniosłam sukienkę do pasa. Zdjęłam majtki. Stanełam przed nim, potem usiadłam

na nim okraciem, nogi zwiesiłam po obu stronach krzesła. Pozwalałam mu patrzeć na siebie. Byłam tuż przy jego twarzy. Nie odwracał wzroku.

Jedno ramię Malloya opadło na bok krzesła. Zamknął oczy, kiedy nadziałam się na sterczący członek i jęknął, wyginając się w łuk, wbijając się we mnie głęboko. Pożądał mnie teraz, był milczący i gwałtowny.

Podniósł ramię bez kajdanek.

– Nie dotykaj mnie – poleciłam. Moja bransoleta hałasowała, stukając o krzesło.

– No dalej – wyszeptał. Otworzył oczy. – Pieprz. Chcę widzieć, jak pieprzysz.

Poruszałam się powoli. Poczułam rękę Malloya na pośladkach, palce szukały odbytu, znalazły otwór, wsuwały się od środka.

– Nie – powiedziałam. Zabrał rękę. Poruszył miednicą, wchodząc we mnie głębiej, tuż przy łechtaczce, tuż pod kością. Kołysał się.

Próbowałam na niego poczekać. Próbowałam zwolnić, ale nie mogłam. Nie czułam się zresztą zobowiązana. Malloy obserwował, jak jego członek wchodzi we mnie i wychodzi.

– Lubisz się przyglądać – zauważyłam.

– Tak – odrzekł. – Patrzenie mnie rajcuje.

Nie mogłam już dłużej czekać, a wtedy Malloy chwycił mnie ręką za włosy.

– Dobrze, dobrze – powtarzał przez jakiś czas.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego.

– Teraz się odwróć – polecił. – Będę mógł patrzeć na twój tyłek, gdy się będziesz poruszała. Wtedy dojdę.

– Nie.

Zagapił się na mnie z zastanowieniem.

– W takim razie uwolnij mnie z kajdanek – stwierdził z uśmiechem. – Koniec zabawy.

– Jasne – odparłam. Koniec zabawy. – Gdzie masz kluczyk?

– W kieszeni kurtki.

Rozejrzałam się po pokoju.

– Na breloczku. W kuchni.

Wstałam i weszłam do kuchni. Podniosłam kurtkę i zatrzymałam się z nią w progu, obmacując kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

– W wewnętrznej kieszonce. Pospiesz się. Czuję się jak baba.

Znalazłam. Przy okazji wyłowiłam z kieszeni inne drobiazgi. Monety. Kawalek batonika. Nożyk z kościaną rękojeścią. Jakąś małą zabawkę, która wyglądała jak dziecinny wózek...

Trzymałam go w dłoni, patrzyłam i nie rozpoznawałam. Krew szalała mi w żyłach. Poczułam się nagle, jakbym się znalazła pod wodą. Jakbym płynęła pod prąd. I... serce mi zamarło.

– O co chodzi? – spytał. – Prosiłem, żebyś się pospieszyła. Wyciągnęłam rękę w jego kierunku.

– Ach – stwierdził. – Zamierzałem ci go oddać. Ciągle zapomniałem.

– Zapominałeś? – Nadal nie rozumiałam.

– Zdejmij mi wreszcie te kajdanki. Ranią mi dłoń. Czarnuchy zawsze mi powtarzały, że to boli, a ja im nie wierzyłem.

– Skąd go masz?

– Co?

– Ten wisiołek.

– Znalazłem na West Broadway. Wróciłem tam, żeby zobaczyć, czy czegoś nie przeoczyłem. Zapomniałem ci oddać.

– Czy to byłeś ty?

– Co takiego?

– Czy to byłeś ty?

– Do diabła, co się z tobą dzieje?

– Ta dziewczyna. Rudowłosa. Tatuaz. Widziałam. – Miałam trudności z oddychaniem. Sapałam. – Ale nigdy bym nie podejrzewała, że ją zabiłeś.

– Tatuaz? – W jego głosie pojawił się jakiś nowy ton. Malloy był zaskoczony.

Wstał powoli na nogi, przesuając rękę wzdłuż oparcia krzesła.

– Daj mi ten kluczyk – powiedział spokojnie. Pociągnął za kajdanki. Siedzenie krzesła odskoczyło. – Daj mi go – powtórzył. Teraz zachowywał się, jak gdyby miał do czynienia z szaleńcem. Wiedział, jak trzeba z takimi postępować. Podchodził do mnie powoli z wyciągniętą dłonią. Ciągnął za sobą krzesło.

Zatrzymał się i włożył wolną rękę do kieszeni. Ta osobliwa, zabawna poza – mężczyzna przykuty do krzesła – sprawiła, że po raz pierwszy zobaczyłam go w innym świetle. Teraz byłam go w stanie zostawić, teraz potrafiłam odejść.

Wybiegłam z mieszkania. Przemknęłam na schody, porzucając gdzieś po drodze kurtkę Malloya wraz z kluczykami. Pokonałam ulicę, pędziłam między samochodami. Sądziłam, że będę bezpieczna w parku, z Jamajczykami, którzy już do mnie wołali: „Czego sobie życzysz, ślicznotko?”

Obejrzałam się na moje okna. Ściany pokoju były pomalowane na czerwono w stylu z

połowy dziewiętnastego wieku. Mojemu gospodarzowi spodobała się ta barwa, mówił, że ściany stały się dzięki niej „bardziej historyczne”. Teraz pomyślałam, że pokój wygląda, jakby się palił.

Na ścieżce wpadłam na kogoś i przewróciłam się. To był ktoś, kogo chyba znałam.

Tak, znałam go!

Detektyw Rodriguez! To on patrzył w moje okna z parku. To nie był żaden rastafarianin. Ani właściciel psa. Ani narkoman.

Puścił moje ramię i pomógł mi wstać.

– Spokojnie – powiedział, uśmiechając się. – W porządku? Aż tak potrzebujesz faceta?

Cała się trzęsłam.

– Nie wiedziałam...

Spojrzałam za siebie.

– Spokojnie, mała, tylko spokojnie.

Podszedł do nas jakiś zaniepokojony mężczyzna, ale Rodriguez wyjaśnił mu całe zamieszanie:

– W porządku, nic jej nie jest.

Mężczyzna oddalił się po chwili.

Rodriguez prowadził mnie szybko przez park, ku ulicy Sullivana, tłum rozstępował się przed nami, jak gdyby ludzie wiedzieli, że tak trzeba. Zastanawiałam się, czy nie uważają przypadkiem, że zostałam aresztowana. Tak to musiało wyglądać – mężczyzna w ciemnym garniturze ciągnie płaczącą kobietę przez park.

Zaprowadził mnie do samochodu (nie policyjnego), który stał zaparkowany na południowej stronie parku. Wiedziałam, że auto należy do Rodrigueza, ponieważ dostrzegłam głębokie żłobienie na masce, w miejscu, gdzie Lonnie przez dwa „n” usiłowała wyryć swoje imię.

– Nie mogę z tobą jechać – rzuciłam szybko. – On się domyśli. Nie mogę jechać na policję. – Nerwowo zamachałam rękoma.

Roześmiał się.

– Policja to ja.

Otworzył drzwi i puścił moje ramię dopiero wtedy, gdy wsiadłam do auta.

– Dlaczego tego nie wyklepałeś? – spytałam nagle, wskazując rysę na masce. Uświadomiłam sobie, że powiedziałam to zdanie bardzo głośno, prawie wykrzyczałam.

– Ponieważ nie chcę zapomnieć – odrzekł. Zamknął drzwiczki z mojej strony i obszedł samochód od przodu. Zdjął kurtkę, rzucił ją na tylne siedzenie. Zamknął drzwiczki, uruchomił

samochód i rozglądając się na wszystkie strony, włączył się w ruch uliczny. – W porządku? – spytał. Prowadząc, podwinął rękawy: najpierw kierował jedną, potem drugą ręką.

Jechał na zachód, potem skręcił i ruszył na północ autostrady West Side.

Nie mogłam opanować drżenia.

– To Malloy – powiedziałam mu.

– O czym ty mówisz?

– To był Malloy.

Jechał szybko.

– Skrzywdził cię?

Potrząsnęłam głową.

Z powodu klimatyzacji w samochodzie było zbyt chłodno. Zaczęłam otwierać okno.

– Przestań – rzucił i sięgnął, by chwycić mnie za rękę. Jego palce wcisnęły mi bransoletkę w nadgarstek.

Przez chwilę owionął mnie odór naszej starej, brudnej rzeki. Wyciągnięte ramię musnęło moją pierś, gdy Rodriguez zamykał okno po mojej stronie.

Opuścił autostradę przy Sto Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Na podłodze samochodu dostrzegłam butelkę po „Rémy Martin”, która toczyła się na wycieracze w tył i w przód. Rodriguez zjechał po pochyłości i skierował się ku rzece, obok placu budowy z pustymi śmieciarkami i buldożerami. Za rzeką widziałam światła New Jersey. Wciąż wyczuwałam w samochodzie słonawy zapach wody. Minęliśmy kort tenisowy z luźno zwisającą siatką. Mokre pola.

– Już prawie jesteśmy – stwierdził.

– A dokąd jedziemy?

– Gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać. Opowiesz mi, co się stało.

Na środku drogi rosło zielsko. Gałęzie drzew dotykały szyb. Na poboczu drogi, wzdłuż rzeki, zauważyłam otoczone żółtą pianą czarne kamienie i wiedziałam, że jest odpływ.

Rozległo się głuchoe stukotanie i nagle z ciemnego brzegu wynurzył się most; światła samochodów odskakiwały od słupów. Most wyglądał jak błyszczący statek kosmiczny.

Rodriguez zatrzymał samochód przed małą czerwoną latarnią i wyłączył światła.

– Tu zwykle łowią – wyjaśnił.

Latarnia skojarzyła mi się z ilustracją w książce dla dzieci. Były tam czarne drzwi z zatraskiem i łańcuchem. Wysoko w górze dostrzegłam światło. Rodriguez wziął z tylnego siedzenia żeglarski worek, potem wysiadł z samochodu, obszedł go i dotarł do moich drzwiczek. Światło latarni padało na nas. Rodriguez sięgnął dłonią do środka samochodu, aby

chwycić moje ramię i wtedy zauważyłam coś na wewnętrznej stronie jego nadgarstka. To był chyba tatuaż!

Otworzył drzwi latarni i wprowadził mnie do środka. Niósł torbę na rzeczy osobiste – worek, który można kupić w sklepach dla żeglarzy. Wodoodporny. Mocny.

W środku nie było szczególnie ciemno; w górze grzmiał potężny, oświetlony most. Odległy warkot samochodów skojarzył mi się z odgłosami rojących się pszczół.

Rodriguez wciąż mnie trzymał. Rzucił worek i wolną ręką zakluczył drzwi od środka.

Wysoko na ścianie zobaczyłam okno w kształcie iluminatora, na podłodze – pudełko z przynętą, na którym stała para damskich butów na wysokich obcasach, obok – aluminiowe krzesło plażowe z rozdartą taśmą. Obok niego była piła, trochę porzewiała, nie elektryczna. Niebiesko-białe styropianowe popiersia zawodników „Nowojorskich Gigantów” na ścianach. Starannie złożone koce. Wszystkie te szczegóły dostrzegłam bardzo szybko i dokładnie, jak gdyby ich materiał, ciężar i barwa miały dla mnie wyjątkowe znaczenie. Instynktownie czułam, że są ważne, i nawet nie próbowałam zrozumieć własnych myśli. Wszystko było proste. Malloy byłby ze mnie dumny.

Rodriguez wyjął z worka fryzjerską brzytwę. Błyszcząca rączka. Na końcu mały metalowy przecinek. Rodriguez odłożył worek i przyłożył brzytwę do mojej szyi. Do samej skóry.

– Masz ładne włosy – zauważył. Brzytwa była teraz pod moim podbródkiem, a ramię Rodrigueza uciskało rowek między moimi piersiami.

– Dziękuję.

– To nie moja zasługa. Podziękuj mamie i tacie.

Gdy brzytwa przecięła mi skórę, początkowo nic nie poczułam, dopiero w chwilę później zalało mnie gorąco i kłujący ból. Ciepła krew spłynęła mi po ramionach aż na dłonie. Po jakimś czasie przyzwyczaiałam się do niej i ból osłabł. Cięcie nie było groźne i powstała jedynie powierzchowna rana.

Rodriguez tłumaczył, że nie zamierzał mnie zaciąć, ale tak jakoś wyszło i nic nie można na to poradzić. Dodał, że gdybym siedziała nieruchomo i przestała się trząść, na mojej sukience nie byłoby tyle krwi. Nie robiłam tego celowo, po prostu nie byłam w stanie się powstrzymać. Nie bardzo wierzyłam też w to, co mówił.

– *Muy linda. Su pelo.* – Rodriguez włożył rękę w moje włosy i owinął je dokoła pięści.

– Znasz hiszpański. Wiem o tym. Powiedział mi ten dzieciak, Cornelius. Nigdy nie miałem białej dziewczyny, która mówiłaby po hiszpańsku.

– Cornelius?

– Tak.

– Dlaczego?

– Co dlaczego, *mi ángel?*

– Dlaczego Cornelius?

Uśmiechnął się.

– Jestem policjantem. I człowiekiem. – Puścił moje włosy. – Ludzie muszą ze mną rozmawiać.

– Zabierz tę brzytwę – poprosiłam. Wszeptałam. We wnętrzu latarni było bardzo gorąco.

– Tam jest żarcie – powiedział, wskazując lodówkę. Nie zdejmował brzytwy z mojej szyi.

– Nie chcę jeść.

– Zostaniesz tu. Ludzie widzieli nas w parku... Tylko kilka dni. Muszę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zaskoczyłaś mnie, moja mała. Nie byłem jeszcze na ciebie gotów. – Pochylił się do przodu, aby spojrzeć mi w twarz. – Richie się tobą zaopiekuje – dodał.

Augustina mawiała, że mam wszystko co najlepsze na świecie z wyjątkiem szczęścia. Nie miała racji. Miałam szczęście. Szczęśliwy nie był fakt, że Rodriguez się mną zaopiekuje, ale że chce mnie tutaj zostawić, że zamierza zdjąć ze mnie swoje łapy, odjąć brzytwę od mojej szyi. Ucieknę stąd. Okienko znajdowało się wprawdzie poza moim zasięgiem, ale zauważyłam metalowy balkonik – wąski chodnik biegnący wzdłuż ściany, pod świetlikiem. Świetlik był wyłamany. Przez szybę widziałam most, białe światło tworzyło na nim pasy. Od mostu docierały do mnie rozmaite odgłosy.

Rodriguez potarł mi przedramieniem piersi.

– Nie nosisz stanika – zauważył. Przesunął brzytwą po mojej szyi w dół, przez kość gnykową, głośnię, ponad wewnętrznym mięśniem tarczycowym, głównym nerwem krtaniowym, małym zagłębieniem między obojczykami, i wtedy pomyślałam o Pauline, mojej kochanej przyjaciółce Pauline, i zacisnęłam usta. Nagle oprawca chwycił mnie za kark i przycisnął brzytwę do mojej piersi, tuż pod sutkiem, który znalazł się na krawędzi ostrza. Brzytwa cięła równo, łatwo przechodząc przez napięty materiał, skórę oraz przez zawiłą siateczkę delikatnych, błękitnych żyłek wokół sutka. Moja pierś rozwarła się, szkarłatna krew popłynęła z niej jak ciemna rzeka, indiańska rzeka, *sycamore*; moje ciało stało się tak jasne, że poczułam się oślepią. Moja pierś! Sutek mojej piersi!

– To właśnie nazywają pamiątką – usłyszałam gdzieś w oddali jego głos.

Nic nie widziałam.

– Powinnaś usiąść.

Pchnął mnie na plażowe krzesło. Aluminiowe poręcze, na których położyłam ramiona, okazały się chłodne. Całe ramiona miałam mokre.

– Zatrzymam go w kieszeni – oznajmił. – Dzięki temu, gdy cię ze mną nie będzie, będę mógł włożyć rękę, pomacać go i poczuć się tak, jak gdybyśmy byli razem. – Włożył do kieszeni kawałek mojego ciała!

– Skąd wiedziałeś?

– O czym, *mi amor*?

– Że cię widziałam z tamtą dziewczyną?

– Jimmy mi powiedział. Tyle że nie wiedział, o kim mówiłaś.

– Jimmy? – Nie mogłam skojarzyć, kogo ma na myśli.

– Ciągłe powtarzał, że może widziałeś tamtej nocy coś ważnego, z czego nawet nie zdajesz sobie sprawy. Doprowadzał mnie tym gadaniem do szaleństwa. *Loco*. Sądziłaś, że to Malloy, prawda?

– Tatuaż.

– Walczyliśmy razem w Wietnamie, chociaż ja tam byłem tylko czterdzieści jeden dni. Złapałem dyzenterię i wysłali mnie na Hawaje.

Zastanawiałam się, czy choćby przez chwilę go podejrzewałam.

– A potem, tamtej nocy wsiadłaś do naszego samochodu. Od razu cię rozpoznałem. Sądziłem, że ty też mnie poznałaś.

– Nie. – Poczułam smutek.

– Była niezła, ta Angela. Ssała sam czubeczek mojego kutasa.

– A ta blizna? – Moja spódniczka była ciężka od krwi, która ściekała mi między udami, przesączając się powoli przez bawełnę. Łaskotały mnie krople kapiące na moją skórę, na moje włosy łonowe, na wargi sromowe. Nie miałam przecież na sobie bielizny. – Nigdy mi nie powiedział.

– Pieprzony Malloy. – Roześmiał się. – Kiedy był dzieckiem, pękła mu ślepa kiszka.

Położyłam sobie rękę na piersi, ale krew przeciekała między moimi zaciśniętymi palcami. Żebra wydawały mi się dziwnie lekkie. Ulotne. Moja pierś była lżejsza bez różowego sutka, który nadawał jej ciężar i sens.

– Czy to boli? – spytał.

Miałam trudności z poruszeniem głową.

– Nie... nic... – wydusiłam. – W porządku.

– Muszę już iść. Wrócę później. Nie wyglądasz zbyt dobrze. Lubisz ryby?

Kiedyś poszliśmy we dwie do sklepu w Manili, w którym wisiała sukienka, którą Augustina chciała mi kupić – sukienka z purpurowej tafty z dużymi filipińskimi rękawami i pasami koronki ozdobionej różyczkami. Zupełnie nieodpowiednia sukienka dla dziecka. Przyniosliśmy ją do domu. Moja matka powiedziała, że jest brzydka, i kazała Augustynie zwrócić ją do sklepu. Wcześniej sukienka mi się nie podobała, ale na złość matce natychmiast ją polubiłam. Moja matka była zazdrosna o Augustinę.

– Tak – odezwałam się głośno – tak właśnie było. Moja sukienka była ciężka od krwi.

– Nie o to cię, kurwa, pytałem – krzyknął. Wystraszyłam się. – Lubisz ryby?

– Ręka. Zostawiłeś ją tam?

– Rękę? – Spojrzał zaintrygowany. – O czym, do cholery, gadasz? – Chodził w tył i w przód po małej przestrzeni między ścianą i stosem kocy. – Słyszałeś ten dowcip o ogrodzie Eden?

Czułam zapach własnej krwi.

– Bóg patrzył w dół, no nie? Zobaczył, jak Ewa wchodzi do oceanu, żeby popływać, i krzyknął: „Och nie, jak my teraz usuniemy smród z ryb?”

Rękojeść brzytwy błyszczała, światła z mostu raziły mnie w oczy.

– To dobry dowcip, kobieto – krzyknął.

– Nie.

– To nie jest dobry dowcip?

Chwilami widziałam postać Rodrigueza, chwilami niczego nie mogłam dojrzeć.

– Chcesz posłuchać jeszcze raz?

– Nie. – Zaczerpnęłam oddechu. Trzymałam głowę na boku, dotykając podbródkiem obojczyka.

– Ten dowcip był o rybach. – Westchnął. – Przykro mi – dodał. Położył mi rękę na ramieniu. Z jego głosu wywnioskowałam, że jest zmartwiony. Fakt ten wprowadził mnie w zakłopotanie. – Siedź cicho – rzucił.

Umilkł nagle, zadarł głowę i spojrzał w stronę drzwi. Nasłuchiwał.

Do moich uszu dotarły dźwięki samochodów i ciężarówek przejeżdżających przez most.

Czarna rzeka. Nad nami po balkoniku biegł szczur, jego pazurki stukotały na metalowych kratkach. Mój oddech był niski, bulgoczący, chrapliwy – jak gdyby samica dużego zwierzęcia wydawała na świat młode.

Rodriguez stał i słuchał. Przez kilka minut. A może nawet kilka godzin. Trudno

ocenić. Nagle mój kat pochylił się nade mną z brzytwą w ręku, przeciągle mlasnął językiem i rozciął mi sukienkę przez całą długość. Pokryta krwią, ociekająca, zsunęła się z moich nóg.

– Ta sukienka jest paskudna – oświadczył ze wstrętem. – Nie lubię cię ciąć, wiesz o tym, no nie?

„Ciąć mnie”. On tego nie lubi. Ja też tego nie lubię.

Zdobyłam wiele słów i zwrotów frazeologicznych do mojego słownika. Dzięki Malloyowi. Uliczne odzywki. Używane przez graczy i przez ciekawskich podglądaczy. „Patrzenie mnie rajcuje”. „Wysuwający się z pochwy członek”. „Czysta kryjówka”. „Wentyl bezpieczeństwa”. „Azyl, do którego nie ma wstępu zło”.

Rodriguez wziął żeglarski worek, położył go ostrożnie na stercie koców i wyrównał starannie cały stosik.

– Wiesz, dlaczego tak cholernie dobrze mi się tu łowi? Jednym słowem?

Czekałam.

– Przynęta.

Nie zrozumiałam.

– Używam czasami moich pamiątek na przynętę.

Podszedł do drzwi i pochylił się. Położył ręce płasko na nich i znieruchomiał. Sprawdzał, czy nikogo nie ma na zewnątrz. Potem pobiegł do metalowej drabinki przy ścianie i wspiął się na balkon. Pochylił się ku iluminatorowi, przysłaniając oczy rękoma. Nad jego głową dostrzegłam most.

Opadłam na kolana i zaczęłam się czołgać.

Spojrzał w dół i zobaczył, co robię.

Zbiegł szybko po drabince, na ostatnim szczeblu otwierając brzytwę.

– Chcesz, żebym sobie wziął drugą pamiątkę?

Chwycił mnie za włosy i usiadł mi na plecach, jak gdyby mnie ujeżdżał. Moje włosy służyły mu za lejce. Sięgnął w dół, aby przykryć mi dłonią usta, i wtedy go ugryzłam – raz, później drugi. Zachowałam się jak zwykła dziewczyna.

Byłam zwykłą dziewczyną.

Przegryzłam skórę. Rodriguez krzyknął.

Pchnął mnie, przewracając na plecy. Znowu na mnie usiadł. Jego kolana uciskały moje zebra.

Poprosiłam go, żeby mnie nie krzywdził. Pewnie wszystkie kobiety tak mówią. Mężczyźni zresztą zapewne też. Niestety, moje słowa go nie powstrzymały.

Moja twarz. Moje gardło. Moje piersi. Malloy będzie wiedział, kiedy zobaczy moje

ręce. Moje ramiona. Będzie wiedział, jak strasznie walczyłam o życie.

Rodriguez wstał. Usłyszałam, że odkłucza drzwi. Przez moment poczułam napływ chłodnego, pachnącego rybami powietrza znad rzeki. Zapach Ewy. Sprawił, że zadrżałam. Zrobiło mi się zimno.

Przypomniał mi się esej na temat zmian w świadomości umierających. Podobno czasami myślą o sobie w trzeciej osobie. Jeszcze nie myślałam w ten sposób. Mówiłam sobie: „Krwawię. Wykrwawiam się na śmierć. I będę miała szczęście, jeśli umrę, zanim on wróci”.

„Obdarz mnie konchą ukojenia”.

Wiecie? Tej indiańskiej pieśni nie wydrukowali w metrze w całości. Tylko pierwszy wers. Ja znam również drugi.

Coś czai się w oddali, czyha za oknami.

Jest tuż, tuż, wchodzi, teraz jest już z nami.

Znam tę pieśń.

Ona zna tę pieśń.

KONIEC